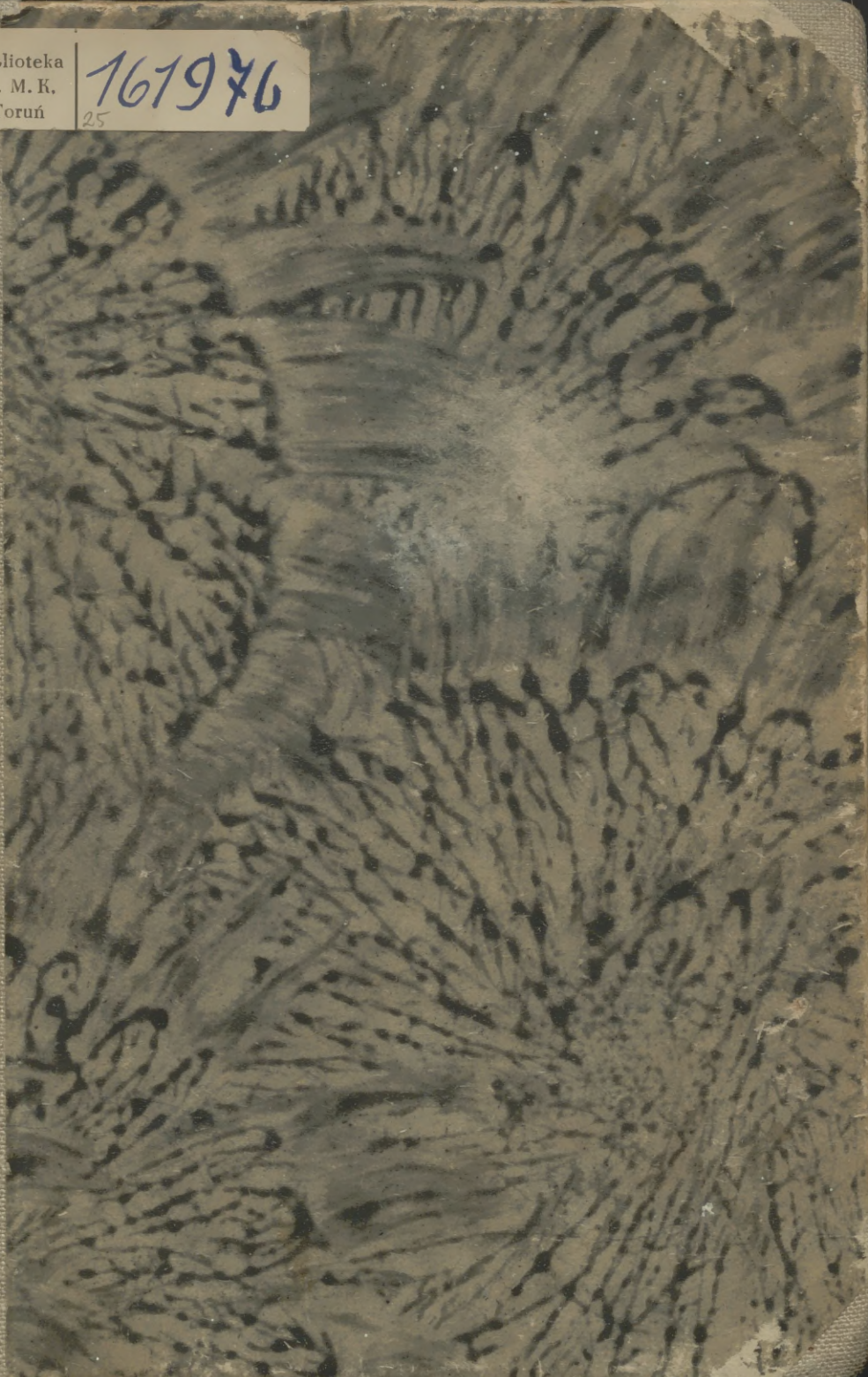


Biblioteka
F. M. K.
Toruń

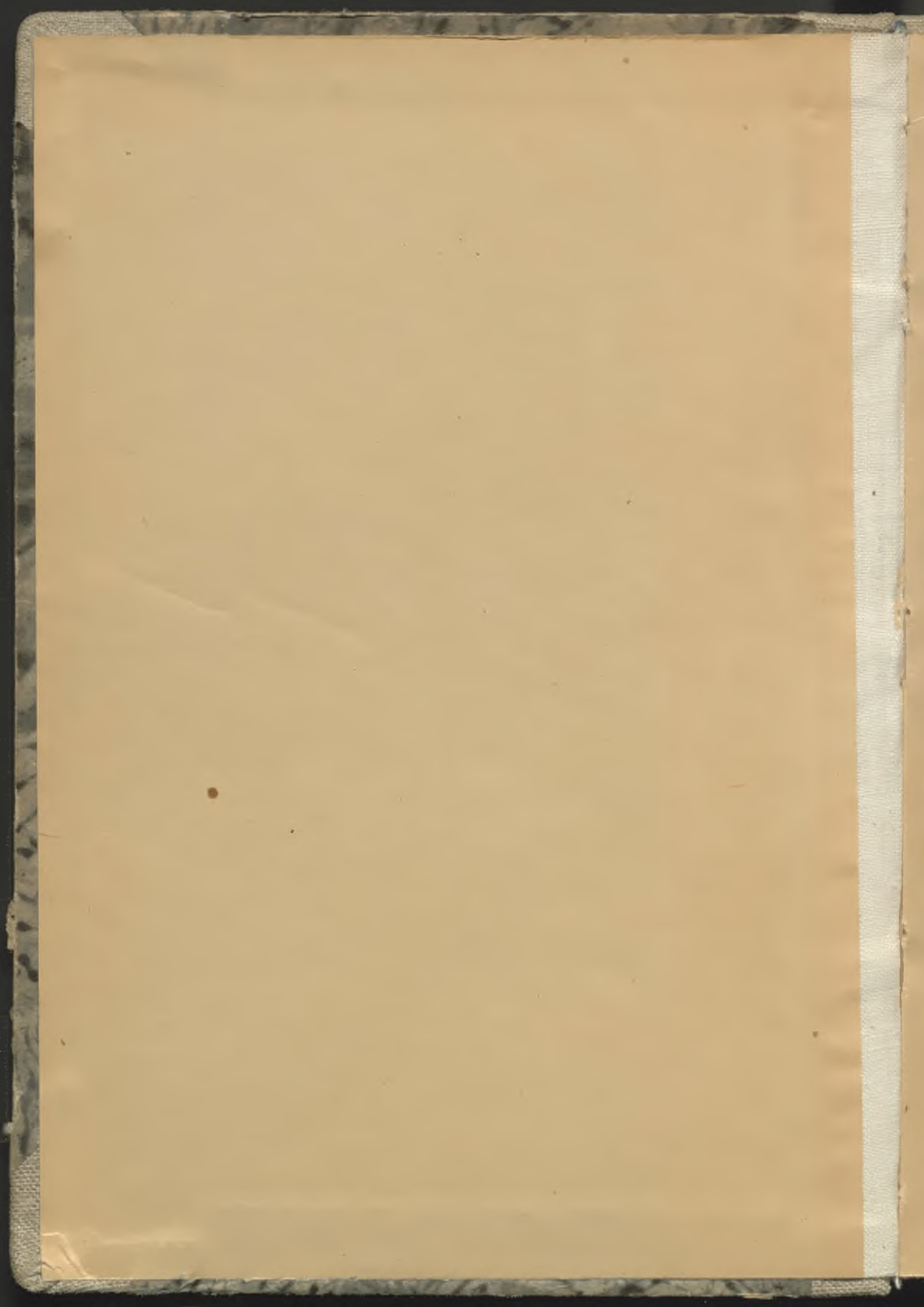
161976

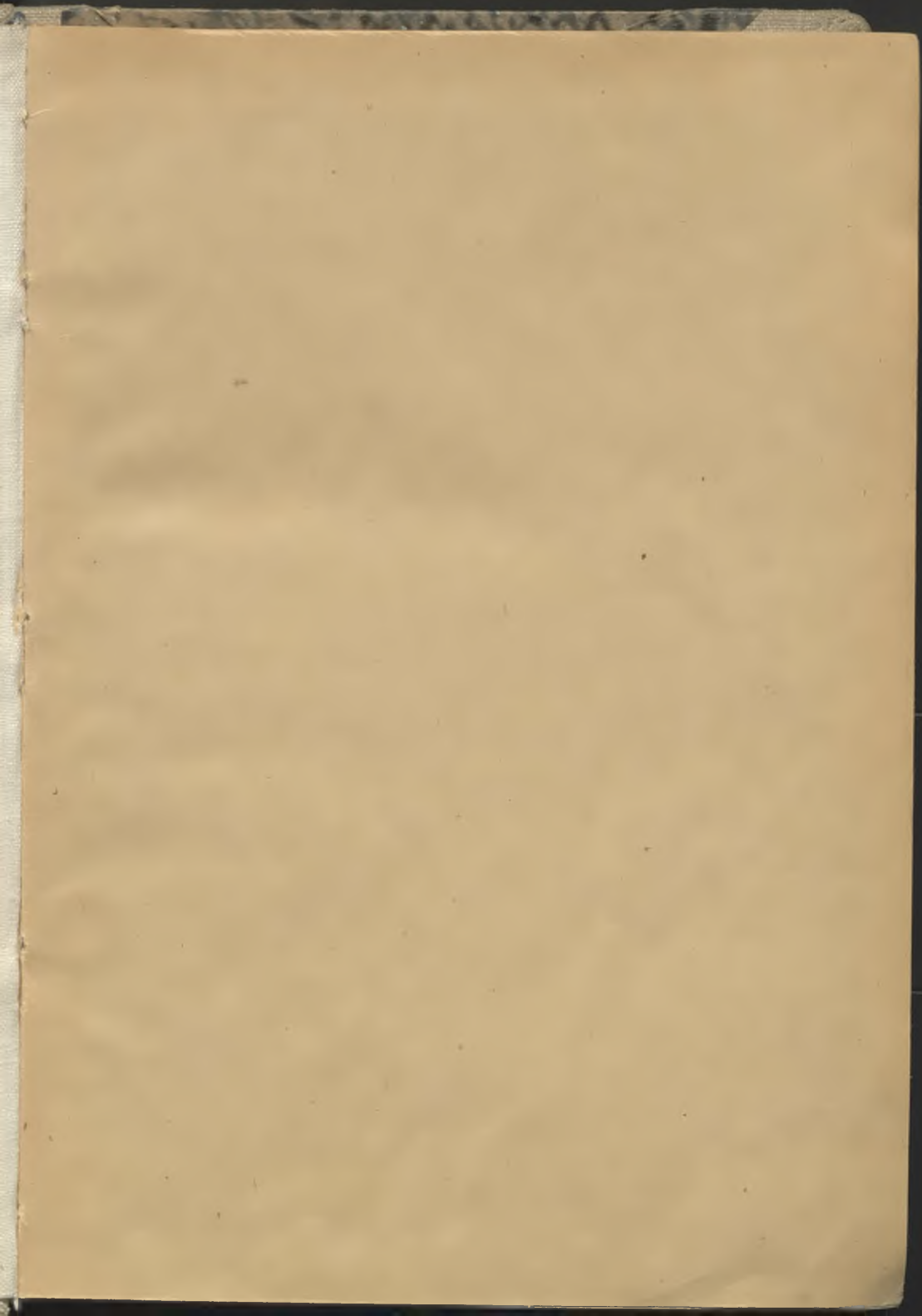
25

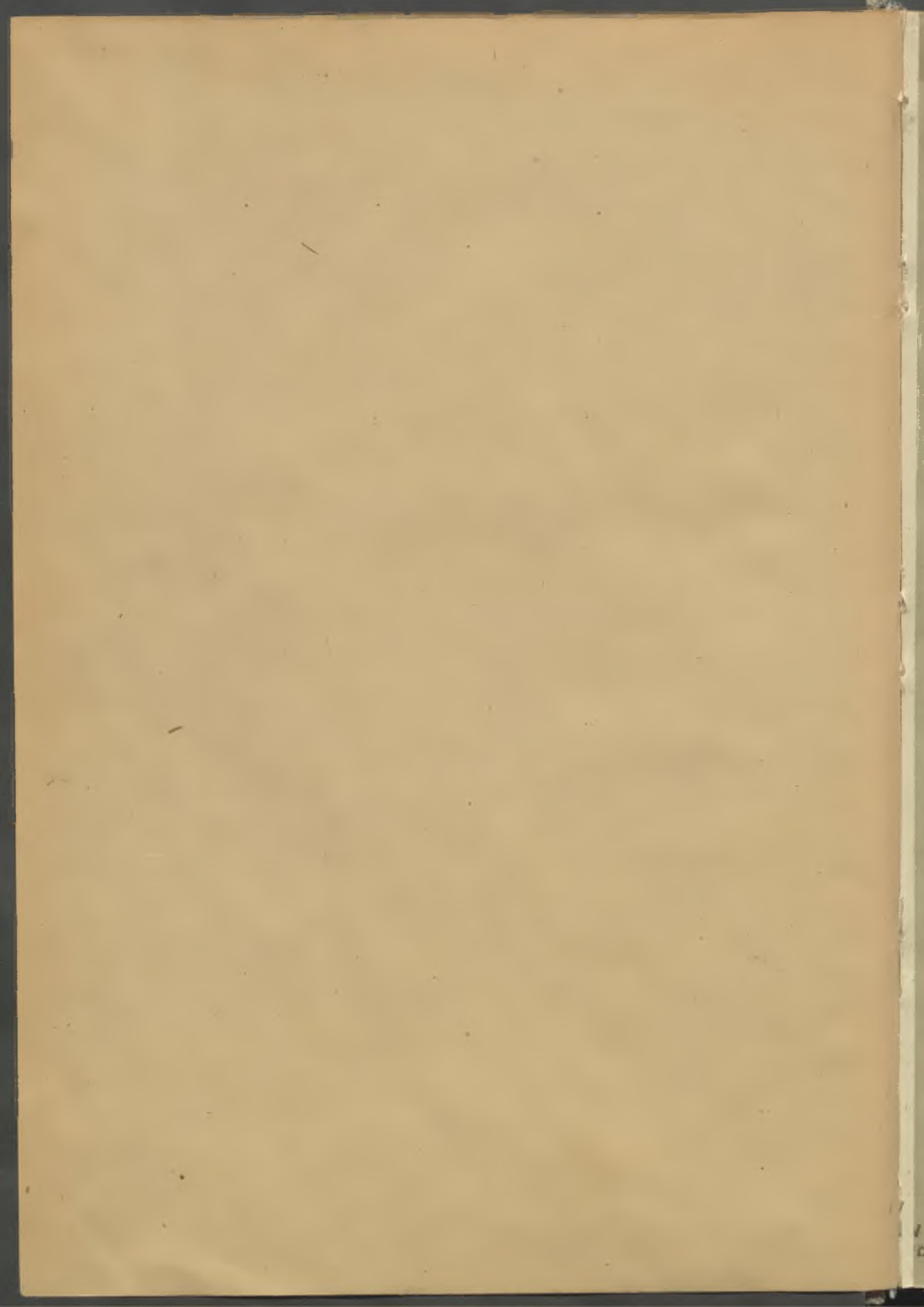


LO-
CYA

161976







Biblioteka

U. M. K.

Toruń

161976

ARCYDZIEŁA POLSKICH
◉ I OBcych PISARZY. ◉

TOM 76/7.

59/

JÓZEF KORZENIOWSKI

KOLLOKACYA

CENA 4 - KOR.

1/108



OPRACOWAŁ

W BROSZCACH, NAKŁADEM I DRUKIEM
WELIKSA WESTA. ◉ ◉ ◉ ◉ ◉ ◉ ◉ ◉

PROF. WŁADYSŁAW JANKOWSKI

ARCYDZIEŁA POLSKICH I OBCYCH PISARZY

wydawane przez

KSIĘGARNIE FELIKSA WESTA W BRODACH I WE LWOWIE

1. Malczewski: *Marya*, opr. prof. Wł. Dropiowski.
2. Mickiewicz: *Konrad Wallenrod*, opr. prof. J. Gawlikowski.
3. Słowacki: *Lilla Weneła*, oprac. Dr. Piotr Chmielowski.
4. Feliński: *Barbara Radziwiłłówna*, opr. prof. Wł. Dropiowski.
5. Mickiewicz: *Grażyna*, opr. prof. Dr. K. Wojciechowski.
6. Krasieński: *Nieboska Komedya*, opr. Dr. Piotr Chmielowski.
7. Kochanowski: *Treńy*, oprac. prof. Zygmunt Paulisz.
8. Mickiewicz: *Pan Tadeusz* komentarz do tekstu poematu w wydaniu „Macierzy polskiej“ opr. Dr. P. Chmielowski.
9. Słowacki: *Mazepa*, opracował prof. Kaz. Zimmermann.
10. Mickiewicz: *Ballady i romanse*, opr. prof. Henryk Kopia.
- 11—12 Szekspir: *Hamlet, król wic duński*, przekład Józefa Pa-szkowskiego, opr. Dr. Piotr Chmielowski.
13. Kochanowski: *Odprawa posłów greckich*, opracował prof. Kazi-mierz Zimmermann.
14. Sofokles: *Antygona*, w przekładzie Kaszewskiego oprac. profesor Dr. Piotr Chmielowski.
15. Kraszewski: *Budnik*, opracował Dr. Piotr Chmielowski.
16. Skarga: Ks. Piotr. *Kazania sejmowe*, opr. prof. Dr. M. Janik.
17. Słowacki: *Trzy poemata: Ojciec zadżumionych. W Szawajaryi, Wacław*, opr. Dr. Piotr Chmielowski.
- 18-19. Krasieński: *Irydion*, opracował prof. Tadeusz Pini.
20. Byron: *Giaur*, przekład Mickiewicza, oprac. Dr. P. Chmielowski.
21. Gogol: *Obrazki z życia*, oprac. Dr. Piotr Chmielowski.
22. Krasicki: *Bajki* oprac. prof. Dr. Antoni Kurpiel
23. Brodziński: *O klasyczności i romantyczn.* opr. Dr. P. Chmielowski.
- 24-25. Mickiewicz: *Sonetny i wiersze różne*, oprac. prof. H. Kopia.
- 26-27. Górnicki: *Dworzanin*, opracował prof. Zygmunt Paulisz.
28. Kochanowski: *Fraszki*, opr. Dr. Stanisław Zathy.
29. Słowacki: *Anhelli*, oprac. prof. Dr. Wiktor Hahn.
30. Brodziński: *Więstaw*, oprac. prof. Wład. Jankowski.
- 31—32. Schiller: *Marya Stuart*, opr. Dr. Piotr Chmielowski.
33. Mickiewicz: *Dziady*. cz. 1. 2. i 4. opr. prof. Dr. K. Wojciechowski.
34. Krasieński: *Noc letnia*, oprac. prof. Tadeusz Pini.
35. Mickiewicz: *Pan Tadeusz*, oprac. prof. St. hr. Tarnowski.
36. Słowacki: *Beniowski*, oprac. prof. Kazimierz Zimmermann.
37. Morawski: *Dworzec mego dziadka*, opr. prof. Stanisław Zathy.
38. *Nowela polska*, Tom I. opr. prof. Józef Wiśniowski, (H. Sienkie-wicz — B. Prus — E. Orzeszkowa).
39. Fredro: *Pan Geldhab*, opr. prof. Bolesław Kielski.
- 40-41. Mickiewicz; *Dziady, część 3.* oprac. prof. Dr. K. Wojciechowski
42. Tacyt. *Germania*, przekład Dra Okeckiego opr. prof. K. Prus

ARCYDZIEŁA POLSKICH I OBCYCH PISARZY.

JÓZEF KORZENIOWSKI.

273

KOLLOKACYA

OPRACOWAŁ

PROF. WŁADYSŁAW JANKOWSKI



W BRODACH © NAKŁADEM I DRUKIEM KSIĘGARNI FELIKSA WESTA.

161976



J. Korzeniowski przed r. 1850.

Autor, który do swoich powieści szukał zawsze tematów swojskich, który obserwował bystro a opowiadał dobrze (choć trochę rozwlekle), który nie dawał psychologicznie pogłębionych postaci, ale miał dosyć dowcipu, dużo trzeźwości i rozsądku, który nie porywał, nie olśniewał, ale zawsze przekonał, poruszył i zawsze nawoływał do sumiennego spełniania obowiązków — to Józef Korzeniowski.

Urodził się w okolicy Brodów 19. marca 1797 r. Prawie rówieśnik Mickiewicza odebrał mniej więcej te same wrażenia w dzieciństwie, co i Adam, oddychał tą samą atmosferą, stworzoną przez Napoleona, rwał się jako malec do munduru i lancy ułańskiej i drewnianą szablą ścinał paprocie, wyrosłe pod folwarkiem „Korzeniówki“. Nie wyrobił się jednak w nim kult Napoleona, jak u Mickiewicza; był on za trzeźwy, za chłodny, za krytyczny.

Małego chłopca uczono zrazu w domu, potem w 8 roku życia oddano go do szkoły normalnej w Brodach, gdzie z dziecięcą ambycją ubiegał się o order „zur Belohnung“. Do kl. I. chodził w Zbarażu (1807), II. zaś ukończył w Czerniowcach. Lecz gdy stamtąd na imieniny matki napisał list po niemiecku, rodzice bojąc się o język i duszę syna, odebrali go i oddali (1808) do gimnazjum wołyńskiego w Krzemieńcu, które podówczas stało u szczytu rozwoju. Panował tam jeszcze wszechwładnie klasycyzm w literaturze, a przedstawicielem jego w szkole był ks. Alojzy ~~Osicki~~ *Osicki*, profesor literatury polskiej i łacińskiej. Uległ K. jego wpływowi, tembardziej, że zaczął już pisać. Zabawiali się piórem i koledzy K. jak Tymon Zaborowski, Karol Sienkiewicz i drukowali swoje utwory w założonych przez siebie „Ćwiczeniach naukowych“ (od r. 1819 „Pamiętnik naukowy“). — Po 11-letnim pobycie w Krzemieńcu opuszcza go K. w 1819 r. i przenosi się do War-

szawy. Przez krótki czas jest nauczycielem młodego Zygmunta Krasińskiego, potem pracuje w bibliotece ordynacji Zamoy-skiej i tu zaznajamia się z utworami najnowszej literatury niemieckiej i z nowymi prądami. W epoce tej zaczyna go interesować dramat: przekłada utwory Szyllera, zaczyna pisać sztuki oryginalne. Równocześnie dokonywa się w nim przełom zapatrywań literackich i dogmaty klasyczne ulegają wstrząśnieniu. W Warszawie poznał się K. z córką Zygmunta Vogla, architektki i malarza — Moniką i ożenił się z nią. W 1823 r. został przez ks. Adama Czartoryskiego powołany do Krzemieńca na katedrę wymowy i literatury polskiej po Felińskim. Wezwania usłuchał, w 1824 osiedlił się w Krzemieńcu, kupił dom i sprowadził do siebie rodziców.

W 1832 liceum krzemienieckie przestało istnieć, więc K. przyjął posadę w nowo utworzonym uniwersytecie św. Włodzimierza w Kijowie. Mozolne przygotowania się do lekcji języka łacińskiego, mitologii i starożytności rzymskich, wypełniło mu sześćioletni pobyt w tym mieście (1833—38). W 1838 przeniesiono K. na posadę dyrektora w gimnazjum w Charkowie. Niezwłocznie się tam udaje, wnet sprowadza rodzinę i zaczyna ośmioletni okres życia w tym mieście. Okres ten jest bardzo ważny bo Korzeniowski nie tylko napisał wtedy najlepsze swe dramaty i komedye, ale wtenczas powstają też pierwsze jego powieści: *Spekulant*, wydany w 1846 i *Kollokacya*, drukowana w 1847.

Pierwszą, zdaje się, próbą prozaiczną była powiastka *Anilka*, napisana może w 1825, w każdym razie przed 1837; po 1837 pisze małe powiastki: (np. *Podziękowanie*, *Po latach trzydziestu*, *Egzekwie* itd.). Już w tych próbach jest styl piękny, trzeźwość, znajomość ludzi, a postaci są poprawnie i wyraźnie rysowane.

Pierwszą większą powieścią był dopiero *Spekulant*, a wnet po nim, na szerszą zakrojona miarę, żywsza, bardziej zajmująca *Kollokacya*. — Talent K. powoli się rozwijał. K. mozolnie pracował na uznanie, od tej chwili jednak rozgłos jego literacki zyskuje trwałe podstawy.

Geneza powieści.

W literaturze polskiej po r. 1850 powieść święciła największe swoje tryumfy. Palma pierwszeństwa przypadła w tym względzie Kraszewskiemu, lecz nie mniej Korzeniowskiemu. — Korzeniowski do 1850 r. nie wiele napisał powieści, lecz już upodobał sobie ten rodzaj, a w r. 1850 kruszył nawet kopie w jej obronie, twierdząc, że to jest jedyny rodzaj poezyi, który na zawsze zostanie i będzie przedstawicielem literatury pięknej, a nawet zamknie w sobie wszystkie pierwiastki poezyi.

Bez wątpienia podnieę do pisania powieści wziął K. od Kraszewskiego, lecz zrazu nie wiele pisał. Pominąwszy drobne powiastki z kijowskich czasów, *Kollokacya* jest po *Spekulancie* drugą powieścią i lepszą, bo wzięła pod uwagę już nie jednostki ale pewną grupę społeczną. Pobyt w Charkowie oderwał K. od twórczości na polu dramatu; oddalenie od sceny, intrygi dyrektorów, reżyserów, klik teatralnych, zatrzymywanie honoraryów — to wszystko tak go zraża, że zarzuca na jakiś czas dramat, a bierze się do powieści. A materyał miał obfity. Niesfora charkowska grupka Polaków, którzy choć na obczyźnie, wadzili się o byle co, dała mu wzór niesfornej rzeszy szlacheckiej w Czaplincach. Spory zasób obserwacyi, poczynionych na Wołyniu przez ciąg wieloletniego tamże pobytu (jako uczeń i jako profesor), dobra znajomość stosunków wołyńskich, wszystko przydało się do *Kollokacyi*. O ile wypadek, opisany w powieści, zdarzył się, trudno orzec; mogły być prawdziwe a odosobnione szczegóły, które autor potem skojarzył; mógł ze znanych wypadków i postaci wybrać niektóre, jak wybrał drogie sercu osoby ojca i matki. Kiedy bowiem w r. 1824 kupił dom w Krzemieńcu, sprowadził do siebie rodziców. Ojciec „dziadzio familijny“ zarządzał ogrodem, bawił wnuki, śpiewał piosenki, a umiał ich sporo. Był to zuch, gorączka, który omal nie przepłacił życiem oburzenia, gdy rząd jemu, „Nałęczowi“ kazał się legitymować ze szlachectwa. Znajdziemy obrazek tego „dziadzia“ i w powieści, znajdziemy nawet, co prawda inny, wypadek, który tego gorącego staruszka wielu trosk nabawił.

Tak więc materyału miał autor dosyć; zabrał się do pisania i w ciągu niespełna miesiąca powstaje *Kollokacya*. Odczytuje ją rodzinie, słucho uwag, wreszcie wyduje w 1847 w Wilnie u Zawadzkiego.

Układ powieści i galerya osób.

Budowa Kollokacyi, jak w ogóle wszystkich powieści Korzeniowskiego, odznacza się starannością. Cztery pierwsze rozdziały są niejako ekspozycyą, zaznajamiają nas z osobami czasem, miejscem, stosunkami. W rozdziale I poznajemy parę młodych ludzi, między którymi zadzierzgnie autor węzeł romansu; rozdział II. prowadzi nas do domu prezesa Zagartowskiego, zaznajamia z jego charakterem, z podziemni jego machinacyami, z postacią Szłomy-adjutanta; rozdział III. jak dla kontrastu, kreśli miły obrazek domu Starzyckich i znacznej rodziny. Stąd wpadamy (IV) w ognisko Czaplinców, w dom państwa Płachtów, do których na imieniny zjechała się rzesza szlachecka z całą swą jaskrawą głupotą i śmiesznością. Od rozdziału V. posuwa się naprzód sprawa miłosna, heroina bowiem nasza, widząc, że Józef Starzycki nie zjawia się, sprytnie namawia ojca do odwiedzin, a ten mając w tem i swój interes, zgadza się i jedzie do Starzyckich. Rozdziały VI i VII. są epizodami, poświęconymi wyłącznie prawie Podziemskiemu, w VIII. wracamy pod strzechę Starzyckich, by być na weselu Anulki z panem Ignacym. Dopiero od rozdziału IX. zaczyna się żywszy tok akcji. Prezes rozpina sieci, w które wnet złapie się szlachta czaplincowska. Ofiary naganają dzielnie dwa inne pająki: Mortko i Szłoma. Z drugiej strony Henryk Podziemski, dostrzegłszy w Józefie współzawodnika, wyzywa go na pojedynek (X). Wynikiem tego zajścia jest list Podziemskiej do prezesa, a list ten odślania przed prezesem miłość córki ku Józefowi (XI). To przynagla Zagartowskiego do energicznego działania (XII): pozbyć się szlachty a wraz z nią znienawidzonych Starzyckich! Wreszcie (XIII) udaje mu się usunąć wszystkich kollokatorów z Czaplinców, prócz Starzyckich. Teraz wyteją prezes cały swój spryt do walki podjazdowej, zawiesza nawet nad domem Starzyckich grozę i hańbę procesu kryminalnego, który byłby przyszedł do skutku, gdyby nie energiczne wdanie się Kamili (XIV—XV). Niezwykłe wzburzenie, potem wyrzuty sumienia, niepokój, niepowodzenia, niehygieniczne życie, a wreszcie list Podziemskiej, w którym donosi ona, że zrzeka się ręki Kamili dla swego syna — przyprowadza prezesa o śmierć nagłą. Rozdział XVI. poświęcony jest szlachetnej

pracy Kamili nad oczyszczeniem pamięci ojca dobrymi uczynkami. Wreszcie Kamila oddaje swą rękę i majątek Józefowi.

Tu i ówdzie w toku opowiadania pozwala sobie autor na rozmaite uwagi i zwroty wprost do czytelnika i czytelniczki. Jest to sposób dawniejszych autorów, sposób, który wprawdzie zbliżał czytelnika do autora, ale zarazem odbierał czytelnikowi złudzenie rzeczywistości i kazał mu pamiętać wciąż o tem, że ma przed sobą wytwór mózgu i talentu autora. Słabo więc wrażenie artystyczne.

Odłamem społecznym, który postawił autor na pierwszym planie i w który skierowane jest ostrze tendencji utworu — jest: Szlachta, kollokowana na Czaplifcach. Na nią to, jak mówi pan Hipolit, wionął dziwny szal: „Wszędzie... tylko chęci nad siły, zamiary nad sferę, wydatki nad możność, duma nad stan i urodzenie, pretensye nad naukę i talenta, a stąd wszędzie wstyd i upadek, klęska i pośmiejch“. Czasami aż z przykrem szyderstwem wyśmiewa autor próżniactwo, głupotę, „kòmilfowość“, lekkomyślność i pretensjonalność tych ludzi.

Smutny więc, jak widzimy, obrał sobie temat Korzeniowski, tem smutniejszy, że kollokowanej szlachcie grozi ruina, jako najlogiczniejszy skutek jej postępowania. Jeszcze mamy niemal przed oczyma eksdywizyę, po której obecni właściciele, lub ich ojcowie dostali w posiadanie swe części w Czaplifcach, a już widzimy, jak wieś ta „staje się rzeczają-pospolitą kollokacyjną, pełną intryg, namiętności, gniewów, przyjaźni, partyi...“ i w chwili rozpoczęcia opowiadania przeczuwamy już smutny koniec: kollokowani wnet utracą swe części i pójdą w świat za chlebem.

Obok machinacyi prezesa biegnie równocześnie druga sprawa — miłosna, której bohaterką jest właściwie tylko Kamila. Jest to typ śmiałej, energicznej i mądrej panny. Po matce Ormiance wzięła krucze włosy, śniadą nieco cerę, piękne rysy i temperament, po ojcu spryt i rozum, ale skierowany ku szlachetnym i dobrym celom. Nic więc dziwnego, że dostrzega działania ojca i że w bezsennych nocach, ze łzami w oczach potępia nieraz i sądzi jego występki. Wychowanie odebrała staranne, ale pod złym kierunkiem, bez opieki macierzyńskiej i odpowiedniego systemu. Panna to nadzwyczaj czynna, bierności nie znosi, sprytnie nawiązuje stosunki między ojcem a Starzyckimi, sama wreszcie doprowa-

dza do skutku swoje małżeństwo z Józefem. Nie dopuszcza zwątpienia i apatyj do swojej duszy, nawet gdy blizka jest rozpacz, wyrzucając sobie — choć niesłusznie — przyspieszenie śmierci ojca; wnet się budzi i z całą energią zaczyna pokutować i dobrymi czynami zaciera smutną pamięć ojca. Postać to bardzo sympatyczna ale zasłania sobą Józefa Starzyckiego. Jest to młody, miły, prawdziwy mężczyzna, umiejący uczucie swe utrzymać siłą woli na wodzy, zany i rozumny, ale w miłości bierny. Kocha gorąco i szczerze, do rodziców jest przywiązany nadzwyczajnie, jest dobrym synem, bratem i wnukiem, ale ma jeszcze pewien rys sentymentalności i skłonny jest do wylewania łez. Wogóle postaci młodych mężczyzn rysują się dosyć blado. Równie pocziwy i mądry Ignacy Zaborowski, występuje niezbyt wyraziście w powieści, gdyż nie widzimy go czynnym. Prezes Zagartowski, ma wprawdzie nazwisko konwencyonalne, jakby z komedyi Molierowskich wzięte, ale jest istotnym zwolennikiem systemu „zaokrąglania“ majątku, drogą choćby najpodlejszą. Jest to bezczelny obłudnik, tem więcej rażący, że ma zwyczaj syczenia przez szczerby zębów słów „Jezus, Marya!“, prawienia co chwila: „sumienie przede wszystkim“ i nabożnego kręcenia młynka palcami. Nie zdobywa się na serce i szczerłość nawet wobec córki. Zdaje się, że prócz miłości złota i dostatków, które zbiera niby dla córki, nic w nim więcej niema. Córkę zapewnia o miłości, a depce jej najświętsze, pierwsze uczucie i despotycznie wyznacza jej mężów, odpowiadających jego własnym planom. Surowy i twardy dla sąsiadów i poddanych, nikogo nie kocha a na córkę spogląda czasem mile, bo może się nią popisać i pochwalić. Robienie majątku jest ideałem, tak rozrostł w jego duszy, że zagłusza wszystkie lepsze instynkta i tak wyłączenie nim władą, że gdy zaczyna się okres niepowodzeń i braknie pola do dalszych przedsięwzięć, zmora ta go dusi, odbiera zdrowie i życie. Przypomina postać Rejenta z Zemsty Fredry, ale jest znacznie gorszy.

Przeciwieństwem domu prezesa jest dom Starzyczych. Na czele stoi pan Hipolit, mężczyzna surowy, poważny, zamysłony, dobry gospodarz, mąż i ojciec najlepszy, choć nie okazuje nigdy tkliwości. Jego prawidła życiowe są tak proste, jasne i dobre. „Daj nam pamięć dobrą, rozum dobry, bojaźń boską, miłość ludzką“ — tego pragnie pan

Hipolit, jako człowiek, a jako szlachcic-ziemianin każdemu radzi codzień patrzeć na dwa palce lewej ręki: dłuższy palec, to dochód, krótszy — to rozchód. Jasna rzecz, że wydatki mają być mniejsze, niż dochód.

Jego żona, to miła, ładna i potulna osóbką, posłuszna mężowi, gospodarna i oszczędna; córkę wychowała na dobrą, szczerą i naiwną dziewczynę. Ona i córka, to są kobiety, które przyjemności własne uważają tylko za dodatek w życiu a troskę o swoich blizkich za obowiązek. Prześliczną postacią jest dziadzio. Dworak niegdyś pani Kurdwanowskiej, starościny Baranowskiej, trochę przesiąknięty czołobitnością dla panów, jowialny, wesoły, siwy jak gołąb, a krzepki jeszcze, zawzięty ogrodnik, stolarz, czuły na wszelkie łotrstwo, które radby zaraz „czereśnią“ przepłoszyć. Jego żona, schorowana, wątła staruszka, cicha i potulna, ale tak kochająca wnuka, że gotowa się i pokłócić o niego — oto cała ta zacna rodzina.

Ciekawe i czasem po mistrzowsku kilku rysami namalowane są drobne i epizodyczne postacie. Jest Francuzica brzydka, która za piękną „pronuncyację“ zabrała majątek, jest Szłoma, postać oryginalna i wzięta z rzeczywistości, żyd edukowany, mówiący po francusku a zarazem arendarz. Ubiera się elegancko, jest delikatny, przemawia poprawnie po polsku, nawet górnolotnie, a oszukuje i zdziera; jest nieugięty wobec dłużników, a ma przytem dużo szlachetnych instynktów. Kiedy opowiada pannie Kamili o Starzyckich, wygłasza z dumą takie zdanie: „Ja u nich się uczę, co to jest ludzkość“. — Jest epizodyczna postać pani Podziemskiej, która zaczytana w Balzac'u, śni o mitrze książęcej, mówi do oficyalistów przez trzecią osobę: „niech zrobi, niech radzi, niech pójdzie...“ i wychowuje syna na ostatniego niedołęgę. Jest i pisarz prowontowy, wąsaty Mazur, Siódłowski, weredyk, żołnierz do szpiku kości i wreszcie „Henryczek“ Podziemski, który boi się konia, psa, strzelby, zimna i mamy. — Słowem, wszystkie postaci aż do panny służącej, lokaja, fornała, czy chłopca stajennego, są doskonale zaobserwowane, pełne życia i charakterystycznych rysów.

Ogólny pogląd.

Kolokacya, jak wspomniano, obejmuje szersze kręgi społeczne, wykazuje większą obserwację i ogólniejszą tendencję, niż poprzednie powieści. Korzeniowski bowiem zawsze służy tendencji; jest, jeśli tak wolno powiedzieć, utylitarystą w powieści. Każde jego dzieło miało cel i dążność jasną. Tu występuje jako zwolennik poglądów reformatorskich XVIII. wieku i widzi wady przodków w całej ich grozie, wady, wiodące do upadku, owe chęci nad siły, ambicje nad stan i t. d. W malowaniu szlachty wiejskiej miał K. poprzednika w Kraszewskim, ale od niego nie zapożycza się, owszem wprowadza takie stosunki, charaktery, sytuacje, jakich Kraszewski nie tykał.

Charakterystyka jego osób jest raczej powierzchowna zewnętrzna, mimo to umie K. scharakteryzować trafnie, dzięki charakterystycznym dodatkom (beret, gitara, czerwona chustka etc.), dzięki trafnie zaobserwowanym szczegółom, ruchom, słowom. Nie szukać więc w jego postaciach głębszej psychologii, bo określając duszę, umysł, używa K. tylko grubszych rysów, łatwych do spostrzeżenia. Dlatego też postaci jego uboczne, szkicowane dosadnymi rysami, są bardzo szczęśliwie skreślone (Podziemska i syn, Siedłowski, pan Jakób, Szłoma etc.)

Pisząc swą powieść, chciał K. przedstawić jedną, silną, wyrachowaną, chciwą wolę, która pod hasłem honoru i sumienia potrafi wyzyskać na swoją korzyść wady, nałogi, śmieszności krótkowzrocznych ludzi i wkońcu ich pogrzyźć. Myśl ta jest bardzo sprytnie przeprowadzona w szeregu obrazów barwnych, dramatycznych, obfitych w szczegóły. Wprawdzie rozwiązanie (przegrana i kara, która spotyka prezesa) jest słabsze, jednak stało się zadość idei sprawiedliwości, jak również stało się jej zadość przez pognębienie szlachty czaplinieckiej i zamążpójście Kamili.

Jako stylista jest K. bardzo staranny. Używa wprawdzie dyalogów szerokich, okresowych, nienaturalnych, czasem użyje wyrażenia nieswojskiego (admirować, desperować, folgować, certować się, rekomendować, derutować, kontrydycya, determinacya etc.), ale przeważnie język jego jest ładny, sposób pisania przyjemny i dosadny. Kolokacya cieszyła się powodzeniem w znacznej mierze dzięki tym przymiotom stylu i formy.

Krytyka literacka niezbyt przychylnie przyjęła pierwsze powieści K. Równy, umiarkowany temperament autora, chłodna rozważa — mroziły entuzjastów, uderzano też na tendencje powieści (Żmichowska, Tyszyński). Zarzuty były jednak niesłuszne, bo tendencje nie były skrajne, a powieść jego starała się tylko o odtworzenie rzeczywistości. Lecz ostre krytyki nie zaszkodziły Korzeniowskiemu, uznanie znajdował coraz szersze, bo posiadał tajemnicę pisania powieści, którą sam tak określił: „Znać ludzi, kochać ludzi — oto sekret cały“.

Spokojny temperament autora odbił się i na jego powieści: niema w nich charakterów wielkich i wstrząsających, sytuacji groźnych lub rzewnych, ani tragiczności, ale wszędzie jest zdrowy rozsądek, uczuciowość w korbach trzymana, trzeźwy pogląd na rzeczy, wystawianie na najsilniejsze światło jednej zwłaszcza cnoty — sumiennego pełnienia obowiązków.

Umysłowość Korzeniowskiego, jak słusznie określił Chmielowski, „przechadza się rozważnie po wielce urozmaiconych błoniach życia powszedniego“.

Styczeń 1905 r.

Najważniejsze szczegóły odnoszące się do tego przedmiotu można znaleźć w następujących dziełach:

Lewestam: w *Dzielałach J. K.* Warszawa 1871 T. I.

Kantecki: *Dwaj Krzemieńczanie*, Lwów 1879, T. II.

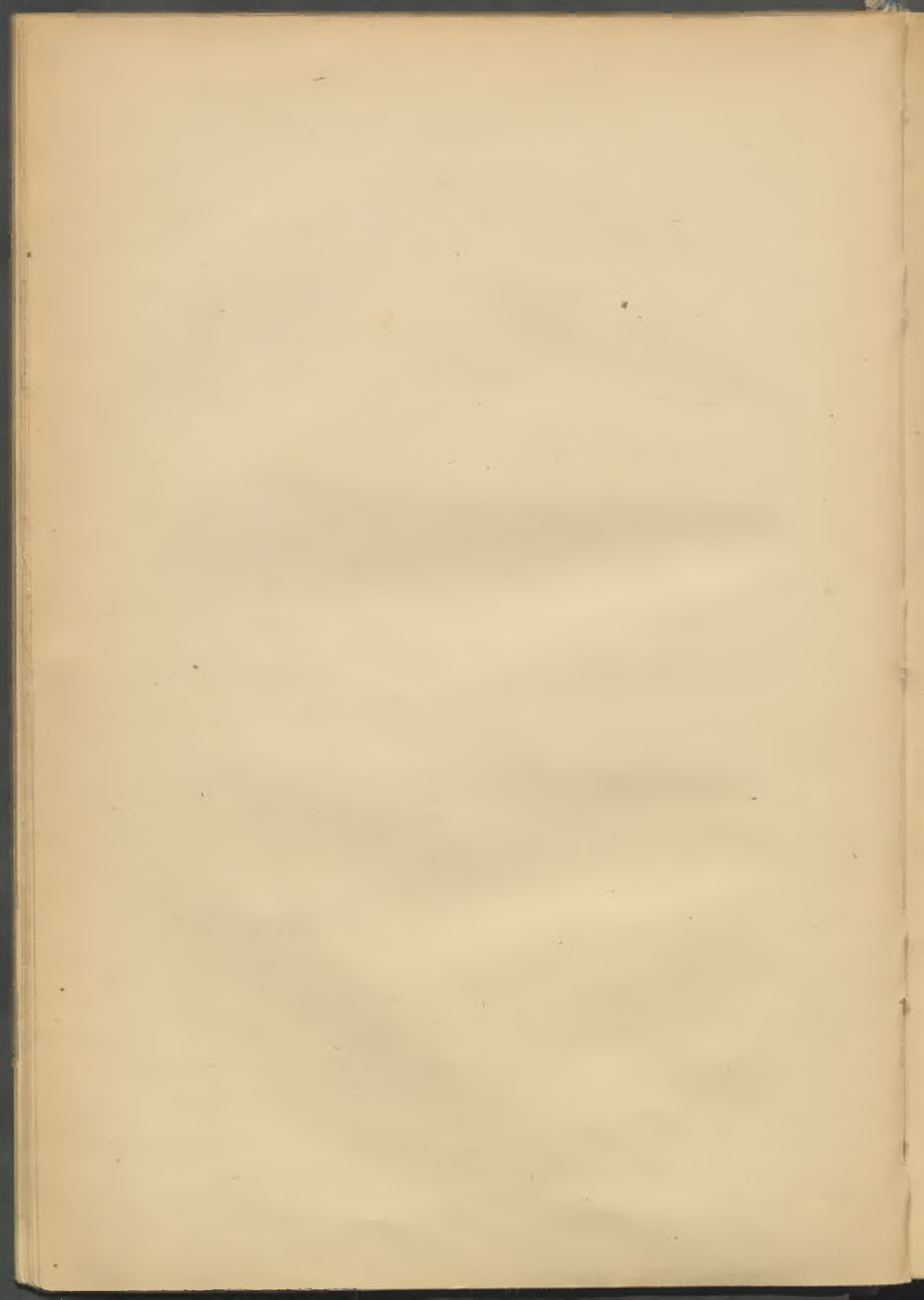
Chmielowski: *Nasi powieścicpisarze*, Kraków 1887.

Galle: *J. K. jego życie i pisma*.

Tarnowski: *Historya liter. pols.* t. V. 433 nast.

KOLLOKACYA.¹⁾

¹⁾ Tekst podany jest podług 1^o wydania: Wilno 1847, z zastosowaniem dzisiejszej pisowni. U spodu umieszczono formy dziś nieużywane, archaiczne a poprawne. Zostały jednak formy zaimka: jakiśsiś, wjakiimsiś i t. d., których autor stale używa.



I.

Było to w roku 1838 — albo: podczas jednego pięknego poranku w maju — albo: w jednej z najrozkosniejszych okolic Podola lub Polesia — albo: właśnie słońce miało się ku zachodowi, gdy... i t. d.

Tym sposobem zaczynają się zwykle powieści tkliwe, zabawne lub nauczające. Pozwolą mi jednak czytelnicy odstąpić od tych przyjętych form, i zacząć od rzeczy krajowej, najbardziej charakteryzującej naszą żyzną prowincję w pewnych porach roku, to jest: od

10 błota.

Otóż błoto było ogromne, jak zwykle bywa na Wołyniu w połowie października. Koleje pełne gęstej i brudnej wody nie pozwalały wymierzyć swej głębokości; po czarnej i rozmięklej ziemi błyszczały tu i ówdzie jeziorka na trakcie i nawet na polach, przygotowanych do wiosennej siewby; we wsiach wszystkie płoty były obryzgane, wszystkie karczmy wyglądały pstrokato; wszędzie ludzie, dochodzący do wrót lub do drzwi domów, podkaszani jak najwyżej, z zabłoconemi nogami, ślizgali się

20 i grzęzli; jeżeli kto jechał, to jechał stępo, i leniwemu postępowi jego towarzyszyła muzyka kopyt końskich, kłapiących o rzadkie błoto, lub topiących się w rozmięklej ziemi, wcale różna od tego odgłosu, jaki wydawał koń Farysa, gdy lotną swą nóżkę w głębokim piasku zanurzał.

W takim była stanie piękna w innej porze okolica Staro-Konstantynowskiego powiatu; żyzna, wzgórkowata, ozdobiona prześlicznymi laskami, które teraz nie zieleńiły się, nie rzucały rozkosznych cieni, ale obnażone

30 z liści, stały spokojnie na wzgórzach, jak szkielety gajów i kłębów. Niebo jednakże było czyste i, jak się to

czasem zdarza w połowie października¹⁾, słońce zaświeciło jasno, tym blaskiem melancholicznym, tak podobnym do ostatniego uśmiechu, którym oddalający się przyjaciel żegna przyjaciela, lub odjeżdżający w daleką podróż syn żegna rodziców i krewnych, stojących na ganku i przesyłających mu ostatnie pocałowanie.

O cztery mile od Starego Konstantynowa na lewo, ugrzązł na drodze w kałuży wielkiej i głębokiej kocz
40 otwarty w którym były dwie kobiety. Jedna już niemłoda, brzydka, ale ubrana z przesadą i kokieterią, zżymała się i łajała furmana łamanym polskim językiem, druga, mająca nie więcej jak lat ośmnaście lub dziewiętnaście, w eleganckim kapeluszu, w materyjalnej szalopie, strzelała wokoło czarnemi oczami, śmiała się do rozpuku i z swojej przygody i z gniewu towarzyszki i poprawiała białą i wąską rączką pukle czarnych włosów, które się wydobywały z pod kapelusza i ocieniały twarz jej trochę sniadą, ale pełną czerstwości i ognia.

50 Furman i lokaj grzęznąć po kolana w błocie, starali się pomódz koniom i podnieść cokolwiek kocz, ale w żaden sposób z miejsca ruszyć nie mogli. Ich ładna liberya, ich ręce i twarze, wszystko było obryzane i zwalane. Zmęczeni nareszcie i zdesperowani, sami wiedzieli, co począć.

— Żeby jaki chłop nadjechał z drączkiem²⁾ — rzekł Maciej furman, obcierając rękawem twarz i rozmazując, jeszcze gorzej błoto, z wielką uciechą panny Kamilli.

60 — Kto teraz jeździ, co ma rozum! — odpowiedział lokaj Ignacy z gniewem i ofuknieniem.

— Słyszysz, Belciu! co on mówi? — rzekła panna Kamilla do panny Beldeau, swojej guwernantki, którą przez skrócenie i w poufałości panny na wydaniu, a może i przez kontrast jej szpetności, Belcią nazywała.

— Bo ma rację — odpowiedziała Francuzica z okropnym grymasem. Zachciało ci się tej wizyty nie wiedzieć po co: teraz wrócim do domu piechotą po kolanu w błocie. *Fi! quel vilain pays!*

¹⁾ octobra, ²⁾ drączkiem.

— Widzisz, Belciu! jakaś niewdzięczna! nie byłabyś widziała pana Kazimierza, który nie mógł się napatrzeć na twoje kolczyki i tak admirował twój łańcuch.

Uśmiechnęła się guwernantka i pokazała dwa rzędy zębów, z których połowy nie było, a druga połowa była czarna i wykruszona.

— Ignacy! — zawołała panna Kamilla — wszak to Szyszkowce widać.

80 — A rozumie się, że Szyszkowce — odpowiedział, ruszając ramionami.

— O! to niema czego desperować, moja Beluniu! Wszak to nie więcej, jak ćwierć mili do domu. Przez ten wzgórek musi być sucho; słońce świeci tak jasno, możemy pójść i piechotą.

— Co panna mówi? — rzekł Ignacy. — Za tym pagórkami zaraz staw i bagno po szyję.

— O! ja nieszczęśliwa — krzyknęła panna Beldeau. Widzicie jak wy głupca zajechała, *quels gens, mon Dieu!*
90 *oh! le maudit pays!*

— Ale doprawdy, Ignacy! cóż my robić będziemy? — zapytała panna Kamilla.

— A cóż? będziemy czekać; może się te bestye namyślą i wezmą razem, jak odpoczną.

— A jak się nie namyślą? — rzekła, uśmiechając się figlarnie.

— To będziemy czekać, póki kto nie nadjedzie.

— A jak nie nadjedzie? — mówiła znowu panienka; — i ja myślę, że tak będzie, boś ty sam powiedział,
100 że teraz nikt rozumny nie jeździ.

— A cóż, to wtenczas wsiądę na konia i pojedę do domu po insze konie.

— Czy nie lepiejby od tego zacząć, panie Ignacy! jak myślisz? — rzekła, opierając na dłoni piękną swą twarzyczkę.

— Jeśli panna każe, to pojedę zaraz. Macieju, odpręż ślepego.

— Aha! żeby cię zrzucił, mazgaju! lepiej siadać na białonóżkę; a i na tym trzymaj się dobrze, bo to
110 wy, kredensowa piechota, nie umiecie się obchodzić z koniem.

Tak mruzczał wąsaty furman i zabierał się odpręgać dyszlowego konia, odgartując biczyskiem błoto z pasów i sztelwagi. Panna Kamilla uśmiechnęła się, patrząc na tę pogardę furmana dla lokaja. Gdyby była więcej znała świat, wiedziałaby o tem, że na różnych szczeblach społeczności bywa to samo; różnica tylko w dowcipie drwinek i formie liberyi. Gdy tak Maciej krzątał się i kłął wizyty w październiku, obie kobiety oparłszy się w otwartym koczku, patrzyły jedna na prawo druga na lewo.

Na lewo były Szyszkowce, wielka wieś prezesa Zagartowskiego, ojca panny Kamilli; na prawo, w rozciągającej się coraz dolinie, rozciągały się Czaplince, wieś ogromna i wielu licząca dziedziców. Należała ona niegdyś do możnej familii hrabiego S**, a później, przez eksdywizję rozdzielona na wiele części, stała się rzeczpospolitą kollokacyjną, pełną intryg, namiętności, gniewów, przyjaźni, partyi i t. d., słowem, pełną tego wszystkiego w maleńkich wymiarach, co bywa w każdej 130 rzeczypośpolitej na wielką skalę.

O kroków dwieście od tego miejsca, gdzie stał w błocie kocz panny Kamilli, zwracała się na prawo szeroka droga do Czaplinc, i widać było, jak, rzędem wierzb wysadzona, ciągnęła się przez wieś całą. Tu i owdzie, na prawo i na lewo od drogi, sterczały kominy dworów i dworków, okrążonych, ten ogrodem, ten zabudowaniami gospodarskimi. Wiedziała o tem panna Kamilla, że ojciec jej, który był wielbicielem pruskiej 140 metody zaokrąglania, miał wielki pociąg do Czaplinc i używał wszelkich sposobów i intryg, aby tą wsią zawładnąć, bo grunta jej wchodziły długim pasem w jego łany i przerywały najkrótszą komunikację między Szyszkowcami a innemi wsiami prezesa, które po za tą wsią leżały i już po obu stronach obejmowały ją dławiacami ramiony. Wszakże panna Kamilla żadnego z tych dziedziców nie znała, ledwie parę ich nazwisk obito się o jej uszy, a przez wieś samą przejeżdżała tylko kilka razy. Teraz, gdy siedziała i patrzyła zasta- 150 nawiały ją nie wiedzieć dlaczego, wierzby nagie, długim szeregami rozciągnięte dworki i domki, w które myślała wchodziła i wyobrażała sobie ich mieszkańców; ale na-

dewszystko zastanowił ją dym, wychodzący jasnym słupem z komina jednego z najpokaźniejszych dworców, który w środku¹⁾ wsi z prawej strony drogi leżał, czysto wyglądał, miał przy bramie wysokie topole, z tyłu jakby ogród czy lasek, a z boku obszerne zabudowania gospodarskie. Im wyżej podnosił się ów biały słup w powietrze, tem przeźroczystszym się stawał, tem roz-
 160 maitsze przybierał formy: a przyjmując w siebie żywe promienie jesiennego słońca, rozlicznymi ozdabiał się kolorami. Panna Kamilla, z próżnowania zapewne i z nudów, wpatrzyła się w tę żywą i ruchawą kolumnę, zamysliła się i zaczęła marzyć. Tymczasem koń już był odprężony, Ignacy z niezgrabnością, z której ironicznie uśmiechał się Maciej, miał już wsiadać, gdy nagle z tyłu dał się słyszeć trzask z bicza.

— Ot, zaczekaj — rzekł Maciej — ktoś jedzie, to może prędzej da nam radę, niż ty. Ty tam gdzie zle-
 170 cisz w błoto i będziemy czekać do wieczora. Tó powie-
 dziawszy, wziął konia za cugle i znowu go przykładał do dyszla. Tymczasem uderzenia z bicza powtarzały się i powóz się przybliżał. Gdy już był niezbyt daleko, rzekł Maciej, kiwając głową:

— Dyabłaby zjadł, klusem jedzie; musi mieć tęgie konie.

— Albo lekką bryczkę — dodał Ignacy. — To my tylko po błocie takimi ciężkimi powozami jeździmy.

W rzeczy samej była to najdyczanka²⁾, zgrabna i leciutka, i cztery konie dzielne, choć niewielkie. Po-
 180 ganiał je chłopak młody i żwawy; a im bardziej przy-
 bliżał się do stojącego powozu, tem głośniej wołał hou! i tem silniej walił z bicza. W najdyczance³⁾ siedział młody człowiek pięknej i męskiej twarzy, z ładnymi wąsami blond, w ciepłym tużurku zapiętym pod szyję, z pod którego widać było jego wzrost wysoki, silną budowę i zgrabną figurę. Czapka aksamitna nakrywała gęste i jasne włosy, brwi ciemniejsze zaginały się pod białem i szerokim czołem, a rzęsy jeszcze ciemniejsze ocieniały oczy duże, błękitne, śmiałe i spokojne.
 190 Obok niego sterczała strzelba, a piękny legawiec

1) środkiem, 2) nietyczanka, 3) nietyczance.

z ogromnemi kasztanowatemi uszami, wsparty przednią łapą na wasażku, bystro i ciekawie patrzył ku powozowi.

Droga była szeroka, tak, że dwa powozy wygodnie wyminąć się mogły. Wjechała i najdyczanka¹⁾ śmiało w kałużę, ale gdy się zrównała z koczem, gdy pan Józef Starzycki, (bo czemuż nie mamy go nazwać od razu), spostrzegł dwie panie w tak krytycznem położeniu, krzyknął na swego chłopaka: — Stój! — Zatrzymał Michaś
 200 konie, które się otrzęsły, zadzwoniwszy kółkami krakowskich chomątów i wyciągając głowy naprzód i szczerząc zęby, pofolgowały sobie zbyt ściągnięte cugle. Wtenczas pan Józef, obracając się do panny Kamilli, zdjął czapeczkę, błysnął szerokiem i białem czołem, które ślicznie odbijało od ogorzalej cokolwiek twarzy, i zapytał:

— Czy panie porzebują pomocy?

— Stoimy tu od godziny i nie możemy ruszyć — odpowiedziała panna Kamilla z uśmiechem, pełnym słodczy i orzuciła wzrokiem pięknego młodzieńca.
 210

— Niech wielmożny pan pozwoli swemu chłopakowi, aby pomógł podjąć cokolwiek kocz, a może ruszył z miejsca. Dyabliby wzięli tę szlachtę z Czapliniec! nie ponaprawiają drogi. — Uśmiechnął się na te słowa pan Józef, i wzięwszy lejce z rąk Michasia, kazał mu pomagać.

Tymczasem panna Kamilla odgartując pod kapełusz loki, które twarz jej zasłaniały, rzekła:

— Mamy dom obok, a nie możemy się do niego
 220 dostać.

— Panie stąd niedaleko mieszkają?

— Oto jest mieszkanie mego ojca — odpowiedziała, ukazując na Szyszkowce.

Na te słowa, nie wiedzieć dlaczego, żywy rumieniec wystąpił na twarz pana Józefa. Panna Kamilla postrzegła to i także, nie wiedzieć dlaczego, spuściła oczy, a panna Beldeau, patrząc na przystojnego młodzieńca, także, nie wiedzieć dlaczego, zaśmiała się i po-

¹⁾ nietyczanka.

kazała dwa rzędy zębów, których połowy nie było,
230 a druga połowa była czarna i wykruszona.

Wszakże wszelkie usiłowania ludzi nie pomogły; konie lejcowe¹⁾ szarpnęły i zaczęły skakać, czując ciężar nad siły, dyszlowe spierały się nazad i jakiś upór je opanował. Nie brały więc wszystkie, nie brały razem i dlatego powóz został na miejscu.

— Słuchajno, kochanku! — rzekł pan Józef do Macieja — wypręż ty swoje konie, zostaw tylko lejcowe²⁾, na które wsiądzie mój chłopak, do dyszla załóżcie moje, to wyjedziecie. A panie dobrzeby zrobiły,
240 żeby przeszły do mojej najdyczanki³⁾. Nie dlatego — dodał z uśmiechem — aby ciężar był wielki, ale że szarpnięcie może być za silne i furman z próżnym ko-
czem będzie śmielszy.

— O co to, to wielmożny pan doskonale powiedział, dalibóg, że prawda. Żeby tam panienki nie było, jakeśmy wleźli w tę jamę, byłbym i swoimi wyjechał, choćby na złamanie szyi. A dałżebym im bestyom hartu! — rzekł Maciej, złącząc z kozła i biorąc się do odprzęgania dyszlowych koni.

— Ale jakże my się dostaniemy do pańskiego po-
250 wozu? — rzekła śmiejąc się panna Kamilla. Belciu! idź ty naprzód; obaczę jak tam głęboko.

— Ach! *mon Dieu! mon Dieu!* — zawołała z grymasem Francuzica. — Czyż ty chcesz, żebym utonęła w błocie? — Zaśmiała się na te słowa panna Kamilla głośno, plaszcząc⁴⁾ rękami, a pan Józef, słysząc ten głos czysty i wdzięczny, patrząc na te ruchy pełne gracy i żywości, zamyślił się, i po chwili, odsuwając swego legawca i ukazując mu miejsce na kozle, co Amor natychmiast wykonał, oddał lejce kozaczkowi, a sam wy-
260 skoczył z bryczki i w kilku susach był obok koczka.

— Nie ma innego środka⁵⁾, jak panie przenieść — rzekł, i chciał drzwiczki utworzyć. — Czy pani się zrezygnuje? — Zaczzerwieniła się jak róża panna Kamilla; spojrzała bystro na młodzieńca, który z niej nie spuszczał oczu i zapytała:

— Czy innego środka⁶⁾ nie ma?

1) ³⁾ licowe, ²⁾ nietyczanki, ⁴⁾ plaszcząc, ⁵⁾ ⁶⁾ śródka.

— Zdaje mi się — odpowiedział młodzieniec, którego oczy zaiskrzyły się od radości.

270 — Ignacy! przenieśże mnie¹⁾ na bryczkę tego pana — rzekła panna Kamilla.

Przystąpił Ignacy i podniósł ku niej ręce czarne i błyszczące lawą błota, która ciekła po rękawach i za rękawy i w szerokich kałużach stała na jego płaszczu. Na ten widok parsknęła ze śmiechu panna Kamilla, cofnęła się wgląd koczając ze wstrętem i zawołała:

— Belciu! niech on ciebie przenieś.

— Fi! fi! — krzyknęła Francuzica — nieznośna Kamilciu! czyż ty masz sumienie?

280 — W rzeczy samej to niepodobna — rzekł pan Józef. — Ten biedny człowiek okropnie wygląda. Raczcie panie przyjąć moją usługę. Jestem silny i cokolwiek czystszy od niego.

— Cóż mam robić? pan zamoczy nogi.. nie czas certować się. Bierz pan — dodała z niewypowiedzianym wdziękiem i wyciągnęła ku niemu ręce.

— Michaś! trzymaj konie — krzyknął pan Józef, otworzył drzwiczki i wziął na ręce wyniosłą, zgrabną i lekką panienkę. Ona objęła jego szyję drżącą ręką i już nie śmiała się, bo czuła jak ją tulił silnem ramieniem, jak stapał ostrożnie, aby żadna kropla na nią nie bryznęła, jak szedł z wolna, może dla tego, aby dłużej nieść tak miły ciężar, jak ją wsadzał delikatnie, aby jej nóżka nie dotknęła nawet zbryzganego wasążka. Gdy już usiadła, spojrzała nań z wdzięcznością i w tem wejrzeniu jej czarnych, ślicznych oczu wypisało się może nawet więcej, niż chciała.

Wrócił pan Józef znowu do koczając i przeniósł także pannę Beldeau, która z dziwnymi umizgami i mi-
300 noderyą sadowiła się w jego objęcia. Tak więc obie znalazły się niespodzianie w bryczce młodego podróżnego, który stanął na stopniu i usiadł z boku na wasążku. Nim przeprężono konie i wydobyto powóz, co potrwało blisko pół godziny, panna Kamilla, chcąc zacząć rozmowę, a może dowiedzieć się czegoś, skąd, dokąd jedzie, rzekła:

1) mię, 2) śródka.

— Jakiego pan masz pięknego psa. — Amor, leżąc na koźle i spuściwszy głowę do środka¹⁾ bryczki, jakby rozumiał, że o nim mowa, spojrział ciekawie i łagodnie w oczy panienki i zaczął podnosić ogromne swe uszy. — Jak on patrzy — dodała panna Kamilla — jakby mnie rozumiał.

— Bo w rzeczy samej rozumie — odpowiedział pan Józef. — Pies jeszcze bystrzej patrzył w oczy, to swemu panu, to pannie Kamilli.

— Jak się nazywa? — zapytała.

— Ma nazwisko trochę romansowe, a zarazem pedanckie. Nazywa się Amor — odpowiedział, czerwieniąc się pan Józef.

— On pewnie nie kąsa? — rzekła panna Kamilla, wyciągając rękę i głaszcząc nieśmiało piękne zwierzę. W gnieniu oka Amor podniósł się, spuścił się delikatnie do środka¹⁾ bryczki, przysiadł na tylnych²⁾ łapach tak, że jej nóg nie ugniótł i położył głowę na jej kolanach. Z początku trochę przestraszona, potem uradowana, panienka zaczęła go głaskać i pieścić, a pies patrzył jej w oczy i wejrzeniem pełnym wyrazu zdawał się dziękować za jej dobroć. A gdy po chwili odjęła rękę od jego głowy i przestała go karesować, zwinął się w kłębek i u nóg jej się położył.

— On pani nogi ugniecie — rzekł prędko pan Józef, rad w duszy, że pies przeniknął jego myśli.

— Bynajmniej. Pozwól mu pan zostać! Co to za pocziwe stworzenie! Onby mnie teraz obronił, gdyby mi kto chciał krzywdę zrobić — dodała panna Kamilla, patrząc dziwnie na zajmującego się widocznie młodzieńca.

— Tego możesz pani być pewna, i dziękuję pani, żeś tak łaskawie przyjęła wiernego towarzysza mojej 340 podróży.

— Pan z daleka jedzie? — zapytała.

— Jadę z Podola, gdzie mam maleńki mająteczek, dla odwiedzenia moich rodziców, dziada i babki, którzy tu mieszkają. Mam także siostrę, dobrą i kochaną, której Bóg daje męża i na której ślub³⁾ śpieszę.

1) śródka, 2) zadnich, 3) szlub.

— O, mój Boże! — cóż to musi być za szczęście mieć brata! — rzekła panna Kamilla.

— Jest to błogosławieństwo Boga, kiedy familia liczna i zgodna — odpowiedział pan Józef.

350 — Pan mówiłeś, że rodzice pana mieszkają tu; gdzież to? czy daleko? — zapytała, spuszcżając oczy.

— W tej wsi, którą pani widzisz.

— W Czaplńcach?

— Tak jest — odpowiedział, czerwieniąc się.

Żywy rumieniec okrył także twarz panny Kamilli. Ale wkrótce, jakby uczuła to, że jej lice płonie, potrzebowała główkę i z uśmiechem rzekła:

— Więć będziemy przez niejaki czas sąsiadami! Mam nadzieję, że pan zechcesz odwiedzić mego ojca.
360 To tak blisko!

— Będę bardzo szczęśliwym, jeżeli pan prezes pozwoli mi złożyć sobie uszanowanie.

— Czy nie jest już panu obowiązany, żeś wyrażował z biedy jego jedynaczkę? — Potem, obracając się na prawo, może dla ukrycia swego pomieszania i wzruszenia radości, rzekła: — Stąd widać¹⁾ wiele dworów w Czaplńcach; czy też ja zgadnę, w którym pana rodzice mieszkają?

— Niech pani spróbuje — odpowiedział, czując
370 jakieś dziwne szczęście, które piersi jego zalewało.

— Patrz pan — rzekła wyciągając rączkę — w tym domu, gdzie topole koło wrót i z którego ten wysoki słup dymu wychodzi. Czy zgadłam? — dodała zwracając twarz ku niemu, i patrząc z wyrazem pełnym znaczenia.

— O! zgadłaś pani, tam urodziłem się — odpowiedział drżącym głosem; ale daleko wymowniej odpowiedział wzrokiem na jej przenikliwe wejrzenie. W czasie tej chwilowej i niemej rozmowy ich oczu i dusze
380 tych dwojga ludzi, które przypadek sprowadził, zabrały z sobą ściślejszą znajomość.

Tymczasem powóz był już wyciągnięty z kałuży i konie napowrót przeprężone. Furmani siedzieli na kozłach, szło tylko o to, jak znowu damy przeprowadzić

¹⁾ widno.

do ich powozu, aby nie zamoczyły nówek. Panna Kamilla, z taktem właściwym kobiecie, a raczej nie chcąc pokazać rodzącej się słabości, rzekła z wdziękiem:

— Już teraz pana fatygować nie będziemy. Niech pan każe tak podjechać pod nasz powóz, żebyśmy mogły przeskoczyć niewielki przedział.

Gdy się stało, jak chciała, i drzwiczki od koczka były otwarte, najprzód panna Beldeau, stanąwszy na wasażku i opierając się jedną ręką na ramieniu pana Józefa, a drugą na ramieniu Ignacego, szczęśliwie, choć nie bez grymasów i śmiechów, dostała się do koczka.

— Teraz na mnie kolej—rzekła panna Kamilla—ale chciałabym się jeszcze pożegnać z pańskim towarzyszem podróży, który mnie tak gościnnie przyjął.

— Amor! — zawołał pan Józef. — Powstał pies 400 i spojrział w oczy panu, jakby chciał dowiedzieć się, co każe.

— Pocziwy Amor! — zawołała panienka, głaszcząc go. — On położył znowu głowę na jej kolanach, a wdzięczna panna Kamilla, objawszy ją obiema rączkami, przyłożyła do niej zarumienioną twarz i rzekła: — Bądź zdrów, pocziwy piesku! ładnie się nazywasz. — Potem porwała się, lekka i zgrabna, a zaledwo¹⁾ dotknąwszy ręką ramienia pana Józefa, jak sarneczka przeskoczyła z bryczki do koczka.

410 Gdy drzwiczki były już zamknięte, a młodzieniec stał jeszcze przy powozie, jakby czekał ostatniego słowa, wyciągnęła ku niemu rękę i dodała:

-- Dziękuję panu! nie zapomnę nigdy tej przysługi. -- Wziął jej rękę pan Józef, przycisnął do ust i uczuł delikatne i parę razy powtórzone ściśnięcie.

Ruszył kocz, ruszyła i najdyczanka²⁾ i rozdzielili się. Jedno pojechało na lewo, drugie na prawo, ale myśli ich były podobno razem.

II.

420 Dom prezesa Zagartowskiego był obszerny, za-

¹⁾ za'edwie, ²⁾ nietyczanka.

wszędzie jeszcze czegoś nie dostawało: był niedobudowany, w gospodarskich budowlach niekompletny, nawet w wewnętrznem umeblowaniu nie miał tego wykończenia, tej zupełności, która zdaje się mówić: już dosyć. Bo w rzeczy samej, dla prezesa, jak niegdyś dla Jezuitów, nigdy nie było dosyć. Bo też w duchu, chęciach i sposobach, był prezes zupełnym Jezuitą. Dla niego cel był wszystkim. Dążył do niego stale i upornie, oceniał środki¹⁾ nie uczuciem, nie sumieniem, ale rozumem, i uznawał²⁾ każdy z nich za dobry, jeżeli doprowadzał do celu prędko i skutecznie. W zewnętrznem ułożeniu miał także wiele podobieństwa: był łagodny, ujmujący, kochał dzieci, pochlebiał matkom, chętnie pożyczał na maleńki procent, ale gdy przyszedł termin, był nieubłagany. Nie był to wszakże skąpiec. Owszem, lubił wygody i dla siebie niczego nie żałował. Szczególniej jadł ogromnie i stół jego można było uważać za najlepszy w okolicy. Ale był łakomy, zdobywczy, pragnął coraz więcej nabywać, rozszerzać się, zaokrąglać. Szyszkowce dostał po ojcu, który był kiedyś komisarzem w jednym z najmożniejszych domów na Podolu. Do tej pięknej wsi przydał już pięć innych, ale jeszcze nie powiedział sobie: basta. Teraz właśnie wszystkie swe siły, wszystkie sprzężyny wyteżył na Czaplince, aby kollokowaną w nich przed kilkunastu laty szlachtę skuścić. Ten był cel życia, to marzenie prezesa; z tą myślą kładł się i wstawał.

Prezes był niewielkiego wzrostu. Gdy szedł, przechylał się na kucych nogach, bo był dość otyły. Podniesione miał plecy, krótkie ramiona i tłuste rączki, które zwykle splatał na brzuchu i kręcił młynka dwoma wielkimi palcami, przechyliwszy głowę. Była to jego zwykła poza, i że tak powiem, jego szyk bojowy, zwłaszcza, gdy się imał defensywy; gdy kogo słuchał, a nie chciał odpowiedzieć; gdy co innego myślał, a co innego mówił; gdy krętą ścieżką sprowadzał swą ofiarę do swego celu; gdy go o co proszono, a on nie chciał zadosyć uczynić; gdy mu kto ostre przymówki robił, a on je znosił i ofiarował Panu Bogu. Bo prezes nigdy

1) środki, 2) przyznawał.

460 się prawie nie gniewał, nie zapalał; ale cicho, jedno-
stajnie, to idąc, to pełznąć, to drapiąc, to depcąc¹⁾, ale
zawsze pobożnie z przechyloną głową, z rękami splecio-
nemi, z młynkiem dwóch wielkich palców, dochodził do
swego przeciwnika, porzucał tę pobożną i pokorną minę,
zmieniał zupełnie głos i wówczas mówił wprost do rze-
czy, zwięźle i mocno. Twarz miał nieszpeta, ale sze-
roka, takież nos i usta. Dwa zębów nie miał z przodu,
przez co syczał, zwłaszcza wówczas, gdy wymawiał: Je-
470 zus Marya! od czego zwykle zaczynał frazes, gdy uda-
wał zadziwienie, gdy się na co nie zgadzał, gdy pod
powłoką łagodnych słów i sumienia ukrywał jad zawzię-
tości, szachrajstwo lub łakomstwo. Wtenczas także
przymrużał siwe oczy bystre i przenikliwe, marszczył
wąskie czoło, na którym sterczyły prosto nisko przy-
cięte włosy, jasnego, ale nieczystego koloru.

Od lat dwunastu prezes owdowiał. Żona jego, po
której wziął znaczny posag, pochodziła z dawnych or-
miańskich femilii, osiedlonych koło Kamieńca i w Ga-
480 licyi na Pokuciu²⁾. Była to kobieta żywa, ładna, wy-
soka i mocno śniada, z nosem cokolwiek za dużym
i z oczkami zanadto wielkimi. Zostawiła mu jedną
tylko córkę, która wzięta od matki kibić wyniosłą
i giętką, płeć cokolwiek śniadą, czarne oczy, krucze
włosy, a może i żywość wschodnią. Ale co w matce
było nadto wydatnem i ostrem, to już złagodziło się
i zaokrągliło w rysach córki, tak, że była kompletnie
piękną brunetką. Prezes nie żałował wydatków na jej
wychowanie, ale nie umiał niem kierować, a przytem nie
490 miał czasu i chęci. Mówiła ładnie po francusku, ale
mało umiała; grała biegle, ale bez wyrazu i taktu; ry-
sowała, ale niepoprawnie i ostro, bez pojęcia cieniów
i światła, bez uczucia piękności. Ten niedostatek miał
źródło³⁾ w jej charakterze żywym, samowolnym, nieuję-
tym, któremu zatrudniony swemi zdobyciami ojciec po-
zwolił rozwinąć się zupełnie, a którego guwernantki
niedbałe i nieumiejętne z dzieciństwa uhamować nie
umiały. Wszakże te wady nie ujęły pannie Kamilli po-

¹⁾ depcząc, ²⁾ na pokucie (niezawodnie błąd drukarski), ³⁾ źródło.

wabów, bo szczodra natura dała jej dowcip, rozum naturalny i bystry, serce ogniste, prawe, pełne nieograniczonej dobroci i najszlachetniejszych popędów. Pysznił się prezes wdziękami i rozumem córki, ale nie można powiedzieć, żeby ją kochał tą wysoką rodzicielską miłością, która jest najczystszyim promieniem, jaki się z nieba przedarł do ziemi. On ją kochał, jako coś najdroższego, co do niego należało. Ona zaś, widząc wszystkie działania ojca, chociaż go kochała, choć milczała, ale w duszy przychodziła nieraz do tego bolesnego stanu, do którego czasem niebaczni i nieuczciwi rodzice dowodzą rozumne i szlachetne dzieci; panna Kamilla nieraz w bezsennych nocach sądziła postęпки ojca i potępiała je ze łzami.

Panna Beldeau była to brzydka Francuzica, bez nauki, ale nie ze złem sercem, pełna pretensyi, z której sobie drwiła rozumna i dorosła panienka. Panna Beldeau nie była w stanie poprawić wad, jakie się w tem cudnem stworzeniu zagnieździły. Całą jej zaletą była sličzna francuska pronuncyacya, za co też od lat piętnastu brała na Wołyniu i na Podolu po różnych domach po 200 i po 250 dukatów. Z początku panna Beldeau zwróciła baterye swych wejrzeń i uśmiechów na prezesa, od czego zwykle zaczynają guwernantki Francuzki, gdy się dostaną do wdowców. Ale przekonawszy się, że nie będzie mogła zostać macochą swej uczenicy, i widząc, że miejsce dobre, stół wytworny, roboty żadnej, ekwipaż na zawołanie, postanowiła być dogodną i usłużną towarzyszką panny Kamilli, pozwolić jej robić coby się jej tylko podobało i znosić ze śmiechem wszystkie jej drwiny i żarty, przeklinając tylko czasem przeklęty kraj, w którym za nic zgromadziła do 20 tysięcy i napakowała pełne kufry kulców, łańcuchów, grzebieni, koralu i sukien.

Taki to był dom, tacy główni jego mieszkańcy, do którego czytelnicy pozwolą się wprowadzić.

Na dziedzińcu, który był w części obmurowany niskim murem i ozdobiony topolami, a w części płotem, przed gankiem z kolumnami, który nie zajmował

środkowej¹⁾ części domu, ale wznosił się na rogu, bo druga połowa miała dopiero podmurowanie, stała bryczka, niekryta, pleciona, zabryzgana i stara. Siedzenie, wysłane słomą, zakryte było dziurawym kilimkiem, zamiast koźła była deszczułka, na której siedział w brudnej siermiędze niewielki chłopak zgarbiony, z rękami pochowanymi w rękawy, z czapką nasuniętą na uszy i patrzył niedbale na dziedziniec, gdzie przeprowadzono zgrzane konie, którymi wróciła panna Kamilla. Koło nóg jego, w rogu bryczki, zatknięty sterczał batożek, i przytrzymywał trzy sznurki, służące za lejce²⁾ trzech niewielkich koników, zaprzężonych w szlejach parcianych. Konie były różnej maści i różnego wzrostu; ale wszystkie trzy doskonale chude i jednakowo widać głodne. Opuściły bowiem uszy i pozwieszały głowy, marząc zapewne, jeśli nie o obroku, którego już dawno nie widziały, to o dobrej wiązce siana, która im się także najsprawiedliwiej należała. Było typ ekwipażu podupadłego szlachcica.

W tem stajenny przeprowadzający konie zbliżył się do zamyślnego chłopca i patrząc na jego ekwipaż i uprząż z pogardą, do czego miał zupełne prawo, bo
560 trzymał w rękę parę dzielnych koni w ładnych szorach, zapytał:

— Czego to tak twoje szkapy zadumały się?

— Oho! — odpowiedział chłopak, nie zmieniając bynajmniej pozycyi — i tybyś się zadumał, jakbyś jadł tydzień tylko słomę.

— Albo to u was w Czaplincach już i siana nie ma?

— W Czaplincach jest, ale u nas nie ma. Co było trochę zboża i siana, to wszystko żyd zabrał.

570 — Jaki żyd?

— A juźci wasz Szloma, co wszystko daje na kredyt, a potem zagrabi, co się urodzi.

— A na cóż bierzecie?

— Aha! na cóż bierzecie? a dyabeł ich wie, na co oni biorą. Siedzą na trzech chatach, a chcą być panami i brać wszystko na kredyt. A jak przyjdzie pła-

¹⁾ środkowej, ²⁾ lice.

cić to nie ma z czego, — i uśmiechnął się owym chytrym chłopskim uśmiechem, który się zawsze objawia na licu poddanego, ile razy pan w kłopotcie.

- 580 — I czyżże ty?
 — Pana Pożyczkowskiego.
 — Czy on tu?
 — A tu.
 — A pocóż on tu przyjechał?
 — A dyabli go wiedzą.

Stajenny odprowadził konie dalej. Chłopiec, wy-
 rzekłszy obojętnie te ostatnie słowa, któremi zwykle
 kończy się rozmowa ludzi o projektach ich panów sie-
 590 dział dalej zgarbiony, z gębą wpółotwartą, z okiem
 wpół przymrożonem, a jego konie stały, jak pierwej, ze
 zwieszonemi głowami, nieruchome, jak owa czwórka na
 kościele Ś. Marka w Wenecyi.

Tymczasem w gabinecie prezesa, w którym pod
 jedną ścianą stało jego biurko ogromne i kosztowne,
 pod drugą piękna kanapa z drogiem obiciem, pod trze-
 cią także krzesła i szafki, a pod czwartą proste dębo-
 we stołki i stolik taki, jakiby ledwie ekonom w swoim
 pokoju postawił, były trzy osoby. Na bogatym i wygo-
 dnym fotelu siedział prezes wyprostowany; pulchne
 600 rączki jego leżały na wypukłym brzuchu, dwa wielkie
 palce kręciły powolnego młynka, głowa z najeżoną czu-
 pryneką przechylona była na bok pobożnie, a oczy z wy-
 razem pokory i miłosierdzia zwrócone ku siedzącemu
 z boku panu Pożyczkowskiemu. Na jednym z owych
 prostych stołków i prawie na rogu przylepił się skromnie ów nieszczęśliwy pacjent. Był to człowiek już nie
 młody, blady, chudy, z siwą głową niedbale uczesaną;
 surdut miał wytarty, podobno kiedyś ciemno szaraczko-
 waty, kamizelkę białą i brudną, a spodnie nankinowe,
 610 które, podnosząc się zbyt wysoko, zdradzały cholewy
 niepoczernione i rude. Pod pachą miał czapkę baran-
 kową, niezmiernie starą i zwiniętą w rurkę, a łokcie
 i ręce przycisnąwszy do swego ciała robił się jeszcze
 węższym, niż był w istocie. Widać, że to był człowiek
 zbiedzony, przywykły do subordynacji domowej, narzę-
 dzie obcej woli. popychadło, które zwracało się tam,
 gdzie je popchnięto. Bliżej ku drzwiom stał Szłoma

Krzemieński, Szłoma był to żyd edukowany i Szejne-
Morejne. Mógł mieć ledwie lat czterdzieści. Wysoki
620 i kształtny, twarz miał cokolwiek cspą oznaczoną, ale
rysy jego, chociaż okrągławe, nos trochę zadarty, usta
trochę za szerokie, były pełne wdzięku i męskiej pię-
kności. Oczy jego czarne, osłonięte długimi rzęsami,
jaśniały uprzejmością, uśmiech prawie ciągly roztwierał
jego usta i odkrywał zęby czyste i nadzwyczajnie pię-
kne. Aksamitna jarmułka przykrywała jego głowę,
a pejsy niezbyt długie, broda niezbyt wielka, uczesane
starannie, lśniły się jak krucze skrzydła. Czarny mate-
ryalny kaftan, prawie nowy, nie miał ani jednej plamki.
630 Za jedwabny pas zasunawszy wielkie palce, trzymał
w jednej ręce sobolową czapkę, a drugą wystawił jakby
na pokaz, tak była biała i czysta. Nawet buty Szłomy,
z wysokimi cholewami, z węgierska wykrojone, były
wyczyszczone, wyglansowane i nie okazywały ni śladu
błota. Szłoma, syn bardzo wziętego w swoim czasie cy-
rulika, naznaczony pierwiastkowo na doktora, do szes-
nastu lat był w szkołach w Krzemieńcu. Obdarzony
z natury najpiękniejszymi zdolnościami, uczył się do-
skonale, przeszedł jako uczeń celujący pierwsze cztery
640 klasy¹⁾ i był dwa lata na pierwszym kursie nauk wyż-
szych. Ale w tym czasie ożeniono go i natura żydowska
przemogła, pociągnawszy go od książki do łokcia, od
rachunku algebraicznego do prostej kredki²⁾, którą się
zapisują złotówki i grosze. Wziął się do handlu i za-
pomniał o doktorstwie. Znajomość z paniczami, dawniej-
szymi kolegami, zrobiła go także ich bankierem. Poży-
czał im, przez przyjaźń i koleżeństwo, na mniejsze, niż
inni żydzi, procenta i tym sposobem liczną miał klien-
telę i nie stracił szacunku, a czasem i towarzystwa
650 młodzieży, wśród której praktycznie się kształcił. Stąd
więc chociaż nie przestał być żydem, przybrał formy
wyższe w sposobie wyrażania się czystą polszczyzną,
w grzeczności i stroju. Wiedział przytem, że jest pięknym
mężczyzną, dołączył więc kokieteryę i wdzięczną
układność do tych przymiotów naturalnych, i wszystko
to obrócił na korzyść swej kieszeni. Po zmianach Krze-

¹⁾ klasy, ²⁾ krydki.

mieńca poznał się z prezesem. Odgadli się prędko oba, bo cel ich był jednaki, chociaż sposób zapatrywania się na środki, które do niego prowadziły, niezupełnie tenże
 660 sam. Został więc Szloma agentem i mistrzem prezesa, zastrzegłszy sobie we wszystkich działaniach znaczne beneficja. Porzucił miasteczko, przeniósł się do Szysz-
 kowiec, wzięwszy w arendę¹⁾ wielką karczmę na trakcie, gdzie kontynuował swój handel. Szloma miał wszystko: sukno, materye, płótna, cukier, kawę, wino, mięso, słowem, czego tylko potrzebować mogła szlachta okoliczna i przejezdni panowie. Wszystko było na pozór w niewielkich masach²⁾, po troszkę, kupowane niby dla siebie i ustępowane przez grzeczność. Tym sposobem unikał podejrzeń i prześladowań ziemskiej policji, z którą
 670 przytem umiał się zachować w najprzyjaźniejszych stosunkach, szczególnie przez żony urzędników, które do niego często zwracały drogę na popas lub na nocleg. Nie tylko towary dawał Szloma chętnie na kredyt ale nawet i pieniędzy pożyczał i to na umiarkowany procent, zwłaszcza tym z osobnych posiadaczów, których mu ukazał prezes. Tym sposobem zrobił sobie wielką reputacyę i zjazdy u niego bywały liczne. Zyskiwała na tem arenda, a jeżeli co utracił przez nieakuratność lub
 680 bankructwo, którego z dłużników, to mu bonifikował prezes. Teraz, skłoniwszy państwa Pożyczkowskich do wyprzedania części swojej w Czaplincach prezesowi, wraz z nim przybył skończyć ten ważny interes, umówić się o cenę i dług swój zabezpieczyć.

— Jaśnie wielmożny pan sam widzi, — mówił Szloma z uśmiechem — że wszystko w moim rejestrze porachowano sumiennie i taniej, niż się płaci w miasteczkach. Niech jaśnie wielmożny pan raczy zwrócić uwagę na wino, na cukier, na inne produkta, których
 690 dostarczałem pani Pożyczkowskiej. W Krzemieńcu daleko drożej, nie licząc jeszcze tego, że trzy lata czekam.

— Już to ja nie widzę żadnej różnicy. I owszem. zdaje mi się, żeś na każdej rzeczy naliczył dobry procent — odpowiedział prezes.

¹⁾ arędę, ²⁾ massach.

— Tak i moja żona mówiła — rzekł, podnosząc się z lekka na stołku pan Pożyczkowski i siadając znowu jeszcze prościej.

700 — Jasnie wielmożny pan się myli — odpowiedział Szloma. — Jest to zwykłe panów uprzedzenie o ludziach naszego wyznania, że żadnej przysługi bez wielkich zysków nie czynią. Bez wątpienia, w wielkiej części zarobiliśmy na tę opinię, ale są wyjątek, chcę mówić wyjątki, i między żydami.

Te wyrazy *opinię, honor, moralność* i t. p. wymawiał zawsze z pretensją, jako niezwykle w ustach żyda, a ile razy mu się zdarzyło pomylić w języku, tyle razy zawsze się poprawił, przypomniawszy sobie lekcye wymowy, które brał na pierwszym kursie w Krzemieńcu.

710 Prezes puścił swe palce w przędszego młynka, przechylił głowę i rzekł:

-- Słuchaj-no, Szloma! my wiemy, że umiesz ładnie mówić i wszystko potrafisz okraścić.

— Co to, to prawda, jasnie wielmożny panie! — dodał prędko pan Pożyczkowski, podnosząc się na stołku i znowu opadając, — tak i żona moja mówi.

— I prawdę mówi pani Pożyczkowska dobrodziejka¹⁾ — rzekł prezes. — To filut niebezpieczny, który nie darmo był w szkołach. — Szloma uśmiechnął się na te słowa i znowu, założywszy palce za pas, zaczął prawą wybijać capstrzyk na brzuchu. — Otóż słuchaj żydzie! — dodał prezes, wzięwszy ze stołu rachunek — należy ci się wszystkiego trzy tysiące złotych. —

— Czy tak, panie Pożyczkowniki?

— Tak, jasnie wielmożny panie!

Wziąłeś — mówił dalej rozjemca — zboża na pięćset złotych. Tak?

— Tak, jasnie wielmożny panie — odpowiedział żyd.

730 — Otóż widzisz, sumienie przedewszystkiem. Grosz, ustąpiony sierocie i wdowie, daje zasługi na dukat; grosz, wzięty nadto od biednego człowieka, przyczynia grzechu na cetnar. Wszystko nam jest porachowane... tam. — To powiedziawszy, prezes przechylił jeszcze

¹⁾ dobrodzika.

mocniej głowę: pan Pożyczkowski skruszony westchnął głęboko, a usta żyda przeciągnęły się ironicznym uśmiechem. — Otóż, zważając — mówił dalej prezes — małe przydatki na cenie tych rzeczy, któreś porobił; zważając znowu na niskie ceny, jakieś położył na żyto, na 740 jęczmień, na siano, wzięte od państwa Pożyczkowskich... bo gdzie to teraz korzec żyta po cztery złote, ha? Oj! Szloma! Szloma!

— Ale niech jaśnie wielmożny pan raczy uważać...

— Jezus Marya! — zawołał prezes, sycząc — czy to ja nie wiem? czy nie sprzedaję¹⁾, czy nie kupuję? Powinieneś ustąpić, Szloma!

— Jeżeli jaśnie wielmożny pan znajdujesz, że rzecz słuszna — rzekł Szloma, niby rezygnując się.

750 — Jakże niesłuszna? bardzo słuszna! Odstąpisz im i odstąpisz pięćset złotych.

— Jaśnie wielmożny pan jesteś prawdziwym naszym dobrodziejem — rzekł, wstawszy prosto jak świeca pan Pożyczkowski. — Niedarmo moja żona mówiła..

— Jezus Marya! czyż to warto dziękować za to, co człowiek robi przez obowiązek sumienia? Czemżebyś tu był, gdybym nie użył ladajakiego wpływu, jaki tu mam nad tym szachrajem, na ulżenie moim sąsiadom? Więc ustępujesz?

760 — Oóż mam robić? — odpowiedział żyd — dla dobrego uczynku. Znam położenie tych państwa i Pan Bóg mnie tego, chcę mówić to, z innej strony nagrodzi — dodał z konfidencyjnym wejrzeniem do prezesa, który nieznacznie westchnął i zaczął prędszego młynka palcami, bo wiedział dobrze, że on te pięćset złotych zapłaci.

— Tak więc z ceny mająteczku państwa spada dwa tysiące złotych — mówił prezes cichszym głosem.

770 — Ale usiądź-że, Pożyczkowski. Czy są jeszcze inne długi?

— Są, jaśnie wielmożny panie — odpowiedział wyprostowany szlachcic i przypadł na róg stołka.

— A jakie?

1) sprzedaje.

— Panu Starzyckiemu winniśmy pięćset złotych.

— No, to bagatela — rzekł prezes.

— Tak i żona moja mówi, jaśnie wielmożny panie!

— A więcej?

— Panu komisarzowi Jampolszczyzny winniśmy
780 dwa tysiące sześćdziesiąt sześć złotych i groszy dwa-
dzieścia. Moja żona mówi, że to człowiek zły i nie-
ludzki; gotów nas tradować.

— Jeżeli wierzyciel upomina się o swoje, to już
to u nas taka moda nazywać go niehumanim — rzekł
żyd z powagą.

— Pani Pożyczkowska dobrodziejka ma rację —
przerwał prezes — bo są przypadki, w których nawet
upomnienie się o swoje jest niehumanością. Sumienie,
przedewszystkiem sumienie, panie Szlomo! Ja wiedzia-
790 łem o tem, że ten pan komisarz człek twardy, i przez
względy sąsiedztwa i szacunku, jaki mam dla pana
i dla pani Pożyczkowskiej dobrodziejki, nabyłem ten
dług.

Żyd uśmiechnął się, uderzywszy się parę razy
palcami po brzuchu, a pan Pożyczkowski powstał nie
wiedząc, czy ma być wdzięcznym i dziękować, czy się
tem martwić i przestraszyć.

— Usiądź, panie Pożyczkowski! o ten dług mo-
żecie być spokojni. Jeszcze ja tu mam — rzekł prezes
800 kiwając głową — rewersik pani Pożyczkowskiej dobro-
dziejki, który mi się dostał od Rejci. Pocziwa ta ży-
dowica użaliła się nad wami. Dała się skłonić do ustą-
pienia z tysiąca złotych stu i te ja i wam ustępuję.

— Dziękuję, jaśnie wielmożny panie. Moja żona
mówiła...

— Pani Pożyczkowska dobrodziejka zna mię do-
brze i niech będzie pewna, że w każdym zdarzeniu go-
tów będę jej służyć. Tak więc ważniejszych długów
państwa jest: 2000 Szlomie, 500 zł. panu Starzyckiemu,
810 mnie 3500, bo tych 66 zł. gr. 20 nie rachuję. Sumienie
bowiem przedewszystkiem. Wszystkiego zatem 6000 zł.
polskich. Czy tak?

— Tak, jaśnie wielmożny panie — rzekł biedny
szlachcic, podnosząc się i przysiadając.

— Suma¹⁾ wyszła okrągła — dodał żyd, z uśmiechem.

— Drobnych dłużków po kilkadziesiąt i kilkanaście złotych nabierze się zapewne na tysiąc złotych.
820 Nie prawdaż? pan zapewne ich i nie pamiętasz wszystkich.

— Moja żona pamięta wszystkie, jaśnie wielmożny panie!

— O! pani Pożyczkowska to gospodyni całą gębą. *Hic mulier*, — rzekł żyd! uśmiechając się.

— Jeszcześ nie zapomniał łaciny — przerwał prezes. — Oj ty, żydzie! lepiej mniej łaciny, a więcej sumienia! sumienia! Otóż te 6000 zł. i 1000 na drobne dłużki państwu zatrzymam; a reszta przy zawarciu
830 tranzakcyi natychmiast gotowizną zapłacone zostaną.

— Ale jaśnie wielmożny panie! — rzekł szlachcic, powstawszy, — moja żona mi mówiła, że nie mogę inaczej ustąpić tej części jak po 55 dukatów za mężką duszę.

— A za kogoż mnie pan masz, panie Pożyczkowski? Czyżbym ja chciał korzystać z położenia takich zacnych ludzi? Wasza częśćka ma tę niedogodność, że leży w samym środku²⁾ Czapliniec i ma ze wszystkich stron sąsiadów — rzekł prezes, westchnąwszy
840 i patrząc z ukosa na Szłomę, który się na to uśmiechnął; ale za to ma wodę, która mi się przyda. Żebyś więc pan miał dowód, jak ja państwa szanuję; jak cenię panią Pożyczkowską dobrodziejkę, to daję wam nie po 55, ale po 56 za duszę i koszta wszystkie biorę na siebie. — Żyd pokiwał głową, a prezes mówił dalej: — Czegoż ty się dziwisz, Szłoma? Sumienie, mój kochany sumienie przede wszystkim! Wiele to wypadnie za jedenaście dusz ostatniej rewizyi?

Żyd podniósł głowę w górę, błysnął ładnymi oczami,
850 zabębnił palcem po brzuchu i rzekł:

— Za odtrąceniem 7,000 zł. na długi, zostaje na rzecz państwa 5,320 zł.

— Kontrakty w Dubnie niedaleko. Za tę sumkę będziecie państwo mieli ładną posesyjkę i będziecie

¹⁾ summa, ²⁾ śrózdku.

spokojni. Bo to małe dziedzictwo, panie Pożyczkowski, to wielkie kalectwo, nie prawdaż?

— Prawda, jasnie wielmożny panie! tak mi i żona moja mówi.

— Jedź-że pan teraz do domu, powiedz to
860 wszystko pani Pożyczkowskiej dobrodziejce, i przyjeżdżajcie tu razem jutro, lub pojutrze dla podpisania transakcyi; a już ja sam poślę ją do akt. To nie będzie was kosztować ani grosza.

Powstał szlachcic, jeszcze bleśszy niż był dotąd, ukłonił się, nie odejmując rąk od ciała i wysunął się, cofając się tyłem do drzwi. Gdy siedział już na swoim wózku, odziany dziurawym i wytartym płaszczykiem, potarzał sobie w myśli całą rozmowę, aby mógł zdać dobrze sprawę żonie, sam nie wiedząc nieborak, czy nie
870 zrobił jakiego głupstwa i czy mu się za to nie dostanie od najdroższej połowicy. Tymczasem chłopiec woźnica ćwiczył batożkiem głodne i chude szkapy i szarpał co moment sznurkami, aby im dodać energii. Gdy się dowlóknął do domu i wjechał we wrota, spostrzegł na ganku swego dworku panią Pożyczkowską dobrodziejkę. Była to kobieta wysoka, pleczysta, dosyć ciała mająca, z ogromnemi czerwonymi rękami. Cała jej twarz dość regularna obsypana była przyszczami. Siwe oczy bez
880 perkalowy biały z wielką szlarką, którą wiatr na tył odrzucał. Szlafrok materyalny, ale stary, dziurawy, założony na piersiach i zamęczony na łokciach, odziewał ją. Przed sobą miała fartuch a w rękę watek, którym właśnie wałkowała ciasto na kluseczki, które miały stanowić kolację. Za matką wybiegła dziewczynka obszarpana, bosa, brudna i rozczochrana, którą ona nazad do sieni wtrąciła. A gdy mąż podjechał pod ganek i, widokiem tym zmieszany, sam nie wiedział, którą nogę wprzód wysadzić z bryczki, krzyknęła na niego grubym
890 głosem pani Pożyczkowska: — Chodź-że prędzej, serce, i gadaj, coś zrobił. — Zlazł biedak, straciwszy cały ciąg rozmowy z prezesem. Żona wzięła „serce“ za płaszcz i popchnęła do sieni, których drzwi wkrótce za tem dobranem stałem z trzaskiem się zamknęły.

Gdy pan Pożyczkowski wyszedł, prezes i jego minister zostali na miejscu. Żyd stał, jak pierwej, trzymając się za pas i z uśmiechem na ustach; prezes siedział, jak pierwej, z rękami splecionymi na brzuchu. Ale wielkie jego palce zwolna już obracały się, jak
 900 koła wiatraku, kiedy wiatr ustaje. Było to znakiem ukończonej roboty, uspokojonej myśli i dobrego humoru. Jak niegdyś Ludwik XIV. posadziwszy na tronie hiszpańskim Burbona, wykrzyknął: „Już niema Pirenejów“, tak prezes, osadowiwszy się w samym środku¹⁾ wsi, na którą oddawna czatował, pomyślał w duchu: już Czaplifce moje! W tej chwili spojrzął na żyda, a żyd na niego tym wzrokiem, jakim niegdyś spoglądali na siebie bez świadków dwaj augurowie rzymscy, gdy się przepowiednie skończyły i oszukaństwo udało.

910 — Czegoż tak na mnie patrzysz?—zapytał wreszcie prezes. — Czy może źle?

— Jaśnie wielmożny pan wspaniale postąpił — odpowiedział Szloma.

— Ha! sumienie przedewszystkiem, panie Szlomo!

— Czaplifce przedewszystkiem, jaśnie wielmożny panie! — odpowiedział żyd.

Zaśmiał się prezes głośno i syknął przez szczerbę dwóch zębów.

— Jezus Marya! jakiś ty żydzie szelma! — i po-
 920 wstawszy, przybliżył się, wyciągnął ku niemu pulchną rączkę, na której żyd z uśmiechem położył białą swą i piękną rękę. Ścisnęli się oba i prezes dodał: — Wypijesz kieliszek Malagi?

— Należy mi się—odpowiedział Szloma— a także
 870 złotych.

— Pięćset, durniu! — rzekł prezes, spłótszy prędko ręce i puszczając palce w prędkiego młynka.

— A trzeci procent od 12,320 zł.? — rzekł Szloma.

930 — A prawda; no, pójdź, niech cię dyabli wezmą, obdzierasz mnie ze skóry.

¹⁾ śródtku.

I wyszli, prezes naprzód przechylając się na krótkich nogach, a żyd za nim z powagą, wspaniale, z wyrazem jakiejś wyższości i pogardy.

III.

Trzy są u nas typy w mieszkaniach wiejskich, odróżnione od siebie wielkością, architekturą i rozporządzeniem wewnętrznem, to jest: pałac magnata, dom zamożnego obywatela i dworek szlachezca. Do tych ostatnich należało mieszkanie państwa Starzyckich.

940 W samym środku¹⁾ wsi położone, odznaczało się od innych dworków porządkiem, czystością, obszernością i miłym widokiem dostatku, którego każdy prawie obywatel ma dosyć, byle się chciał we właściwych sobie granicach utrzymać. Pan Starzycki nie więcej miał od kilku innych posiadaczy Czapliniec; ale wiedział dokładnie, co ma, czego może żądać, co sobie pozwolić, a w czym odmówić. To stateczne i ciągłe rozmierzanie sił własnych i nieprzedsiębranie niczego, coby je przewyższało, było najgłówniejszym gospodarskim przymiotem tego właściciela i najistotniejszym źródłem²⁾ jego zamożności. Z tego przymiotu wyrodziły się i inne. Bo, żeby ciągle wiedzieć, co się ma, znać własne siły, trzeba to, co je stanowi, mieć ciągle przed oczami, a zatem mieć je w porządku, w całości, w dobrym stanie i w dobrej schowaniu. Żeby do tego przyjść, trzeba polubić porządek, trzeba go ciągle utrzymywać, przyuczać do niego dzieci i sługi. Żeby ten ważny rezultat otrzymać, trzeba być ciągle zajętym, czynnym, czujnym, oko gospodarza mieć wszędzie i zawsze. Stąd pracowitość,

960 stąd rozumne użycie czasu, stąd brak marnotrawstwa w chwilach życia i w tem wszystkim, co je utrzymuje, co je przyjemnia; stąd owa spokojność o jutro, która daje zdrowie ciała, wesołość twarzy, uprzejmość i dobroć dla dzieci i domowników; stąd nareszcie owa

1) środkiem, 2) źródłem.

istotna niezależność, polegająca na wybicciu się z pod tyranii potrzeb nad stan i chęci nad siły.

To usposobienie gospodarza odbiło się wszędzie: w jego mieszkaniu, w jego rodzinie, w jego domownikach i poddanych. Powiedzieliśmy wyżej, że dworek
 970 pana Starzyckiego leżał w samym środku¹⁾ wsi, na prawej stronie drogi, która ją wzdłuż przerzynała. Był on wsunięty cokolwiek w głąb wioski, a przed nim znajdował się plac niewielki i pusty. Podwórze obniesione częstokołem, ozdabiały wielkie topole. Było ono obszerne i czyste. Z lewej strony jego był ogród niewielki, złożony z młodych drzew fruktowych najlepszych gatunków; z prawej strony był drugi dziedziniec gospodarski, na którym w podkowę wszystkie zabudowania gospodarskie. Równoległe do ulicy, w głębi pod-
 980 wórza, stał dom właściciela, niewysoki, niezbyt wielki, pod dachem słomianym, ale ściany jego były białe, okna o sześciu szybach czyste i całe, a na samym środku²⁾ był ganek obszerny, nakryty, wyheblowany, z ławeczkami do siedzenia, i mający z obu stron po dwa wielkie klony, których szerokie liście dawały latem chłód, cień i zielonemi kitami zaglądały do ganku i na białych rysowały się ścianach. Z ganku wchodziło się do wielkiej sieni, w której w środku były drzwi do spiżarni pani Starzyckiej, na lewo do trzech pokoiów
 990 stanowiących ich mieszkanie, na prawo do pokoju próżnego, gdzie mieszkał syn, Józef, kiedy odwiedzał rodziców, i z którego wchodziło się do dwóch pokojów, gdzie mieszkał ojciec gospodarza i matka. Za domem ciągnął się ogród warzywny, a dalej stary ogród fruktowy, zakończony niewielkim brzozowym laskiem i sadzawką. Wszędzie widać było ślad porządku i czujności gospodarza i gospodyni; na dziedzińcu było prawie sucho, ganek był wymyty, podłogi wszędzie wyheblowane i jak nowe, meble z jesionu, obite płóciennym szarem,
 1000 wyszytym czerwonymi i czarnymi sznureczkami; nigdzie nic modnego, ale ani starego i obszarpanego, wszystko na równi ze stanem odpowiadało możliwości, wygodzie i istotnej potrzebie.

¹⁾ ²⁾ śródku.

Do takiego-to domu, gdzie panowała cichość, zgoda, miłość i wesołość, wjeżdżał z bijącym sercem nasz młodzieniec całym kłusem dzielnych swych koni. Obejrzał się wkoło, czy gdzie kogo nie obaczy, i nie dojechawszy jeszcze do ganku, zatrzymał nagle Michaśia w połowie dziedzińca, wyskoczył z bryczki i pobiegł
 1010 ku furteczce ogródka na lewo. Wyszedł z niej starzec wysoki, pełny, z twarzą jeszcze świeżą, oznaczającą czerstwość i zdrowie. Miał na sobie kurtkę manszestrową czarną, sukienną kamizelkę, na głowie jasno-popielatą zajęczą czapeczkę, mięką i ciepłą, która z fantazyą i cokolwiek na bok nałożona, odkrywała włosy srebrne, spadające na skronie. Niewielkie wąsy białe zakrywały wierzchnią wargę a w oczach jego siwych i na ustach jeszcze rumianych zajaśniał uśmiech radości i szczęścia. W lewej ręce miał toporek, który był
 1020 oddzielnym towarzyszem jego wędrówek po ogrodzie, a w prawej trzymał ręczną piłeczkę, którą widać suche gałęzie odpilowywał. Był to dziadek naszego młodzieńca, dziadzio familijny. Tak go nazywały wnuki, tak synowa, tak studzy i poddani.

— Jak się masz, mój drogi chłopcze! — zawołał czystym głosem i uściskał wnuka, który jego ręce całował. — Oho? i ty tu, mosanie Amor! — rzekł do legawca, który wyskoczył za panem i stał z boku, patrząc na nich bystro i kiwając ogonem. Pies zapiszczał
 1030 od radości, gdy do niego starzec przemówił, spiął się na jego piersi i twarz jego lizał. Gdy się to działo na dziedzińcu, turkot bryczki i brzęk kółek chomątów wywołał z domu i resztę familii. Stał na ganku ojciec pana Józefa, stała matka, stała siostra, a wkrótce za nimi wyszła niewielka, cokolwiek przygarbiona staruszka, z laseczką w rękę, i rozpychając synowę i wnuczkę, wysunęła się naprzód i do faworyta swego wyciągała drżące ręce. Upadł jej do nóg młodzieniec a gdy powstał przeżegnany, powitał z uszanowaniem ojca i matkę i chwycił w objęcia siostrę, która śmiała się i płakała razem.

1040 Gdy wszyscy poszli do pokoju, oddani wspólnej radości powitania; gdy babunia usiadła w swoim krześle i posadziła obok siebie swego Józia; gdy matka

poszła już z kluczami do spiżarni, aby jeszcze jaki przysmaczek przydać do zadysponowanej już kolacyi; gdy Anusia pobiegła do swojej szafki i wybierała garnuszczyk śmietanki do kawy z najlepszym kożuszkiem; gdy dziadzio karesował Amora i wypytywał go, wiele
 1050 bekasów spłoszył, wiele kaczek nie zniósł; gdy ojciec milczący i poważny przechadzał się zwolna i poglądał z rozrzewnieniem to na rodziców, to na syna: my tymczasem poznajmy się cokolwiek bliżej z tą zacną rodziną, która, jak się domyślam, zainteresowała już każdego, kto ceni pocziwość staropolską i wysłużone rozumem i cnotą błogosławieństwo Boże.

Pan Wincenty Starzycki, dziadek familii, wychowany w Polsce, w domu pani Kurąwanowskiej, starościny Baranowskiej, której imieniem i tytułem zaprawione było każde jego opowiadanie, przeniósł się na
 1060 Wołyń w r. 1785 i tam rządził długo majątkiem hrabiego S**, który, w nagrodę jego usług i uczciwości, dał mu na dziedzictwo w Czaplifcach piętnaście chat z dworkiem i zabudowaniem. To był początek jego fortuny, która powiększyła się niewiele, ale powiększyła się istotnie przez oszczędność, porządek, dobre zagospodarowanie. I taki był stan tych kilkudziesięciu chłopków, że każdy miał najpierw parę wołów, parę koni, kilka krów, czystą i porządną chałupę, ogród, całą stodołę
 1070 i szopę. Gdy się syn jego, Hipolit, w r. 1811 ożenił, ojciec zdał mu gospodarstwo, przyuczał do porządku i oszczędności, patrząc z ukontentowaniem, że nauki jego nie idą w las, że syn z całą energią młodego wieku brał się do dzieła i prowadził wszystko z rozsądkiem i zimną krwią, którą stary szlachcic pochwalić się nie mógł. Powiększono dworek, założono nowy ogródek, poprzerabiano gospodarskie zabudowania i tak zwolna, stopniami, ciągłym staraniem, ciągłym rozmiernianiem sił i przedsięwzięć, przyszedł ten folwareczek
 1080 do tego kwitnącego stanu, w którym się znajdował w r. 1838, to jest w epoce tych wypadków, któreśmy opisać przedsięwzięli.

Znają już czytelnicy mniej więcej naszego dzia-
 dzia, dodam tylko, że to był człowiek kardynalnie uczciwy, ale gorączka. Każda podłość, każda krzywda bliż-

niego oburzała go niezmiernie. Przywykły od młodości do korda, w późniejszym wieku zachował tylko łaskę grubą czereśniową, znajomą w całym domu pod nazwiskiem generycznem czereśni, którą się odgrażał często 1090 krzywdzieliom, czy możnym, czy ubogim, czy blizkim, czy dalekim. Wszakże czereśnia nigdy nie była w użyciu, stała ona spokojnie w tym kącie pokoju dziadziowego, gdzie wisiała jego dubeltówka, jego borsucza torba, rogowa trąbka i pas skórzany z ładunkami. Oddawna już dziadzio nie wtrącał się bynajmniej do gospodarstwa, widząc, że syn lepiej nawet rzeczy prowadzi od niego; ale pod wyłączną i bezpośrednią¹⁾ jego dyrekcją znajdował się ogród. Całe lato o czwartej z rana, w manszestrowej kurtce, z popielatą, czapeczką na 1100 bakier, z toporkiem na rękę i z króbką pasieczniczą, w której nosił swoje narzędzia ogrodnicze, wychodził do ogrodu. Tam nie cierpiał żadnej kontradycyi i od nikogo też jej nie doznawał. Wszyscy szanowali nawet jego wymysły ogrodnicze, w których wszakże nie upierał się długo. Miło było patrzeć na fantazyę starca, gdy niósł z tryumfem pierwszą wiązkę szparagów, pierwszych kilka truskawek, lub parę wisienek tylko co dośpiiałych, i oddawał synowej, którą nadzwyczajnie kochał, i której się zwykle te pýmicye industryi dziadziowej 1110 dostawały. Oprócz ogrodu miał jeszcze swoją komórkę, gdzie był warsztat stolarski, narzędzia ciesielskie i ogrodnicze. Tam przesiadywał całe dni słotne, wyrabiał różne drobiazgi, reperował brony, pługi, wózki i t. d. Zawsze, czynny, zawsze wesoły, umiał mnóstwo piosneczek do każdej okoliczności, mnóstwo dykteryjek i powieści, które się zwykle kończyły jakimś szczegółem o domu pani Kurdwanowskiej, starościny Baranowskiej. Wieczorem grywał maryasza z żoną, staruszką cokolwiek schorowaną, już przygarbioną i bladą, ale miłych 1120 rysów, jeszcze zupełnie przytomną, czystą, okrątną w stroju i przywykłą ulegać mężowi i szanować nawet jego kaprysy, za które ją później serdecznie przeproszał. Jedną wszakże miała słabość i uprzedzenie ta zacna kobieta i w tem nikt nie śmiał być innego z nią

¹⁾ bezpośrednią.

zdania. Podnosiła się ona zawsze i prostowała, jak mogła, gdy rzecz szła o jej faworyta, jej wnuka, pana Józefa. Właśnie niedawno, wskutek tej predylekcji babki, przyszedł nasz bohater do owej najdyczanki¹⁾, która jak port przypadkowy dała przytułek pięknej podróżnej, 1130 blizkiej zatonięcia w kałuży. Ofuknęła się staruszka na męża i na syna, którzy znajdowali, że wydatek ten niepotrzebny i zbyt kowny, i postawiła na swoim. Widziała ona w panu Józefie wszystkie doskonałości i broń Boże było zaprzeczyć. Miał on wprawdzie wiele przymiotów, ale dalekim był od tych perfekcyi, o których marzyła babunia. Mniej była pobłażliwą dla wnuczki, chociaż serdecznie kochała Anusię, ładną blondynkę z ślicznymi niebieskimi oczami, posłuszną, potulną ale rozumną i gotową zawsze na każde zawołanie babuni.

1140 Różnym był w wielu względach od ojca syn jego, Hipolit Starzycki, terażniejszy gospodarz tego domu. Bardziej oświecony, lubiący czytanie i zajęty często książką w chwilach swobodnych, nie miał on żywości i wesołego humoru starca. Często zamyślony, głęboko zastanawiający się nad wszystkim, co się koło niego działo, zawsze seryo, patrzył na życie ze strony jego poważnej: każdy swój obowiązek rozrząsał, widział wszystkie jego wymagania i konsekwencye, i z każdego kroku zdawał przed sobą samym ściśle rachunek 1150 łen uszanowania dla rodziców, długo, a nawet teraz niekiedy radził się starego ojca. W zatargach nieuchronnych z tyłu sąsiadami, zawsze ustępował pierwszy, jeśli wina była jego ludzi; lecz krzywdy sobie zrobić nie dał i zadzierać z sobą kłótlivej szlachcie nie pozwalał. Nie był on mściwy, ale energiczna jego dusza zapominając krzywdy, gardziła krzywdzicielem. Żonę kochał nad życie, chociaż jej tego nie okazywał. Przywykła już ta delikatna, dobra i ładna kobieta do takiego obchodzenia się męża. Od szesnastego roku życia znajdując się 1160 pod jego kierunkiem, poznała go doskonale i wiedziała dobrze, że pod tym obojętnym pozorem jest uczucie pełne głębokości i siły. Ale za to jakąż cenę miało uścienienie, gdy czasem w chwilach smutku lub radości po-

¹⁾ nietyczanki.

łożyła jasną swą i małą główkę na jego szerokiej piersi i poczuła się w tem mężkiem i opiekunczem objęciu! Pan Hipolit Starzycki był wysoki, silnie zbudowany, cokolwiek łysy, skromny w jedzeniu i napoju. Od dawnego czasu zarzucił frak i chodził zawsze w jasnym szaraczkowym surducie, a latem przy gospodarstwie w płóciennej szarej czamarce z czarnemi potrzebami.

1170 Takie było personale tej zacnej rodziny. Niech się nikt nie dziwi, że nie było w niej żadnego wyrodka, żadnej karykatury; bo, jak powiedzieliśmy, dom ten kwitnął pod błogosławieństwem Bożem, wysłużonem pocztwami myślami, pobożnem poddaniem się, czystością obyczajów, umiarkowaniem i pracą.

Punktualnie o dziewiątej wszyscy w domu pana Starzyckiego rozchodzili się do siebie. Wtenczas matka przyrządzała dla wszystkich czystą bieliznę, jeśli 1180 to była środa lub sobota, i roznosiła ją najczęściej sama mężowi, dziadziowi i babce; Anusia odświeżała czepeczek i kołnierzyk dla matki i dla babki; ojciec przepatrywał w swojej kancelaryi rachunki, lub czytał; dziadzio chodził po pierwszym pokoju naprzeciwko i odmawiał pacierze, a babunia siedząc w swoim krzeselku przy zasłanem już łóżku, z paciorkami w rękę odmawiała jeden pacierz za męża, jeden za dzieci, jeden za wnuków w ogólności, jeden za siebie, jeden za dusze zmarłych¹⁾, a potem dwa cichaczem i osobno za pana 1190 Józefa. Tymczasem w domu i obejściu było już cicho i spokojnie. Wszystkie wniścica były pozamykane, wszyscy słudzy byli na swoich miejscach, konie bydło i drób, wszystko to było zamknięte i opatrzone; bo zaraz po wieczery, która się kończyła o ósmej, gospodarz domu latem i zimą, w pogodę i słotę, obchodził cały dom, zaglądał wszędzie, widział wszystko własnem okiem i potrzebne wydawał dyspozycye. Tak było codzień i do tego porządku, którego nigdy nikt nie psuł przyzwyczajeni byli i członkowie familii i domownicy.

1200 Dziś, z okazji przybycia pana Józefa, był on cokolwiek naruszony. Gdy bowiem o godzinie dziewiątej wszyscy oddali sobie dobranoc, ojciec, odchodząc do swej kan-

¹⁾ zmarłe.

celaryi, zawołał jeszcze za sobą syna. Tam pan Józef musiał mu zdać sprawę ze wszystkiego, co się tyczyło mająteczku matki, składającego się ze czterdziestu dusz i leżącego w Latyczowskim powiecie na Podolu, a którego rząd zupełny był mu od lat czterech oddany. Konferencya ta trwała blisko z godzinę. Nakoniec ojciec, kontent z syna i widząc, że rzeczy bierze seryo, 1220 że zna wszystkie najdrobniejsze szczegóły, pochwalił go, podał mu rękę i kazał pójść odpocząć po drodze. W całym domu była cichość głęboka. Matka już była w łóżku, ojciec kładł się, dziadek i babka już spali. Gdy pan Józef przechodził przez pierwszy pokój postrzegł koło drzwi matczynych postać białą, która się do niego cicho zbliżała. Była to Anusia.

— Józiu! — rzekła — chciałabym z tobą pomówić!

— Chodź do mnie — odpowiedział brat, i wzięwszy się za ręce, poszli na drugą stronę, otworzyli 1230 drzwi cichutko, przeszli przez pokój na palcach, żeby starszków nie zbudzić i usiedli na łóżku obok siebie. Amor położył się w nogach Anusi, a ona, wzięwszy rękę brata w swoje dłonie, rzekła tkliwie:

— Józiu! ty mnie o nic nie pytasz? ty coś dla mnie obojętny i jakiś zamyślony.

Zaczerwienił się młodzieniec na te słowa, stanęła mu w myśli jego dzisiejsza przygoda, wyobraziły się 1240 czarne loki, ciemne oczy błysnęły przed jego duszą, uczuł w swoim objęciu tę kibić wyniosłą i wiotką, i mimowolnie westchnął.

— Ty wdychasz, mój drogi Józiu! — dodała siostra, ściskając jego rękę. Przewyciężył się młodzieniec, potrząsł głową i rzekł:

— Nie, moja Anulku! tak ci się zdało. Jestem cokolwiek zmęczony... drogą niegodziwą.

— A przecież ładna twoja najdyczanka¹⁾ musi nieść lekko. Ale żebyś ty wiedział, jaka tu była scena 1250 o tę najdyczankę²⁾, jak się babunia rozgniewała, gdy dziadzio i ojciec mówili, że to będzie dużo kosztować i, że tobie to niepotrzebne.

¹⁾ ²⁾ nietyczanka.

— Kochana babunia! — rzekł pan Józef, znowu wdychając. — Tem droższym teraz będzie dla mnie ten powóz. Wierz mi, Anusiu! — dodał z przyciskiem, — nie oddałbym go dziś za nic w świecie. Ale nie mówmy o tem. No, moja droga Anulku! tak tedy idziesz za męż?

— Podobno — odpowiedziała Anusia, spuszcżając oczy i czerwieniąc się.

1260 — Jakże to było? powiedz mi.

— Najprościej w świecie — odpowiedziała pannieka. — Pan Ignacy przyjechał tu w czasie samych żniw z jakimś interesem do ojca. Bawił pół dnia i wkrótce postrzegłam, że na mnie poglądał i czerwienił się, co mnie cokolwiek mieszało. Jakem mu po obiedzie podawała kawę, sama zaczerwieniłam się nie wiedzieć czego, i zmiarkowawszy to, byłam zła sama na siebie i jeszcze gorzej zmieszana. W tydzień potem przyjechał posłaniec z listem. Ojciec, przeczytawszy ten list, 1270 zawołał mamę i potem poszli razem do babuni i posłali po dziadzia do ogrodu. Dziadzio z początku nie chciał iść, bo tam miał jakąś pilną robotę, ale mama sama po niego poszła i dziadzio, śmiejąc się i śpiewając piosneczkę o Jasiu i Kasi, poszedł także do babuni i tam wszyscy długo z sobą rozmawiali.

— A ty nie posłałaś dowiedzieć się, od kogo to posłaniec? — przerwał, uśmiechając się, pan Józef.

— Fe, Józiu! nie zawstydzaj mnie! — odpowiedziała pannieka, kładąc rękę na jego ustach. — Ach, 1280 zgadłeś, zgadłeś! posyłałam, bo nie wiem, dla czego serce mi biło i nie mogłam się uspokoić. Prawda, że nie powinna była być tak ciekawą?

— To pan Ignacy temu winien, że się rumienił gdy na ciebie patrzył. Więc to list był od niego?

— Naturalnie, że od niego — odpowiedziała żywej — ale mnie nic o tem nie mówiono.

— A ty udałaś także, że niby nic nie wiesz? — rzekł pan Józef, obejmując siostrę.

— Oczywiście — mówiła, tuląc się do brata i włączając z nogami na łóżko. — Ale słuchaj-że dalej. Przez 1290 cały tydzień potem ojciec, jak zwykle, był poważny i nic po sobie nie pokazał. Mama częściej mnie karesowała,

i uważałam, że przeglądała bieliznę i płótna w spiżarni; babunia ciągnęła *pasyans* i kabałę i zawsze mnie kazała karty zdejmować, a dziadzio coraz nowe śpiewał piosneczki. Aż tu raptem w następującą niedzielę, patrz, ni z tego ni z owego, znowu pan Ignacy przyjechał. Rodzice miło go przyjęli, dziadzio go uściskał i babunia także.

1300 — A ty? zaczerwieniłaś się?

— Okropnie! jak piwonia, aż mi wstyd było. Ale potem jakoś przyszałam do siebie i jakem mu podawała kawę po obiedzie, już nic a nic nie zmieszałam się — tylko...

— Tylko co?

— Powiedzieć ci prawdę?

— Wszakże po toś tu przyszała, żebyś mi się wyspowiadała ze wszystkiego.

— Otóż powiem ci, że mi bardzo miło było jemu
1310 usłużyć. I jak zmiarkowałam, że on u nas będzie nocował, to byłam bardzo kontentna, najprzód dla tego, że go jeszcze jutro obaczę, a potem, że nie będzie po nocy jechał i u nas, na twojem łóżku lepiej mu będzie, niż gdzie w karczmie u żyda. Krótko mówiąc...

— Krótko mówiąc — przerwał pan Józef — pan Ignacy podobał się panience.

— Bardzo — odpowiedziała prędko i pocałowała brata. Ale pocałowanie było tak szczere, tak głośne, że się biedna przelekła i, kładąc palec na ustach, spoj-
1320 rzała ku drzwiom babki. Potem dodała: — Ach! ciszej mówmy, bo mnie babunia jutro wyłajać gotowa, że ci po drodze spać nie daję. Ona cię więcej kocha, niż nas wszystkich razem. Ale może ty doprawdy chcesz już spać?

— Bynajmniej, moja droga! Szczęśliwaś, że kochasz i że jesteś kochaną — dodał z westchnieniem.

— A czegoż ty wzdychasz, Józiu? ja ci powiadam, że to nie darmo. O! ja się znam na tem; ty musisz także kochać.

1330 — Roi ci się... Nie, nie, moje życie — odpowiedział drżącym i cichszym głosem.

— Mów co chcesz, a to nie prawda. Ale nie dziś, to jutro, a przecież dowiem się. Bo nie wytrzy-

masz, powiesz mi; to tak miło pomówić o tem, co serce czuje. Ja czekałam twego przyjazdu, jak zbawienia.

— Dawnoż ci się pan Ignacy oświadczył?

— Oświadczył? On mi się wcale nie oświadczał. Już na drugą niedzielę jak przyjechał, tośmy tak z sobą rozmawiali, jakgdybyśmy się znali od niepamiętnych 1340 czasów. A jak wyjeżdżał już we wtorek, ścisnął mnie za rękę i powiedział: — Czy panna Anna pozwoli mi przyjechać w niedzielę? — A ja podobno także ścisnąłam go za rękę i odpowiedziałam: — A jak pozwolę, to pan pewnie przyjedziesz? — Chybabym umarł! — rzekł i popatrzył mi w oczy tak miło, że aż mi się płakać chciało. Widzisz, Józiu! ty znowu wdychasz?

— Nie, nie. Cóż dalej?

— A cóż? na drugą niedzielę pan Ignacy jak 1350 wyrósł w Czaplincach. Po śniadaniu wszyscy poszli do babuni i on tam poszedł, a ja niby to nie wiedziałam, po co. Potem i mnie zawołali. Dziadzio zaczął mnie ścisnąć, śmiać się i płakać, i zapytał mnie, co też ja myślę o tym panu, który tu stoi, spuściwszy nos na kwintę?

— Cóżś odpowiedziała?

— Zawstydziałam się bardzo, schowałam twarz na piersi dziadzi a ręka moja sama nie wiem jak, znalazła się w ręku pana Ignacego. Ach! mój drogi Józiu! co 1860 to była za szczęśliwa chwila! nawet w oczach ojca widziałam łzy. A o mamie, to już nie ma co mówić. Kiedyśmy jej do nóg upadli oboje, ścisnęła nas i płakała biedna, że aż ją babunia połajała. Potem, wyobraź sobie, przy obiedzie siedzieliśmy już przy sobie i cały dzień gęba się nam nie zamykała. Ale ty już drzemiesz, Józiu?

Pan Józef nie drzemał wcale. Przechylił on głowę na tył, oparł ją o chłodną ścianę, a z pod przymkniętych jego powiek łzy się wytoczyły i popłynęły po 1370 twarzy. Anusia postrzegła to, pokiwała główką, ale tym razem¹⁾ już mu się nie uprzykrzała pytaniami. Potem, pomyślawszy rzekła nieśmiało:

¹⁾ tą razą

— Słuchaj, Józiu! ja ci chciałam jedno zrobić zapytanie i nie śmiesz.

— Dla czego nie śmiesz?

— Bo widzisz, mój drogi, w niem zamykać się będzie jakaś wątpliwość, która może ubliżyć temu, którego kocham i którego mi dają rodzice. Ale ja tobie tak ufam! tyś taki dobry, taki rozsądny! ty mnie tak
1380 kochasz! — powiedz mi, Józiu, szczerze, czy ja będę szczęśliwą?

— Będziesz, będziesz, moja Anulku! — rzekł, ściskając ją z wylaniem. — Pan Ignacy człowiek uczciwy, rozsądny, kocha cię pewnie, bo jakżeby ciebie nie kochać? Największa moja obawa była, czy ty go kochasz. Ale i w tej mierze zaspokoiliś mnie zupełnie. A nadewszystko cieszy mnie to, że pan Ignacy równy tobie urodzeniem i majątkiem; a to ważna rzecz, moje
życie — dodał, ściskając mocno jej rękę.

— A tyś pewnie pokochał jakąś osobę bogatą? nie prawdaż? biedny bracie!

Powstał pan Józef, zrobił parę kroków, ale, spojrzawszy na drzwi babki, zatrzymał się, wrócił назад na palcach, i ścisnąwszy serdecznie siostrę, rzekł cicho:

— Idź już spać, Anulko.

Anulka poszła cichutko, oglądając się smutno na brata. On rozebrał się, położył... i chciał zasnąć. Ale sen daleko odbiegł od jego oczu. Stał przed nim cały obraz walk, na jakie się narazi, jeżeli da się pokonać
1400 słodkiemu uczuciu, które się zagnieździło w jego sercu. Czuł zaś, że zwycięstwo będzie trudnem, ledwie niepodobnem. Obraz szczęścia siostry rozmarzył go do reszty. Opisanie zaś proste tej chwili, kiedy jej związkowi błogosławili rodzice, kiedy dziad i babka żegnali ją sędziwą swą ręką, napełniło serce jego śmiertelną obawą, że i starcy zganią jego zapędy, że ojciec nie zaaprobuje ubiegania się o rękę panny, która, jeśliby nawet weszła pod dom szlachecki, to wejdzie z dumą i pretensjami pańskimi. Z drugiej strony byłże
1410 wnym jej uczuć? Może już zapomniała o młodzieńcu, do którego uśmiechała się słodko, którego ścisnęła za rękę. Ale któż wie? nie byłaż to z jej strony kokieteria, lub prosta wdzięczność za uczynioną przysługę?

Panna taka ładna, tak bogata, mógłż do tej pory nie mieć nikogo, co by się ubiegał o jej miłość? Prosiła go wprawdzie, aby odwiedził jej ojca. Ale to mogło tylko dowodzić jej grzeczności; a jeżeliby nawet było oznaką tkliwszego uczucia, pod jakimże pretekstem przestąpić ten próg, dla niego zakazany? Jak powiedzieć ojcu, że
 1420 chce zabrać znajomość z bogaczem, którego on nie szanował¹⁾), kiedy znał surowość jego zasad i niezachwiane postanowienie niebratania się nigdy z wyższym od siebie? Wszystkie te myśli tłumnie krążyły po jego głowie, i ledwie przede dniem ciało wzięło górę i sen zamknął jego powieki.

IV.

Pan Płachta był jednym z najzamożniejszych obywateli w Czaplincach. Miał on tam blisko siedemdziesiąt dusz, najlepszą część sianozęci, najdogodniej położone grunta, stawek rybny i głęboki, i młyn, który dość
 1430 znaczny przynosił dochód. Ale na nieszczęście pan Płachta był w młodości swojej *totumfackim* w jednym z możnych domów na Wołyniu i przywykł do tego, co nazywał *komilfo*, i o co starał się we wszystkim. Zaczął od wzięcia żony *komilfo*. Była to kobieta niebrzydka, ale wychowana w sąsiedztwie bogatego i modnego domu, przewróciła sobie głowę pańskością. Krzywiła się, jeśli jej nie adresowano listów: *A Madame la Comtesse Płachcina*; do męża nie mówiła inaczej, jak *Monsieur Płachta*, imitując jedną z dam, która świeżo wróciła z zagranicy; od biedy mogła się trochę rozmówić
 1440 po francusku, ale dawała wszystkim frazesom polski obrót, przemieniała co chwila rodzaj rzeczowników. przeciągała wiecznie wszystkie wyrazy na przedostatniej zgłosce i używała najniewłaściwiej i najdziwaczniej partykułów *en* i *y*, które pasyami lubiła. *En voulez du cafe? Monsieur Jakób!* mówiła zawsze do pana Jakóba, starego kawalera, który ją często odwiedzał, i jak kro-

¹⁾ szacował.

nika Czapliniecka głosiła, oddawna cholewki do niej smalił. Mąż, jak mówią, patrzył na to przez szpary, bo
 1450 pan Jakób był komilfo, bywał u pani Włodzimierzowej Podziemskiej, urodzonej księżniczki W., grał ślicznie na gitarze hiszpańskiej i śpiewał doskonale: *Te brzóz kilka*, i inne piosenki. Prócz pana Płachty i pani Płachciny były jeszcze dwie panny Płachcianki, Zenobia i Kryspina¹⁾, które matka zawsze z francuska nazywała Zenobi i Kryspin; ojciec, żeby się nie rozminąć z ulubionym swoim komilfo, dodawał: *Medmozel Zenobi i Kryspin*; a pan Jakób, który miał widać pewne prawa do pieśzczenia progenitury pani Płachciny, nazywał
 1460 Binią i Pinią. Były to panienki lat dziewiętnastu i osiemnastu, tłuste, białe i nieszpętne, ale ich edukacya i maniera, równie jak dom i całe jego urządzenie, odpowiadały głównemu usposobieniu państwa Płachtów.

Dom był obszerny, zabudowania gospodarskie rozległe, bo panu Płachcie dostał się przy kollokacyi dawniejszy folwark całej wsi, ze wszystkimi jego atynencjami. Ale dach był na domu dziurawy, ściany obszarpane, okna po większej części zaklejono papierem, stodoła i obora w ruinach. Wprawdzie trudno było na tak
 1470 małej częstce utrzymać w porządku i całości tak wielkie budowy; wszakże przy staraniu i oszczędności choć część ich najpotrzebniejsza mogła być zachowaną. Resztę należało rozebrać i sprzedać. Ale pan Płachta osądził, że jest komilfo mieć kilkanaście pokojów i obszerną zagrodę, chociaż mu ciekło za kołnierz, chociaż często panny Płachcianki musiały z łóžeczkami swojemi emigrować z jednego kąta w drugi, a biedne cielęta w chlewie przeźroczystym, jak maleńkie foki, siedziały nieraz po szyję w wodzie. W toalecie państwa Płachtów i panien Płachcianek był ten sam charakter zdar-
 1480 tej i zszarżanej komilfowości. Pani Płachcina nie pokazywała się inaczej w kompanii, jak w berecie z piórami, ale czas pokrył szacowną niepewnością kolor materji, z której był zrobiony, oskubał znacznie pióra, które chwiała się na jej głowie, i porobił szczyrby i szpary pod pachami jej aksamitnej sukni, krótkiej

¹⁾ Kryspinia (stale tak ją nazywa).

1490 w stanie, wężkiej i wytartej, ale zdaniem pana Jakóba dającej jej postać królowej. Panny Płachcianki występowały także w materyalnych sukienkach, robionych na kogo innego i branych na kredyt w tandetnym składzie Szlomy, w trzewiczkach materyalnych, ale ukazujących zdradziecko pończoszki, przedziurawione na pięcie, w perłach ogromnych z fermoarem ciężko brązowym, w kwiatach, na których kurzawa legła grubą warstwą i dawała różom i makom kolor cegły, a powojowi błękit paznogi w febrze.

Państwo Płachtowie mieli także lokaja, i niestety! z brudno-żółtym paskiem na kołnierzu, który miał reprezentować galon, bo jakże może być dom komilfo bez galonowej liberyi? Ale tego dziurawego i prawie bosego 1500 Hryćka we fraku, którego pani Płachcina, niewiadomo dla czego, przezwała Żorżem, nie można było nigdy oduczyć, aby nie ucierał nosa palcem wtenczas, gdy komu na wyszczerbionym talerzu wodę podawał. Umeblowanie domu odpowiadało reszcie: zszarzana elegancya, popaczone mahoniowe forniry, dziurawe i wystrzępione obicia, starte i nawet niepołatanne dywaniki i t. d. Otóż w takim-to domu, 17 października, w dzień Świętej Lucyny, była wielka feta. Były to imieniny samej pani, 1510 które mąż zawsze solennie obchodził. W domu był ruch wielki. Spodziewano się dużo gości i nie tylko wszystkich Czaplunieckich kollokatorów, ale nawet z sąsiedztwa. Po rannym zaraz obiedzie zaczęła się toaleta i wkrótce wyszedł pan Płachta w cynamonowym fraku, z długimi, ale wążiutkimi połami, w granatowych ciasnym szarawarkach, podczesał siwe swe włosy i nastawił spory fontaż białego halsztuka. Niewielkiego wzrostu, wyprostowany, chudy i zwinny, zaczął obchodzić pokój bawialny i przygotowywać go ostatecznie do przyjęcia licznej kompanii. Przeszawiał więc meble, wysuwając 1520 mniej dziurawe na pierwszy plan, a bardziej obszarpane lub zupełnie pozbawione obicia zastawiając po kątach. Niemało także miał roboty, nim wazonikami i firankami pozasłaniał papier, którym trzy szyby w bawialnym pokoju były zaklejone. Frendzelki z papieru, w które oprawione były świece, produkt gustu i industry panny Zenobii, już były zrobione przed obiadem.

Obejrzał je tylko pan Płachta, nastrzępił bardziej komilfo i symetryczniej poustawiał. Sporą trzaskę podłóżył pod jedną nogę stołu przed kanapą, aby się nie kiwał; obejrawszy jeszcze raz wszystko, kazał zakadzić zasuszonemi skórkami z jabłek. Zadyszany i spotniały Żorż związał się, jak mucha w ukropie, i ciągle dawał szturchańce stajennemu chłopakowi, który, przybrany w stare spodnie, jakiś odwieczny frak pana Płachty z zachowaniem jednak własnych chłopskich butów, miał reprezentować lokaja i pomagać Żorżowi. W sieniach także stały już dwie kobiety ze wsi, które tuliły w siermiągach płaczące dzieci i oczekiwały smutno, po co je wezwano i co każą robić. Miały one pójść do kuchni i pomagać pomywać naczynia.

Wyszła nareszcie solenizantka w berecie na włosach poczerwionych, o które brukały się jeszcze bardziej brudne już białe pióra. Do obszernego jej ciała przyklejała się aksamitna suknia, z krótkimi, buchastymi rękawami. Czerwone ręce nie miały rękawiczek, ale za to na rozległym jej gorsie związał się w przezroczywą mgłę stary, pożółkły szalik gazowy, okręcony dwa razy, i zdawał się reprezentować obłok, na którym ma-
1550 lowały się żywe kolory tej korpulentnej Irydy.

Pani Płachcina rzuciła przymrużonemi oczami wokoło, podjęła palcem koniec nosa cokolwiek przyplaszczonego, aby się wydawał zadartym, i podchodząc ku rozbitemu zwierciadłu i poprawiając jeszcze beret na głowie, zapytała:

— *Eh bien, monsieur!* czy już wszystko gotowe?

— Już, już, moja nieoceniona! Co? komilfo? nie prawdaż?

1560 — Tak, tak — odpowiedziała — wszystko to twoje starania, *Monsieur Płachta*, i twój gust.

— Najlepszy dowód dałem lat temu...

— *Monsieur!* — przerwała obrażona pani Płachcina i starając się wyrazowi temu dać intonacją, jaką jej dawała ta pani, że niedawno wróciła z zagranicy — wiesz dobrze, że tych dat nie lubię. — Zaśmiał się pan Płachta, podłożył obie ręce pod poły fraka, podniósł

zgrabnie lewą nogę w górę i, nachylając się, pocałował żonę w ramię pulchne i jeszcze białe.

1570 — Ale gdzież to nasze nimfy? — zapytał potem.

— Zaraz się ukażą — odpowiedziała pani Płachcina, idąc z pewnem arystokratycznym chwianiem się ku drzwiom córek, a uchyliwszy je cokolwiek, zawołała:

— *Zenobi, Kryspin! en venez-vous? ou non?*

1580 — *Nous y venos, maman, tout-de suite* — odpowiedziały po francusku. Bo zacna pani Płachcina, dawszy córkom swoje tuszę i wdzięki, przekazała im także i swoją znajomość francuskiego języka. Katowwały go one, jak mogły, w rozmowie między sobą, ale mówiły nim prędko i biegle i rozumiały się doskonale. Słyszac tę ich rozmowę, pan Jakób, który nie wszystko rozumiał, poklaskiwał, a pan Płachta, który nic nie rozumiał, pysznił się, że ma tak komilfo żonę, córki i przyjaciela domu.

Wyszły nareszcie panny Płachcianki w odpowiednim uroczystości stroju, którego opisywać nie myślę; zaczęły się oraz schodzić i zjeżdżać goście. Tu już pozwolą mi czytelnicy niektórych szczegółów, ponieważ 1590 one potrzebne będą do dalszego ciągu tej historii.

Wszedł najprzód pan Birucki z żoną i córkami. Był to szlachcic już niemłody z ogromną facyatą, obasypaną pryszczami, z nosem zaczerwienionym, w szaraczkowej kapocie i z białym kapeluszem w rękę. Wąsy wielkie i gęste przykrywały wierzchnią wargę a czupryna, dość nisko przycięta, posypana już była szronem. Wszakże pan Birucki miał tylko pozór straszny, zresztą był to człowiek dobry, niekłótniwy, i bał się 1600 dwóch rzeczy: próżnej butelki i żony. Posunął się staroświeckim susem do ręki pani Płachciny, palnął odpowiedni komplement, a potem z kolei cmoknął w rączkę pannę Zenobię i pannę Kryspinę. Obok niego była pani Birucka, chuda, mała, ale najeżonym czepcem i wielkimi kokardami i szlarkami podnosząca swoją figurę. Na sukni, zielonego podobno koloru, miała wielki szal pomarańczowy, który, chociaż był trzy razy okręcony na jej rękę, jeszcze jednak włókł się po ziemi. Pani Birucka dygnęła dość obojętnie solenizantce, bo cier-

pieć jej nie mogła, jako swojej najbliższej sąsiadki, co
 1610 jej ta ostatnia z całego serca odpłacała. Panny Płach-
 cianki przywitały się także zimno z pannami Biruc-
 kiemi i widać było, że nieporozumienia matek przelały
 się i na dzieci. Dawniej, gdy były mniejsze, siedząc
 wszystkie cztery na płocie, odgraniczającym ich ogrody,
 paplały nieraz, jak sroczki i lubiły się wzajemnie; ale
 od tego czasu, jak pani Płachcina dała fałszywy model
 na czepek pani Biruckiej, tak, że zmarnował się tyfoń,
 z którego miał być zrobiony i gdy nawzajem pani Bi-
 rucka, odpłacając za zdradę zdradą, dała swojej sąsiad-
 1620 ce fałszywy przepis na baby, tak, że mąka, jaja i drożd-
 że poszły w niwecz i państwo Płachtowie z tej okazji
 nie mieli ciast komilfo, oziębiły się zupełnie sąsiedzkie
 stosunki, i tylko mężowie jeszcze utrzymywali pozorną
 zgodę. Wszakże mówiono już o tem głośno w Czaplń-
 cach, że burza co moment blizka wybuchnięcia¹⁾.

Zaledwie te pierwsze powitania skończyły się, gdy
 zajechała bryczka, w której był mężczyzna, kobieta
 i sześcioro małych dzieci, to na kolanach u rodziców,
 to stojących w kupce. Bryczka z tym pakunkiem wy-
 1630 glądała, jak gniazdo pełne wróbli. A gdy z niego wy-
 lazła ta płodna para i z całym swem pokoleniem weszła do
 pokoju, zrobił się ruch i wrzawa powstała. Jegomość
 zaczął ciąć niezmiernie głośno komplement solenizantce,
 dzieci mniejsze chimerowały, nie dawały sobie ucierać
 nosków, nie chciały się rozbiierać i wołały: do domu,
 a starsze rozbiegły się zaraz po pokoju, ruszając to to,
 to owo. Matka zażenowana, piskliwym głosem zwoły-
 wała je; panna Zenobia, bojąc się o swoje frendzelki
 przy świecach, które już jeden małec szarpnął,
 1640 krzyczała zdaleka, a pan Birucki grubym głosem śmiał
 się z zamieszania, które się tak niespodzianie zrobiło.
 Nowoprzybyły był to pan Bartłomiej Skrętski, z żoną
 Placydą, kobietą niebrzydka, tłustą, ale flondrowatą,
 którą zawsze nazywał przez pieszczotę Placusi! Po-
 siadał on także część w Czaplńcach, a jako dalszy co-
 kolwiek sąsiad pana Płachty, żadnych z nim nie miał
 zatargów. To tylko zarzucał mu nasz gospodarz, że

1) wybuchnienia.

mieć taką zgrają dzieci nie jest wcale komilfo. Wszakże nie tak się miały rzeczy z bezpośrednimi jego sąsiadami. Dziedzinec pana Skrętskiego był Scyllą i Charybą, w którą ani gęś, ani prosię sąsiada nie mogło wpaść bezkarnie — przepadało bez wieści. Ale że pan Skrętski był krzykliwy, wymowny, umiał wyprzysiądz się i wyperswadować, nie można go było złapać na uczynku. Z tych powodów, chociaż gniewy wrzały ciągle, do otwartej kłótni nie dochodziło. Właśnie, gdy pan Skrętski coś opowiadał, bo był także i nowiniarz, i zaklinał się na honor, na żonę i dzieci, że na oczy własne widział, co nie egzystowało wcale, weszli ci dwaj jego sąsiedzi: pan Zarzycki z synem i pan Cepowski z synem. Powinszowali solenizantce, pocałowali rzędem wszystkie damy w rekę, oprócz pani Placydy, i powitawszy gospodarza i pana Biruckiego, na sąsiada swego nie zwrócili żadnej uwagi. On też nawzajem nic sobie z nich nie robił i dalej ciągnął opowiadanie. Tym sposobem dopełniła się kompania; schodzili się ubożsi i drobniejsi posiadacze, mający po dwóch; ten w surducie, ten w kapocie, ten w starym i obwisłym fraku; zjawiły się i panie w perkalowych czepkach i panny w perkalowych sukienkach, w niebieskich i różowych trzewieczkach i z białemi chusteczkami na szyi.

1670 Ale pani Płachcina zawsze jeszcze kogoś wyglądała; panny Płachcianki co moment przecierały okno chusteczką i patrzyły na dziedzinec, a pan Płachta także co chwila zazierał do sieni. Pani Płachcina naturalnie wyglądała pana Jakóba, a pan Płachta i córki jego panów Remigiusza i Pawła Smyczkowskich, dwóch braci rodzonych, którzy, chociaż obok siebie w dwóch osobnych częściach mieszkali, wspólną mieli karczmę i za hańburdów słynęli, rzadkim u nas przykładem żyli w braterskiej zgodzie, i dotąd jeszcze ani razu się nie pokłócili. Interesowali oni naszego gospodarza przez ten wzgląd najbardziej, że pan Remigiusz grał na skrzypcach i obiecał je ze sobą przywieźć, a pan Paweł akompaniował mu na klarynecie. A chociaż klarynet nie wszystkie wydawał tony, ale, że pan Remigiusz nigdy bratu nie ustępował prymu, jako starszy, mniej były rażące te luki i przerwy, i wydawały się umyślnymi

- 1690 przestankami wtóru, dającego się popisać głównemu instrumentowi. Nareszcie spełniły się życzenia pana Płachty i jego córek, które oprócz nadziei tańca, miały jeszcze inne nadzieje. Zajechała żółta bryczka na dwóch resorach i panowie Smyczkowscy, jeden ze skrzypką w rękę, obwiniętą czerwoną chustką od nosa, drugi z klarynetem, okręconym także chustką i także czerwoną, razem z niej wyskoczyli i, wszedłszy prawie razem do pokoju, razem wieszowali solenizantce, razem witali damy i razem mężczyzn, jak dwaj bracia zgodni, nierozdzielni. Dodać tu jeszcze należy, że panowie
- 1700 Smyczkowscy byli jednakowo ubrani w granatowych czamarkach z potrzebami, już wprawdzie nienowych, ale jeszcze całych; jednakowo nosili wąsy i jednakowo strasznie nosili bakenbardy. Chociaż utrzymują, że muzyka łagodzi charakter i obyczaje, wszakże tego jej skutku nie widać było na panach Smyczkowskich. Byli obaj zuchwali, gwałtowni, gburowaci, a tem straszniejsi dla sąsiadów, że gdy jeden się skłócił posyłał w ten moment po drugiego, i wówczas krzyczeli ogromnie obaj, tak, że biedny sąsiad zatkawszy sobie uszy, uciekał do izby. Dla państwa Płachtów zaś byli ze szczególną grzecznością, bo podobno pan Remigiusz miał widoki na pannę Zenobię, a pan Paweł na pannę Kryspinę. Panowie Zarzycki i Cepowski młodzi patrzyli na to z zazdrością, ale nie śmieli jej okazać, raz dlatego, że widzieli wyraźnie, iż panny słodko spoglądały¹⁾ na wąsatych muzykantów, a powtórę, że bali się któregośkolwiek z nich zaczepić, bo gdy jeden postawił marsa i pokręcił wąsa, drugi także brwi marszczył i z teje samej strony wąsa pokręcał.
- 1720 Chociaż kompania jeszcze nie była kompletna, bo pan Jakób się opóźniał, ale, że gospodyni spostrzegła, że ten i ów się ogląda ku drzwiom i chrząka, kazała podać kawę. Panna Zenobia powtórzyła rozkaz matki Żorżowi, a przyzwawszy na pomoc siostrę, stanęły obie przy stoliku nakrytym koło pieca, na którym już stało na tacy kilkanaście filiżanek i świeże bułki, które panny nazywały *les bules*. Wkrótce przynieśli wielki im-

¹⁾ poglądały.

bryk z kawą i sporą rynkę ze śmietanką. Panny zajęte były nalewaniem, a obok nich stojący panowie Smyczkowsy to chwaliли zręczność, to sprzeciwiali się z umiżgami, wykradali cukier z filiżanek, trącali stolik, żeby się kawa wylewała na miseczki, i inne, równie miłe i dowcipne robili figle i zaczepki. Za to wszystko odbierali to wejrzenie długie i znaczące, to łyżeczką po rękę, to kilku kroplami śmietanki, ciśnionemi zręcznie po twarzy. Patrząc na te manewra, panowie Zarzycki i Cepowski młodzi przechadzali się wzdychając, ale przystąpić nie śmieli, bo się bali.

1730 Wśród podawania kawy, które musiało trwać długo, bo filiżanek nie było i połowy tyle, ile gości, pani Płachcina, siedząc na kanapie, lekko krzyknęła. Wszyscy goście zwrócili się ku drzwiom otwartym i obaczyli pana Jakóba, a za nim chłopaka z pudełkiem od gitary.

Pan Jakób miał lat około czterdziestu; był średniego¹⁾ wzrostu i chudy. Cienkie nóżki jego okrywały wąskie kortowe szarawarki jasno-migdałowego koloru; czarny frak dawnego kroju z buchastymi rękawami, zapięty był na jeden tylko guzik; wyglądała z pod niego 1750 paliowa kamizelka, a biała chustka na szyi, na ogromnej rogówce, grubo i dosyć wolno okręcona, szła pod same uszy i pozwalała brodzie swobodnie zanurzać się i pokazywać, co zawsze czynił w miarę wysokich i niskich tonów, jakie brał na gitarze. Oczy jego siwe umiżgały się do wszystkich, nos długi sterczał naprzód; a że miał tylko sześć ogromnych zębów z przodu, gdy się śmiał, podobnym był do konia, kiedy poziewa. Czoło miał mocno na tył pochylone, a na głowie jego wznosił się czub z tylnych włosów naczesany, który 1760 zakrywał łysinę. Wszakże czasem zapał muzyczny psuł i to rusztowanie kokieteryi, bo gdy pan Jakób zmieniając raptem ton instrumentu, odrzucał mocno głowę na tył, i czub jego rozlatywał się na wszystkie strony.

Wszyscy prawie krzyknęli: — A! pan Jakób! pan Jakób! — Widząc się tak pożądanym, Orfeusz czapliniecki przy drzwiach jeszcze zatrzymał się, prawą nogę

¹⁾ średniego.

wyciągnął naprzód, tak, że palcami ledwie dotykał ziemi, a trzymając w lewej ręce miękki kastorowy kapelusz zmięty i stary, chustką białą, którą miał w prawej, machał na tę i na ową stronę, i tak witał kompanię. 1770 Uśmiechały się oczy pani Płachciny, a pani Birucka ruszała ramionami.

— Biniu! Piniu! ruci wasze całuję — rzekł pan Jakób, przechodząc koło panienek; a chociaż go nie zatrzymywały, dodał:

Lecz puśćcie mnie do mamuni.
Ażebym w dzień jej imienia
Złożył u nóg jej życzenia,
A potem dacie kawuni.

1780 A co? — dodał i, nie czekając, jaki efekt zrobi czworowiersz, bo pewnym był go naprzód, przystąpił do solenizantki i zaczął powinszowanie, w którym pełno było zdrobniałych wyrazów, które mocno lubił. Zakończył rzecz całą taką improwizacją:

Dajże nam, Panie Boże,
Byśmy za rok, o tej porze,
Zeszli się na imieniny
Do Lucyny, do Lucyny.

A co? — dodał, śmiejąc się i oglądając. Tym razem 1790 wszyscy huknęli brawo; pani Płachcina rozrzewniła się i wyciągnęła rękę do pana Jakóba a pani Birucka ruszała ramionami.

Pan Jakób wniósł radość do całej kompanii, dawszy jej, że tak powiem, przedsmak tej estetycznej rozkoszy, jaką ją miał nakarmić. Radość ta powiększyła się jeszcze bardziej, gdy na tacy przyniesiono różnego kalibru kieliszki i gospodarz ukazał się z butelką. A chociaż kobiety nie miały z czego się napić i musiały zaczekać, bo kieliszków dla całej kompanii nie stało, nie zważając na to, pan Jakób wystąpił naprzód 1800 i znowu zaimprowizował:

Dalej, panie i panowie!
 Drogie to są imieniny!
 Niechże, kto ma olej w głowie,
 Duszkciem to wychyli zdrowie:
 Zdrowie Lucyny!

krzyknął i potem dodał: — A co?

— Zdrowie Lucyny! — krzyknęli także wszyscy mężczyźni, wychylając kieliszki duszkciem. Kobiety siedziały cokolwiek niekontentne, iż nie mogły pokazać, że mają także olej w głowie i obraziły się na pana Jakóba. Wszakże niesprawiedliwie, bo pan Jakób, przez drogę układając swoją improwizacyę, nie mógł przewidzieć, że kieliszków nie stanie. Ale przyszła kolej i na damy i one dostały po kieliszeczku, które potem poszły w niezaprzeczone władanie mężczyzn, i póty się znajdowały w ich ręku, póki jednej, drugiej i trzeciej butelki nie wypróżniono. Wówczas pan Płachta, szepnąwszy żonie, że tyle tylko wina zostało, ile potrzeba będzie na wychodnem, prosił, aby zabawiła czem innem kompanię, a on pójdzie i zajmie się, aby pirogi z serem i pieczone prosięta, z których miał się składać podwieczorek, podane były komilfo. Wówczas pani Płachcina, przyzwawszy do siebie pana Jakóba, z wejrzeniem pełnem przymilenia, rzekła:

— *En voulez-vous chanter quelque chose, monsieur Jakob?*

— Cóż mam robić? — rzekł artysta, ulegając gwałtowi, i poszedł do swojej skrzyneczki. Panny Płachcianki, uradowane, zaczęły klaskać rękami i postawiły krzeselko na środku¹⁾ pokoju; panowie Smyczkowscy pokręcali wąsa obaj z prawej strony, bo nie bardzo admirowali talent pana Jakóba, który także nie miał ich za bardzo wielkich wirtuozów, a pani Placyda przywozila do porządku swoich chłopczyków, którzy, wydzierając sobie kawałek bułeczki, poczubili się i wrzeszczeli. Ale nareszcie uspokoiło się wszystko; pan Jakób usiadł na swoim miejscu i założywszy nogę na nogę, puścił biegłą rękę po strunach gitary. Gdy po kilku akordach

¹⁾ środka.

zaczął tremolando, i z czuciem, nie zważając na ruiny
 1840 swego czuba, zapalał się, posuwał lewą ręką z góry na
 dół i z dołu do góry, wydobywając z instrumentu dzi-
 wne jęki; publiczność dawała znaki ukontentowania ru-
 szaniem głów i milczeniem. Zachęcony tem, pan Jakób
 przestał nagle. spojrzął po wszystkich i zapytał:—A co?
 A nie czekając aplauzu, co zwykle czynił, bo go na-
 przód był pewny, po krótkim preludyum zaśpiewał:

Te brzóz kilka, ten bieg wody
 Jak mi wiele przypomina!
 Tu przeskakałem wiek młody,
 1850 Tu żyła niegdyś Lucyna.

Ostatnie dwa wiersze powtórzył po raz drugi,
 a ostatnie słowo wymawiając, przesłał ku solenizantce
 wejrzenie długie i mordercze. Tak było po każdej stro-
 fie i po każdej z nich szerokie łono pani Płachciny
 z gazowym szalikiem podnosiło się, a głowa jej z be-
 retem i piórem schylała się na dół. Gdy skończył i za-
 pytał: a co? wszyscy milczeli. Zachęcony tem pan Ja-
 kób rzekł: — Może państwu co nowego? a co? —
 i nie czekając prośby, bo jej był naprzód pewny, za-
 1860 śpiewał:

Nie spostrzegłszy w krzaczku róży
 Kupidyn, że pszczółka siadła itd.

A chociaż w ciągu piosenki pan Skreński szepnął
 panu Biruckiemu, że coś nie ma wielkiego sensu, a pa-
 nowie Smyczkowsy pokręcali wąsa; gdy jednak przy-
 szło do tych słów ostatniej strofy:

Matka rzecze: jeślić, synku,
 Tak dolega żądło pszczole,
 Cóż dopiero Kupidynku,
 1870 Kogo strzałka twa zakole?

i gdy pan Jakób zawołał: a co? cała kompania umilkła;
 pan Remigiusz, zwyciężony, spojrzął na pannę Zenobię,
 pan Paweł na pannę Kryspinę, a panowie Zarzycki

i Cepowski młodzi, czując prawdę ostatnich słów piosenki, westchnęli, ale bali się okazać, co czują. Czem znowu zachęcony pan Jakób, już miał zacząć weselszą piosenkę, i, zadzwoniwszy kilka razy po wszystkich strunach zaśpiewał z silną przygrywką po każdym wierszu:

1880 Nie wiem z jakiego powodu,
Drum, drum, drum, drum, drum,
Poszła Filis do ogrodu,
Drum, drum, drum...

Ale pirogi i prosięta przerwały jego muzyczny zapal i gdy się na stole ukazały, nie pytano już, po co Filis poszła do ogrodu, i każdy ruszył do półmiska, a dzieci pani Placydy, pleszcząc w ręce i krzycząc różnymi głosami, które tłumiły przygrywki pana Jakóba, wołały: pirożki! pirożki!

Gdy stół sprzątnięto, panny Płachcianki, przystąpiwszy do panów Smyczkowskich, dygnęły, jak mogły najwdzięczniej i spojrzały jak mogły najwymowniej! 1890 Zrozumieli bracia Smyczkowski tę niemą prośbę; grali, młodzież tańczyła, pan Skrętski wywijał także z solenizantką, a gdy który z panów Smyczkowskich szedł do tańca, wtenczas pan Jakób zastępował jego miejsce z gitarą. Dzieci pani Placydy spały po różnych kątach: pan Zarzycki z panem Biruckim rozmawiali o gospodarstwie; pani Birucka ruszała ramionami, patrząc, jak pani Płachcina wywija; Żorż zmęczony stał przy 1900 drzwiach, oparłszy się o ścianę, wyciągnawszy naprzód nogi i nos palcem ucierał, a pan Płachta, patrząc na ten ruch i symetryę, cieszył się w duchu, że wszystko odbywa się komilfo.

A państwo Starzyccy? U państwa Starzyckich było cicho, spokojnie. Dziadzio chodził po pokoju i odmawiał pacierze; babunia siedziała już w swoim krześle przy łóżku i modliła się za męża, dzieci i wnuków; ojciec obchodził cały dom i patrzył, czy wszystko w porządku; matka z córką jeszcze doszywały wyprawy a pan 1910 Józef, trzymając ręką na głowie Amora, dumal o lśniących lokach, które ocieniały cudną twarzączkę, o ustach

rumianych, które się do niego tak słodko uśmiechnęły, o czarnych ślicznych oczach, które tak głęboko zajrzały do jego duszy.

V.

— Co tobie, Kamilciu? — rzekła panna Beldeau do panny Kamilli, która, siedząc w kącie obszernej kanapy, przerzucała jedne po drugich książeczki, które obok niej leżały, a potem zniecierpliwiona, zgarnawszy je wszystkie, cisnęła od siebie daleko na pokój. Zaśmiała się Francuzica i mówiła dalej: — Od niejakiego czasu zmieniłaś się zupełnie.

— Tak ci się zdaje — odpowiedziała panienka, podpierając się na rękę z nadąsaną miną.

— Wcale nie... nic cię nie bawi.

— Czyż może teraz co bawić w takiej porze, kiedy deszcz i śnieg, i zimno, i wietrzno, kiedy tylko okiennice stukają, smutno szumią topole i krople brudne biją w okna?

— Czyż niepogoda mogłaby mieć taki wpływ? — rzekła panna Beldeau ze znaczącym uśmiechem.

— Zapewne, na tobie nie. Ty, Belciu, nim się zasnurujesz, nim uczesziesz, nim powkładasz wszystkie kulce, łańcuszki, grzebyki, szpilki i sprzączki, to i nie masz czasu widzieć, co się dzieje; a ja potrzebuję świeżego powietrza i nie mam go, ja nie tylko niczem zabawić się nie mogę, ale gotowam dostać zapalenia płuc i czarnej melancholii. — Znowu zaśmiała się panna Beldeau, a panna Kamilla spojrzała na nią, ruszyła ramionami i zamyśliła się.

— Żart na stronę, Kamilciu, czy nie choraś ty doprawdy, boś pobladła?

— Nie wiedzieć, co gadasz. Czyż taka cyganka jak ja, może poblednąć? kiedyż ja miałam rumieńce?

— Nie miałaś nigdy rumieńców wypiętnowanych na papierowej twarzy, jak panna Hortenzya, ale miałaś twarz świeżą, czerstwą i cerę śliczną, a teraz tego niema, nawet usta twoje pobladły, co były zawsze jak

korale. — Panna Kamilla westchnęła i nic nie odpowiedziała. — A widzisz — mówiła dalej guwernantka — wdychasz. I powiem ci, że nawet przez sen wdychasz.

— O! co to, to kłamiesz, Belciu! — odpowiedziała prawie z gniewem panienka i powstawszy, wyszła ze swego pokoju do sali, siadła przy fortepianie i zaczęła bić po klawiszach, mieszając różne sztuczki razem, przerywając w połowie frazesu, aby wpaść w inny z innego tonu, a wszystko szybko, bez taktu, forte, fortissimo, aż póki struna zerwana smutno nie zabrzęczała i zawziętej muzykantki nie przyprowadziła do upamiętania. Wtenczas panna Kamilla zaczęła chodzić po sali i marzyć. Marzyła o kałuży na drodze, o ładnym młodzieńcu, który jej przyszedł na pomoc; widziała żywo jego postać mężką, wzrost przystojny, twarz miłą i myślącą; podobało się jej to, że choć blondyn, był ogorzały od słońca, że tylko czoło jego wysokie było białe i jasne; przypomniła głos wdzięczny i brzmiały i te oczy ciemno-błękitne, co tak rzewnie, tak rozumnie, a zarazem tak niebojaźliwie patrzyły. Wyobrazivszy go sobie z całą żywością młodej imaginacyi, zapragnąwszy go jeszcze raz obaczyć z całym wytężeniem duszy ognistej i energicznej, panna Kamilla zatrzymała się na środku¹⁾ pokoju, przycisnęła serce obiema rękami i, głęboko westchnąwszy zawołała: — Oh! doprawdy nie rozumiem. — Czegoż to nie rozumiała panna Kamilla? Oto wówczas, gdy ją na rękę trzymał, gdy, obok niej siedząc na wasążku najdyczanki²⁾, patrzył w jej oczy, gdy potem, żegnając się z nią, rękę jej tulił i całował, wówczas, mówię, zdało się jej, że ją ogarniał wzrokiem, myślą, duszą; że po takim spotkaniu, po takim poznaniu się krótkim ale stanowczem, już ten mężczyzna należał do niej, a ona do niego, tem bardziej że i ona czuła to dobrze, jak zdradzała swoje zajęcie się wzrokiem, głosem i uśmiechem; że ściskając jego drżącą rękę, tem samem powiedziała mu: — Zrozumiałam cię, znaleźliśmy się. A przecież już dwa tygodnie przeszło od tej chwili,

1) śródku, 2) nietyczanki.

a o nim ani słychu, ani wieści. Prosiła go, aby odwiedził jej ojca, a on nie przyjeżdżał? — Tego nie mogła pojąć panna Kamilla, i nad tem rozmyślając, rozbierając różne powody, to upokorzona tą myślą, że może tylko ona sama pokochała, to przestraszona może choroba, może jakim innym nieszczęściem jego rodziny, chodziła coraz prędzej po pokoju; potem, nagle zatrzymawszy się, zadzwoniła. Wszedł Ignacy.

— Kto u papy?

— Szloma.

— Szloma? odpowiedziała i, jakby uderzona jakimś światłym pomysłem, po chwili rzekła: — Jak wyjdzie, powiedz mu, żeby tu zaszedł do mnie; mam do niego interes. — Lokaj wyszedł i w kwadrans potem zjawił się Szloma, zbliżając się z całą elegancją i powagą dobrze wychowanego żyda Szejne-Morejne. Ten sam kaftan materyalny był na nim, buty równie wyglansowane, pejsy i broda równie lśniące, a w lewej ręce¹⁾, której wielki palec był za pasem, taż sama sobolowa czapka. Panna Kamilla, siedząc na małej kanapie, oparta z gracyą na rękę, patrzyła na niego z wdzięcznym uśmiechem; co spostrzegłszy, żyd uśmiechnął się także, zaświecił czarnymi oczami, pełnymi rozumu, i pokazywał zęby białe, jak perły.

— *Monsieur Szloma!* rzekła panna Kamilla.

— *Qu'ordonnez-vous Mademoiselle?* — odpowiedział żyd z wdzięcznem charkotaniem. Było to charkotanie czysto żydowskie, ale nie jeden z naszych eleganów i nie jedna z dam, które świeżo wróciły z zagranicy, zazdrościliby go Szlomie, bo czyniło jego akcent zupełnie paryżkim.

— *Je m'ennuie a la mort Monsieur Szloma* — rzekła panienka.

— *Ce n'est pas étonnant* — odpowiedział żyd — *la saison est très mauvaise.*

— Pomówmy o czem, Szloma; zabaw mnie trochę — rzekła panna Kamilla pół żartem, pół seryo.

— Bardzo pani dziękuję za ten honor — odpo-

¹⁾ w lewym ręku. ¹⁾ ciągłom konwersacye.

wiedział, pociągając ładną swą ręką pejsy — ale jeżeli pani pozwoli położyć jeden warunek.

— Jakiż to, mości Szloma?

— Żebyśmy mówili po polsku; bo ja nie jestem tak biegły we francuzki język, chcę mówić we francuzkim języku, abym mógł utrzymać ciągłą konwersacyę¹⁾.

— O! z ochotą, panie Szloma, Język francuski sprzykrzył mi się i tak. Panna Beldeau ciągle mi nim nad uszami terkoce.

— Panna Beldeau — odpowiedział żyd ze znaczącym uśmiechem — ma rację, że mówi zawsze rodzowitym językiem.

— Takbyśmy i my powinni robić; nie prawdaż, panie Szloma?

2040 — Zdaje mi się — odpowiedział. — Ale to się do pani nie stosuje — dodał pochlebnie — pani, choć majątna i wyniańczona francuzkimi rękami, jednak mówisz bardzo dobrze po polsku, co u nas na Wołyniu rzadko się zdarza¹⁾.

— Że ja mówię jakkolwiek, to nie dziwnego, ale że ty, panie Szloma, tak czysto mówisz naszym językiem, to dziwniejsza.

2050 — Uczyłem się i starałem się — odpowiedział gładząc brodę. — Czytałem dosyć, póki miałem czas, i dawniej mówiłem daleko lepiej. Potem wzięłem się do handlu i naszych spekulacji pieniężnych i wiele zapomniałem. — To powiedziawszy, uśmiechnął się, jak autor, który przez skromność sam siebie gani, pewny, że mu słuchający zaprzeczą.

— Teraz tem bardziej musisz nie mieć czasu, panie Szloma, kiedy, oprócz handlu, zajmujesz się jeszcze interesami mojego ojca i pracujesz tak gorliwie nad wzbogaceniem mnie coraz więcej. Nie prawdaż, mości Szlomo? — dodała z ironicznym uśmiechem. Za-
2060 czerwienił się cokolwiek żyd a potem, patrząc jej bystro w oczy, jakby chciał przeniknąć, do czego te słowa zmierzają, dodał: — Pozwoli mi pani powiedzieć, żem ją nie dobrze zrozumiał.

¹⁾ ciągłom konwersacye, ²⁾ zdarzy.

— Jak-to? — odpowiedziała żywiej — czyż we wszystkich kupnach, które mój ojciec od lat kilku zrobił, nie miałeś czynnego udziału, panie Szloma? czyż i teraz nie pracujesz gorliwie, abym wkrótce i po Czaplincach mogła się przejechać, jak po swojej własności? *A propos*, powiedz mi co o tych Czaplincach, jak stoją interesu? Podobno już jednego szlachcica mój ojciec spłacił i częśćkę jego posiadł. A wam dcsyć mieć jeden punkt do ustawienia bateryi.

— Nam? — odpowiedział żyd ze szczególniejszym akcentem.

— To jest, wam, działającym — odpowiedziała z przyciskiem — bo ja przyjdę do gotowego. Powiedz mi, panie Szloma, czy wszystkich tych panów masz w rękę? bo słyszałam, że to szlachta nieuważna, ekspensowna, chętnie zaciąga długi i bierze na kredyt, a pan Szloma zawsze gotów usłużyć.

— Zkądże to pani wiesz? — odpowiedział cokolwiek zażenowany — nie sądziłem, że te rzeczy panią interesują.

— Czyż ja nie mam już dziewiętnastu²⁾ lat? czyż mi nie pora za mąż? czyż mnie to nie interesuje, aby mój posag był jeszcze okrągłejszy, niż jest? Wszak wiesz, panie Szloma, że nasi panowie pierwiej rachują dusze swojej narzeczonej a potem dopiero starają się poznać, czy ona sama ma duszę, czy nie? Takie teraz czasy i rozum spekulacyjny zagnieździł się nie tylko pod takimi ładnymi lokami, jak twoje, ale pod takimi jak moje, choć mniej ładne i nie tak się błyszczą.

— Pani będziesz bardzo wielką panią — odpowiedział żyd z uśmiechem i chciał pogłodzić swoje pejsy, ale się zmiarkował i spuścił rękę nazad.

— Panią, panią!.. czy to źle być wielką panią? — odpowiedziała, kładąc się niedbale na kanapie; — ja tego szczerze pragnę; dlatego powiedz mi, w jakim stanie są nasze operacye względem Czaplinców? Czy wszyscy ci mocno dłuźni?

— Prawie wszyscy — odpowiedział — i żałuję teraz, że m się unosił ludzkością... Pani się uśmiechasz

¹⁾ dziewiętnaście.

na to słowo; prawda, - ono dziwnie brzmi w ustach żyda, ale i żyd jest człowiekiem i wie, co to ludzkość.

— Jeżeli który wie tak, jak ty panie Szloma i umie tak w miejscu używać tego wyrazu; ale cóż dalej? więc wszyscy? — dodała smutniej, pochylając głowę.

— Powiedziałem: prawie wszyscy, bo tam jest
2120 jedna familia oszczędna, gospodarna i rozumna, która ani mnie, ani nikomu nic nie winna i żyje sobie uczciwie i oddzielnie. A, co to za ludzie!

— Któż to taki, panie Szlomo? — zapytała żywej i silny rumieniec okrył jej lice. — Powiedz mi o nich więcej, bo to fenomen w Czaplifcach.

— To są niejacy państwo Starzyccy. Powiem pani, prawdziwie patryarchalna rodzina. Jest tam stary dziadek poczciwy, choć trochę gorączka; jest babka, którą oni wszyscy niezmiernie szacują; jest ojeiec, czło-
2130 wiek bardzo rozumny, choć trochę ponury i milczący; jest matka, kobieta gospodarna i cicha; jest panienka ładna i usłużna, i jest syn, młody człowiek rzadki i powiem pani, że nawet między bogatymi paniczami naszymi nie ma takiego, żeby miał taką głowę i takie serce.

— I to wszystko w Czaplifcach? Skądże ich znasz tak dobrze, panie Szloma? — zapytała panienka, która go z wielkiem zajęciem słuchała.

— Jak-to, skąd? proszę pani! ja w Czaplifcach
2140 bywam często dla różnych interesów z tamtejsze panowie, chcę mówić: z tamtejszymi panami i wiem doskonale, co się u każdego z nich robi, jaki on i, jak żyje. Co się tyczy państwa Starzyckich, to, choć ja z nimi nie mam nic do czynienia, czasem jednak do nich zachodzę pod pretekstem, czy czego nie potrzebują.

— I po cóż, panie Szloma, kiedy wiesz, że oni niczego nie potrzebują?

— Pani będziesz się znowu śmiać, jak powiem. Ja u nich się uczę, co to jest ludzkość — odpowiedział z pewną dumą. — I jak się u innych napatrzę
2150 na brudy, na zawziętość jednego na drugiego, na ambicję pańską z dziadowską intratą, jak to mówią, to

mnie miło u państwa Starzyckich obaczyć rozum, porządek, cichość i pokój domowy.

— Ty jesteś szczególny żyd, panie Szloma! Jeszczem cię nie znała z tej strony — rzekła panna Kamilla z szczerem zajęciem.

— Jeśli mi pani pozwolisz częściej z sobą pomówić, to mnie pani lepiej poznasz.

2160 — Nie uwierzysz, jak mi to będzie miło — odpowiedziała. — Ale czy wiesz, panie Szloma — rzekła potem, jakby od niechcienia — że, przejeżdżając przez Czaplince, ledwim nie była pewna, zobaczywszy topole przy bramie, klony przy ganku, a z tyłu ogród, czy lasek, iż to jest dom państwa Starzyckich?

— Ten sam — odpowiedział. — Znać pana po cholewach, mówi przysłowie, a można dodać: znać gospodarza po jego zagrodzie.

— O, bezwątpienia odpowiedziała, patrząc nań 2170 z pochlebnym uśmiechem — powierzchowność wiele znaczy. Dostyć spojrzeć na ciebie, panie Szloma, dostyć cię posłyszeć, aby się domyśleć, żeś człowiek porządny i edukowany.

— Pani nadto grzeczna — odpowiedział — ale nam, żydom, nie trudno się w tej mierze dystyngować¹⁾. — Ten wyraz wymówił z pretensją.

— A toż dlaczego?

— Gdzie wszyscy brudni — odpowiedział gładząc sobole swej czapki — tam dostyć się cokolwiek 2180 oczyścić, aby zwrócić uwagę.

— Skromność podwaja zasługę, panie Szloma — rzekła i, kiwając mu główką, z gracyą dodała: — Ale nie zabieram ci czasu i dziękuję ci, żeś mnie cokolwiek rozerwał. Pokłoń się żonie odemnie panie Szloma, i Racheli. — Żyd skłonił się ale gdy był już przy drzwiach panna Kamilla, niby przypomniawszy sobie, rzekła: — Ale, panie Szloma! wracając do naszych projektów skupienia Czapliniec, zdaje mi się, że państwo Starzyccy mogą nam w tem pomódz, gdybyśmy się umieli z nimi

2190 obejść.

— Jak-to, proszę pani? — odpowiedział wracając.

¹⁾ dystyngować.

— Ja myślę — rzekła, czerwieniejąc się i spuszczać oczy — że memu ojcu wypadaloby z nimi poznać się bliżej. Człowiek taki gospodarny i wyższy rozumem, nie może nie mieć wpływu na swoich sąsiadów.

— Pani myślisz, że on skłaniałby ich do pozbycia się własności na rzecz pana prezesa? Nie, pani dobrodziejko — rzekł stanowczo — pan Starzycki tego 2200 nie zrobi.

— To przynajmniej odradzać im tego nie będzie, jeśli mój ojciec z nim się zbliży i zaprzyjaźni. Wszakże dla tak ważnego interesu warto zrobić pierwszy krok. Mój ojciec ufa ci, panie Szloma. Mnie się zdaje, że od ciebie lepiej taką radę przyjmie, niż odemnie, niedoświadczonej dziewczyny. A zrobiłbyś mi wielką łaskę, bo nie uwierzysz, jaką mam chęć do tych Czaplinnie!— dodała śmiejąc się.

— Myśl pani bardzo dobra — odpowiedział 2210 Szloma — już ona i mnie przychodziła. Ale nie wiedziałem, że panią Czaplince tak mocno interesują.

— A wiesz dla czego?—odpowiedziała. — Wszak Szyszkowce graniczą z Czaplincami, a Czaplince z naszą Żurawką, a za Żurawką co?

— Majątek pani Włodzimierzowej Podziemskiej. — A więc?

— A więc — odpowiedział żyd uśmiechając się konfidencko — czy pani pozwoli powiedzieć?

— Mów, panie Szloma.

— Majątku tego dziedzicem jest pan Henryk 2220 Podziemski. Masz pani rację wszystko to razem stanowiłoby dobra bardzo piękne.

— Dosyć tego, panie Szloma; wiesz więcej, niżelim chciała. Daj ten pierścionek swojej ślicznej Racheli. Obiecałam jej dawno prezencik i zapomniałam. Adieu, monsieur Szloma! — I znowu kiwnęła mu głową. Żyd popatrzył na nią przenikliwie, skłonił się i wyszedł.

Zaledwie drzwi się zamknęły, panna Kamilla zakryła twarz obiema rękami i tak siedziała przez chwilę 2230 oddychając po tej ciężkiej komedyi, którą odegrała. Potem, powstawszy, otarła łezki, które puściły się z jej oczu i zadzwoniła.

— Czy Szloma poszedł już? — Zapytała Ignacego.

— Nie pani, wrócił znowu do pana i jeszcze tam siedzi. — Uśmiechnęła się panienska, pełna nadziei, że się jej uda wybieg, i lżejsza i weselsza pobiegła do swojego pokoju.

Nazajutrz dzień był jasny i pogodny. Lekki przy-
 2240 mrózek ściągał wilgotną ziemię. Panna Kamilla, oży-
 wiona nadzieją i orzeźwiona ostrem i świeżem powie-
 trzem, z wesołą i czerstwą twarzą wracała około go-
 dziny jedenastej z ogrodu, gdzie można było pochodzić
 po zmrożonych cokolwiek ulicach. Przed gankiem spo-
 strzegła¹⁾ kocyk ojcowski i prezesa na ganku, już go-
 towego do wsiadania. Szybko więc ku niemu podbiegła
 i pocałowałwszy go w twarz z poufałością samowolnej
 jedynaczki, zapytała:

— Czy papa na spacer jedzie? proszę mnie wziąć
 2250 z sobą.

— A, nie, nie mogę — odpowiedział. — Ja jadę
 z wizytą do Czapliniec.

— Do Czapliniec? — zapytała z udaniem podzi-
 wieniem i śmiejąc się głośno, dodała: -- Czy nie do
 pani Płachciny? — Państwo Płachtów znała panna Ka-
 milla z nazwiska, bo ci starali się wszelkimi sposo-
 bami zaprzyjaźnić z prezesem, uważając to za rzecz
 komilfo.

— Nie, nie! — odpowiedział — ja jadę do pań-
 2260 stwa Starzyckich.

— Cóż to za państwo Starzyccy? zapytała, niby
 niechcąca i poprawiając ojcu kołnierzyk przy chustce,
 który mu się pozaginał.

— Jezus Marya! — rzekł prezes — na cóż ci to
 wiedzieć? Tak sobie, szlachta, ale mam w tem interes,
 żeby się z nimi poznać.

— Starzycki! Starzycki! rzekła, niby przypomina-
 jąc — niechno papa poczekaj. A, czy też papa pamięta
 o tym przypadku, który nam się zdarzył, gdyśmy wra-
 2270 cały od Marszałkowej dwa tygodnie temu?

— O jakim przypadku?

¹⁾ postrzegła.

— Ach, Boże mój! opowiadałam przecież papie, żeśmy zagrzęzły z Belcią w kałużę.

— Ach, i jakiś jegomość nas wyratował.

— Otóż, jeśli się nie mylę, jakiś pan Starzycki... Tak, tak, dobrze mówię, pan Szarzycki z Czapliniec. Proszę papy, jeżeli to ten sam, do którego papa jedzie, niech mu papa pięknie podziękuje, bo doprawdy zasłużył na to. Tak heroicznie wlaź w kałużę po same
2280 kolana, tak chętnie kazał odprządz swoje konie i tak wyciągnąć, że doprawdy zobowiązał mnie bardzo. A jeżeli mnie, to i ciebie, papo, nie prawdaż?

— Bez wątpienia.

— Gdyby nie on, to nie wiem, coby było. Mnie, to jeszcze pół biedy, jabym chętnie wlaźła była w błoto, ale pani Beldeau.

— Co mi tam twoja pani Beldeau! — odpowiedział, krzywiąc się.

— A ja czy także co mi tam?

2290 — Ty co innego.

— Otóż widzi papa, jeżeli nie przez wzgląd na panią Beldeau, to przez wzgląd na mnie, powinien papa być wdzięcznym. Któż wie, coby się było stało, gdybym była wlaźła w błoto, a wlaźłabym była niezawodnie. I wtenczas jedynaczka i sukcesorka papy mogła była zamoczyć nogi, z zamoczenia nóg dostać kataru, katar spadłby był na piersi, potem przyszłaby pleura, a potem suchoty... i marsz na tamten świat, a Szyszkowce, Żurawka, Kopnówka, Krzaczkki, Mirskie,
2300 a może i Czalińce dostałyby się nie wiedzieć komu.

— Jezus Marya! — rzekł prezes — co ty pleciesz, dziewczyno, aż mróz po mnie poszedł.

— Niechże z tego papa osądzi, ile winien temu jakiemuś panu Starzyckiemu. Proszę mu ładnie podziękować i zaprosić go jeszcze do siebie, żebym mu i sama powtórzyła podziękowanie.

— Dobrze, dobrze, podziękuję i zaproszę — rzekł przenikliwy prezes, myśląc sobie w duchu: — właśnie mi to na rękę, będę miał pretekst do nowych odwiedzin. — Panna Kamilla poszła do siebie, pleszcząc¹⁾

¹⁾ pleszcząc

w dłonie, a gdy weszła do sali i obaczyła tam pannę Beldeau przed zwierciadłem, porwała ją do walca i zaczęła wirem kręcić tak, że biedna Francuzica, zadyszana i zmęczona, padła, jak bez duszy, na kanapę.

Tymczasem pan Józef nie był tak wesoły. Nie mógł sypiać, stracił apetyt i humor, a wszystko to musiał ukrywać przed rodziną, która go kochała, szczególnie przed ojcem, któryby mu był od razu szalonych myśli zabronił. Czuł i sam młody człowiek całą niedorzeczność namiętności, która w żaden sposób zwyczajnym trybem zaspokojoną być nie mogła; widział, że mu walka potrzebna, ale oraz widział i czuł, że mu wszelka walka nic nie pomoże, że uczucie silne, gwałtowne, rzuciło głębokie korzenie w jego sercu i wyrwać się nie da. Stan jego pogarszała jeszcze niepewność, czy uczucie jego podzielone, czy już nie zapomniany zupełnie? I być może, że to go najwięcej dręczyło, iż nie miał sposobności przekonać się, czy tak jest lub nie? Gdyby pojechał; obaczył, gdyby go przyjęto zimno a może i nie przyjęto wcale, mimo grzecznego zaproszenia, możeby to było najlepszym lekarstwem. Dziesięć razy zbierał się powiedzieć ojcu, że ma zaproszenie do Szyszkowiec i że mu wypada odwiedzić prezesa. Ale ile razy stanął przed nim i spojrzął na tę twarz poważną i surową, zdawało mu się, że widzi na jego czole nagnę i zakaz, i nie śmiał ust otworzyć. Kilka razy znowu chciał bez wiedzy ojca dogodzić najgorętszemu życzeniu, które mu dzień i noc pokoju nie dawało: wyjeżdżał konno niby na spacer, ale wyjechawszy na wzgórek, z którego widać było Szyszkowce, gdy spojrzął na wieś ogromną, na dwór obszerny, na kilkanaście kominów, z których wszystkich wznosiły się kolumny dymu, oznaczając, że tam dostatek, zamożność, nieszlachecka, a zatem duma i zamiary odpowiednie, tracił odwagę, bojąc się nie tak pychy ojca, jak zimnego przyjęcia panny, któreby odwróciło od ust jego to opium, co go truło, ale rozkoszne dawało marzenia.

Takim sposobem przeszły dwa tygodnie i pan Józef zesmutniał, zmizerniał i pobladł. Tego dnia, gdy koczyk prezesa zbliżał się do Czaplincic, siedział przy

Usiadł prezes, splótlł tłuste swe rączki na brzuchu, zaczął zwolna obracać palcami i rzekł znowu:

— Jezus Marya! jak to w życiu naszym wszystko mądrze urządzone. Nawet przypadek, na pozór nieprzyjemny, może się na coś dobrego przydać. Gdyby moja córka nie była ugrzęzła z powozem i nie doznała od pana dobrodzieja ratunku i pomocy, byłbym zapewne pozbawiony tej przyjemności, jaką sobie obiecuję z bliższego poznania się.

2400 Wpatrzył się w niego pan Hipolit Starzycki, a pan Józef, widząc, że mu należało wyprowadzić ojca z ambarasu, przystąpił bliżej i rzekł:

— Kochany ojcze! aktorem w tej małej scenie którą, widzę, pan prezes wyżej ceni, niż warta, byłem ja.

— Ty? — odpowiedział ojciec, spojrzawszy bystro na syna, który się zaczerwienił — i nicś mi o tem nie wspominał?

— Dowód, że to uważał za rzecz drobną i nie-
2410 wartą wspomnienia. Obowiązkiem było mężczyzny dać pomoc damom, znajdującym się w niemiłym położeniu.

— Ale też i obowiązkiem jest ojca podziękować za pomoc daną córce — odpowiedział prezes, patrząc z przechyloną głową na młodego człowieka i puściwszy swe palce w przód młynka. Skłonił się młodzieniec, a prezes, zwracając się do ojca rzekł:

— Ale jak syn pana dobrodzieja zmężniał. Prawdziwie, byłbym go nie poznał.

— Nie wiem, czyś go pan dobrodziej gdziekolwiek
2420 widział — odpowiedział ojciec. — My żyjemy samotnie, nie bywamy nigdzie i mało kogo widzujemy u siebie.

— Wiem, wiem — rzekł prezes — a właśnie i za to przy zdarzonej dziś okazji chciałem się z panem dobrodziejem trochę wyklócić. Jezus Marya! czyż to między sąsiadami nie można zrobić wyboru?

— Szczupły majątek — odpowiedział pan Starzycki — wymaga czasu i pracy, a drobne gospodarstwo daje tyle kłopotu, że do odwiedzin nie zostawia
2430 ani swobodnej chwili.

— Im dalej w las, tem więcej drzew¹⁾, panie kochany — mówił prezes. — Im większe gospodarstwo, tem więcej kłopotu. Ci tylko marnują czas, którzy marnują bez rozważenia to, co im ojciec zostawił. Kto się dorabia tak, jak ja i pan dobrodzieju, to równie zajęty, choć ma trochę więcej, lub trochę mniej. A przecież, widzisz pan dobrodzieju, znalazłem chwilę i pragnę szczerze, abyś ja i pan dobrodzieju znalazł.

Uchylił głowę ojciec a synowi serce rozrywało
2440 piersi. Prezes, spojrzawszy na Anusię, która siedziała przy oknie z robotą, dodał: — To zapewne córka pana dobrodzieja. — Anusia powstała zaczerwieniona i dygnęła. — Panienska z takim wychowaniem — dodał prezes ciszej — jakie odebrała w tak patryarchalnej rodzinie i od takich rodziców, nie musi tu mieć kompanii w Czaplincach.

— Moja córka — odpowiedział pan Hipolit, któremu to wszystko niezmiernie dziwnem się wydawało — kompanii nie potrzebuje. Dla ubogiej dziewczyny naj-
2450 lepszymi towarzyszkami matka i praca.

— Jezus Marya! — odpowiedział prezes — pan dobrodzieju jesteś człowiek surowy ale młodość ma swoje prawa i swoje potrzeby, które nam starszym wydają się cokolwiek dziwnymi, bo prędko zapominamy, żeśmy i sami byli młodzi.

— Sądę — odpowiedział pan Hipolit — że mąż, którego jej Bóg daje, będzie mi wdzięczny, że ja przyuczył cenić dom nad wszystko i towarzystwo rodzinne przenosić nad wszystkie kompanie.

2460 — Więc panienska wychodzi za mąż? a! winszuję, winszuję — rzekł prezes, a potem, przechyliwszy głowę dodał: — Jako ojciec, zazdroszczę panu dobrodzieju, żeś już wybrał dla swego dziecka dozonego towarzysza, i zapewne z tą przezornością i uwagą, która cechuje wszystkie czynności pana dobrodzieja. Ja jeszcze nic nie postanowiłem, nic z pewnością nie wiem, co czeka moją jedynaczkę. Niemały to ciężar na głowie ojca.

¹⁾ drew.

— Przy piękności i takim posagu, to kłopot nie-
2470 wielki -- odpowiedział nasz gospodarz.

— Jezus Marya! — zawołał prezes — tak to się zdaje. A tymczasem ja wiem, jak to trudno się zdecydować, bardzo trudno. Mamy wprawdzie projekta, ale jak to pójdzie, to Pan Bóg lepiej wie.

Łatwo sobie wyobrazić, co cierpiał nasz bohater. Oddech tamował się w jego piersiach, twarz mieniła się co moment i nakoniec przy ostatnich słowach prezesa okryła się śmiertelną bladością. Widziała to siostra, która od niejakiego czasu nie spuszczała z niego
2480 go oczu, i z domyślnością kobiecego serca odgadła wszystko.

Zabawił jeszcze czas niejaki prezes, mówił o gospodarstwie, admirał porządek pana Starzyckiego i dziwił się, jak u niego wszystko w porę zasiano skoszono i zebrano. Potem, podziękowawszy raz jeszcze panu Józefowi i oświadczywszy powtórnie chęć bliższego poznania się, wyszedł wyprowadzony przez naszego gospodarza. Na ganku spotkali dziadzia, który wracał z ogrodu z krzywym nożem w rękę. Uchylił
2490 czapeczki swojej staruszek i odpowiadał ze staroświecką grzecznością, w której widać było owe nałogowe uszanowanie szlachcica dla wielkiego pana.

— Zazdrościć można wielmożnemu panu dobrodziejowi takiego zdrowia w tak późnym wieku — rzekł prezes.

— Świeże powietrze i praca, jaśnie wielmożny prezesie — odpowiedział starzec.

— A może i polowanie — dodał prezes.

— Już i nogi nie służą jaśnie wielmożny preze-
2500 sie. Kaczki-bym jeszcze strzelał, gdyby było gdzie, ale u nas niema stawu.

— Mój, w Szyszkowcach, na usługi — odpowiedział prezes, bardzo proszę. A jeszcze z takim psem — dodał, patrząc na Amora i chciał go pogłaskać. Pies warknął, spojrział w oczy swemu panu i na dany znak, mrużąc, cofnął się i ułożył przy jego nogach.

— Zły i karny, to dobrze — rzekł prezes, cokolwiek niekontent, że mu się z psem nieudało. A powtó-

2510 rzywszy zaproszenie na staw i ukazując z której strony najwięcej kaczek, wsiadł i pojechał.

Wrócili wszyscy do pokoju. Dziadzio chwalił grzecznego pana i zaraz jutro wybierał się na kaczki. Pan Hipolit był zamyślony, i choć go cokolwiek ujęło obchodzenie się prezesa, ale nie mógł dojść skąd się to wzięło i nie chciał wierzyć, aby w tem nie było jakichsiś ukrytych zamiarów. Anusia tylko odgadła wszystko. Gdy pan Józef został sam w pokoju i oparłszy się o piec, stał pogrążony w myślach, przystąpiła do niego nagle i rzekła:

2520 — Józiu! ty kochasz pannę Kamillę.

— Cicho! — zawołał i położył rękę na jej ustach.

— A widzisz, niedobry bracie, napróżność się ukrywał. Ale ja ci coś więcej powiem..

— Co możesz powiedzieć?

— To, że i ona ciebie kocha..

— Anusiu! — zawołał pan Józef chwytając, siostrę za ręce — zkad-że ty to wiesz?

2530 — Czyżby inaczej prezes nas odwiedził? Czyż to nie robota córki jedynaczki, która wszystko robi z ojcem, co chce i która pewnie tego chciała?

— Anulku! Anulku! O! gdybyś ty mówiła prawdę!

— Czyżbym i ja tak nie zrobiła, gdybym miała władzę nad ojcem i gdybym kochała?

Uściskał pan Józef domyślną dziewczynę i wybiegł na ogród szukać świeżego powietrza, tak gwałtownie biło jego serce, tak je cisnęło to postanowienie: bądź co bądź, muszę ją widzieć.

VI.

2540 Prezes wrócił do domu; sapiąc po tej łaźni, którą odbył i czując się w duszy upokorzonym przez zimne i poważne przyjęcie ubogiego szlachcica. Mimo całej zręczności, panna Kamilla nic nie mogła z niego wydobyć i widziała, że był zły i niekontent. Nazajutrz po

obiedzie, gdy leżała sobie na szeslongu, przewracając jakąś książkę, a ojciec, siedząc w swoim krześle i trawiając suty obiad, wspominał coś z ogródką o panu Henryku Podziemskim, dał się słyszeć turkot¹⁾ zajechała sześciokonna kareta i dano znać, że pani Włodzimierzowa Podziemska z synem przyjechała. Zbladła panna Kamilla, jak ściana, przypomniła sobie onegdajszą rozmowę z pełnomocnikiem ojca; przeleżała się, czy nie naprowadziła ich na zgubną dla siebie drogę i czy nie stanie się ofiarą własnej chytrności. Ta zmiana jej twarzy była tak widoczną, że ją postrzegł prezes i tłumacząc, jak zwykle tłumaczymy zrazu wszystkie wypadki, to jest stosownie do życzeń, rzekł, śmiejąc się:

— Jezus Marya! czegożes tak się zmieszała? O wilku mowa, a wilk tu. Nie spodziewałaś się takiej 2560 siurpryzy. Idź, popraw trochę toaletę i przychodź.

Kontentna była panna Kamilla z tego rozkazu i wyszła z sercem ściśniętem, aby odetchnąć cokolwiek i ułożyć twarz do przyjęcia nowych gości.

Oto jest powód tak niespodziewanego zjawienia się pani Włodzimierzowej: Rok temu, dama ta, przyciśnięta przez jakiegoś niecierpliwego kredytora, udała się do prezesa z prośbą o pożyczanie pięćdziesięciu tysięcy. Nic nie mogło bardziej ucieszyć naszego zdobywcy, jak ta propozycja, tem bardziej, że dług ten był oparty na 2570 wiosce, przylegającej do jego Żurawki, i mógł ją tym sposobem wprowadzić w granice swej posiadłości. Ułożył się więc z nowym wierzycielem, zyskał odstępnego kilka tysięcy i dostał oblig zakładowy na owej wiosce z terminem rocznym. Wtenczas-to zrodziła się w głowie prezesa myśl posunięcia jeszcze dalej swoich zaborów i zapieczętowania wszystkiego przez związek panny Kamilli z Henrykiem Podziemskim, dziedzicem obszernego, chociaż odłużonego majątku. Za pośrednictwem Szlomy ponabycwał prezes niektóre jeszcze skrypta pani Włodzimierzowej, na każdym z nich zarobili obaj i tym 2580 sposobem cały dług prezesa na tej pani wynosił już przeszło dwakroć. Przy porządku i gospodarstwie był to ciężar niezbyt wielki; ale pani Włodzimierzowa, ko-

¹⁾ hurkot.

bięta w gruncie niezła, lecz ze skrzywionem wychowaniem, w nic wcale wchodzić nie chciała: raz, że jako księżniczka z domu, wyszła za szlachcica w tej wierze, że skarby jego niewyczerpane i poczytywała za rzecz ubliżającą swemu urodzeniu zajmować się takimi drobiazgami; powtóre, że z komisarzem i ekonomami trzeba było mówić po polsku. Wolała więc pozwolić im robić, coby się im podobało, niż zadawać sobie przykrość w mówieniu językiem, którego nie umiała i nie lubiła, i częstą konwersacją z ludźmi tak ordynaryjnymi zepsuć sobie piękną francuską pronuncyację. Synek, wychowany w tychże samych zasadach, prawdziwy jednak, wypieszczony, wychuchany, a przez winę matki i jej przesadzoną miłość welinowy panicz, czytał tylko francuskie romanse, złe i dobre, *intra parenthesim* praktykował pierwsze na fraucymerze mamy i... także w nic nie wglądał. Tym sposobem doszły rzeczy do takiego stanu, że z dochodów wielkiego majątku wpływało tyle, ile potrzeba było na wystawne utrzymanie domu; ale na opłacenie procentów, na potrzeby gospodarstwa, na podatki i t. d., nigdy pan komisarz nie miał pieniędzy. Widział się więc zawsze w konieczności zaciągania nowych długów, w oczekiwaniu wyższych cen za zboże i wódkę, których teraz za bezcen zbywać nie radził. Pan Włodzimierzowa, mając wszystkiego dostatkiem, mając kredyt u Szafnagla i u żydków krzemienieckich żyła sobie wspaniale i bez troski, dogadzając i miękcząc coraz bardziej synka, wierząc w swoje państwo. pozwalając komisarzowi zaciągać nowe długi, i spodziewając się ryczałtem zapłacić wszystkie, gdy produkta pójdą w górę. Nie wiedziała ona o tem bynajmniej, iż na jej tokach stało więcej słomy, niż zboża, a w kufach więcej wody, niż wódki.

Ale prezes znał doskonale stan interesów tej pani. Wiedział on, że zastraszywszy ją terminem obligu zakładowego i innymi skryptami, które już dawno expirowały, zmusi do chętniejszego przyjęcia propozycyi, jaką już jej przed półrokiem przez trzecią osobę robił a na co się wówczas pani Podziemska skrzywiła. Urodziwszy się bowiem księżniczką, uważała prezesa za gorszego jeszcze szlachcica, niż był jej mąż, któremu

tę nigdy darować nie mogła, że ją obłócił w szlachecką skórę i to tylko miała na widoku, aby i w następnym pokoleniu znajdowała się koniecznie mitra, choćby tylko sterzczała na kądzieli. Na nieszczęście w okolicy księżniczek dojrzałych nie było i pani Włodzimierzowa w pretensjach swoich cokolwiek zmiękła. W takim usposobieniu zastał ją wczoraj list prezesa, posłany w skutek rozmowy Szłomy z panną Kamillą. Prezes, kontent, że córka wchodzi w jego widoki i jak on przejęta ambycją rozszerzenia i zaokrąglenia swoich posiadłości, wziął za dobrą monetę to, co chytra paniątka udawała przed Szłomą. Chociaż wątpił, aby taka cacana laleczka, jak pan Henryk, mogła się jej podobać, że jednak sama napomknęła o tem żydowi, wniósł, że jako nieodrodne dziecko, zajęta jest nie romansami, ale realniejszą korzyścią połączenia dwóch takich majątków. Z tego względu i sam wrócił żarliwie do pierwszej swojej myśli. Ale że prezes nie robił nigdy rzeczy wprost i otwarcie, nie czyniąc żadnej wzmianki o tem, co go najwięcej interesowało, w liście swym wyraził, że termin obligu zakładowego wyszedł, że inne skrypta także już dawno przeszły zakres w nich naznaczony, że procenta za lat kilka wielkie narosły, że on gwałtownie potrzebuje pieniędzy, że w żaden sposób czekać nie może i nie będzie. Przeprosiwszy więc, że, dla swoich niecierpiących zwłoki obrotów, naznacza tylko tydzień czasu, prosi najnawniej w świecie, aby mu w przeciągu tego tygodnia przysłała dwakroć czterdzieści siedm tysięcy.

Przelękała się pani Włodzimierzowa, przesyłabizowawszy list i postrzegłszy tak ogromną sumę, przy końcu pięknie wykalgigrafowaną. Chociaż niedbała, wierząca, że na swojej mitrze wypłynie, jak w arce z powodzi długów, chociaż zagłębiona w Balzaku i w innych koryfeuszach ówczasowej literatury, czuła to jednak, że to suma²⁾ za wielka, że jej pewnie nie ma w gotowiźnie, i że kłopot i wstyd publicznej sprzedaży tuż za nią. Kazała zatem zawołać komisarza, a gdy wszedł, pani Włodzimierzowa, w jednej ręce trzymając

1) summa.

„Fizyologię małżeństwa“, a w drugiej list prezesa, zapytała :

— Czy ma pieniądze?

— Nie mam, jaśnie wielmożna pani — odpowiedział komisarz, jękając się, co zawsze czynił, gdy łgał przed panią. — Niceśmy jeszcze nie sprzedali; drogi tak niegodziwe, że żadnej dostawy zrobić nie można, a nawet żaden kupiec nie przyjeżdża; wszystko dla dró-ó-óg, jaśnie wielmożna pani.

— Niech czyta — rzekła pani Włodzimierzowa, podając mu niedbale list prezesa, a sama tymczasem wróciła do fizylogii.

Zapewne czytelników moich uderzyły wyrażenia: *Czy ma? Niech czyta!* i tym odpowiednie, które im także może słyseć zdarzyło się: *niech siada! czy był? czy widział? czemu nie je?* itd. Są to sposoby mówienia niektórych pań naszych, z domu księżniczek i nie-księżniczek, gdy mówią do niższych, to jest do takich, którym nie chcą powiedzieć: pan, a którym nie śmieją powiedzieć: ty. Pani Włodzimierzowa, wychowana bardzo dobrze po francuzku, ale najgorzej po polsku, w chwilach złego humoru używała tego sposobu mówienia nawet do męża, którego naturalnie uważała niższym od siebie. Nieraz nieboszczyk pan Podziemski odszedł, ruszywszy ramionami, gdy mu rzekła migrenowym głosem: *Niech tak nie stuka butami, niech tak nie hałasuje po szlachecku, niechże mi da pokój ze swymi ka-*
2690 *resami!* itd.

Gdy komisarz skończył list, zamyślił się i zafrasował. Pani Włodzimierzowa, postrzegłszy to, zapytała:

— I cóż mi powie?

— Powiem jaśnie wielmożnej pani — rzekł, już nie jękając się — że to bardzo źle. Takiej sumy¹⁾ nie dostaniemy nigdzie.

— A cóż zrobi?

— Co jaśnie wielmożna pani każe.

— Niech poradzi — rzekła, zakładając nożyk ze
2700 słoniowej kości w książkę.

— Jabym poradził... ale nie śmiem.

¹⁾ summy.

— Niech śmie — dodała, wychodząc cokolwiek z tej arystokratycznej apatyj.

-- Jaśnie wielmożna pani przypomina sobie, że prezes robił propozycję względem swojej córki.

— Jego ojciec był komisarzem — rzekła, krzywiąc się.

— Cóż stąd? — odpowiedział, cokolwiek obrażony pan komisarz — ale majątek prezesa wart więcej niż milion, w gotowiźnie prezes ma więcej niż pół miliona, na długach więcej niż trzykroć.

— Inszej rady dać nie umie?

— Nie, jaśnie wielmożna pani. Pożyczyć nie ma gdzie, a za tydzień prezes nas opublikuje. A wtenczas jeszcze gorzej; nikt nie da ani stu złotych.

— Dobrze; niech idzie! — dodała kiwnąwszy głową. Komisarz skłonił się i poszedł, a pani Włodzimierzowa zawołała: — Henri! Henri!

Z przyległego pokoju wyszedł młody człowiek, niewielkiego wzrostu, blady, wycieńczony, w krótkim surduciku aksamitnym, w takiejże czapeczce, z drugim tomiem fizjologii w ręku. Czarne oczy jego były przygnione, twarz miała wyraz jakiejś niedbałości o wszystko, ale oraz i wyraz cierpienia.

— *Qu'y a-t-il, maman?* — zapytał z jakimściś nerwowem drganiem.

— *Sais-tu Henri, que je veux te marier, mon enfant?* rzekła z wyrazem miłości macierzyńskiej, który twarz jej niebrzydka czynił jeszcze ładniejszą.

— *Eh bien!* — odpowiedział syn, potrząsłszy głową — *comme vous voudrez.*

— *Une brune piquante et jolie* — rzekła matka. Syn nic nie odpowiedział, tylko jakiś uśmiech bolesny przebiegł po jego ustach.

— *Mais elle n'a pas de naissance, mon ami,* prosta szlachcianka.

— A! — odpowiedział pan Henryk, jakby sobie co przypomniał. — *Vous dites maman?*

— *Je dis, mon cher, quelle et riche. Veux-tu savoir son nom?*

— *Oh! cela m'est égal* — odpowiedział z tem samem drganiem w całym ciele, obrócił się i poszedł nazad krokiem niepewnym i chwiejącym się.

— *Charmant garçon!* — pomyślała matka, patrząc za odchodzącym. — Co za szkoda, że Sanguszkówna jeszcze mała — i ułożywszy się na kanapie, wróciła do fizjologii.

2750 Nazajutrz jednak, przeczytawszy raz jeszcze list prezesa i rozmówiwszy się znowu z panem komisarzem gdy się przekonała, że to nie przelewki, nie czekając więc aż Sanguszkówna wyrośnie, kazała zaprządz konie i pojechała z synem do Szyszkowiec.

2760 Prezes przyjął ją z grzecznością układną i zimną, która wcale nie pokazywała, jak był kontent z jej przybycia. Rzucił okiem na pana Henryka, który chociaż ubrany według wszelkich reguł gustu i ostatniej mody, miał jednak postać zbiedzoną, maniery niedbałe, a twarz jakby zaspaną i cierpiącą. Nie spowiedział się prezes, aby taki konkurent mógł się podobać jego córce i zważył o swoich planach; czekał jednak, jakie też 2770 wrażenie zrobi na nim panna Kamilla, której już od lat kilku nie widział ani syn, ani matka.

2780 Weszła nakoniec panna Kamilla ubrana skromnie, ale jaśniejąca całą pięknnością swojej wyniosłej postaci i pełnych wyrazu rysów. Twarz jej była surowa. Przywitała ona panią Włodzimierzową poważnie, spojrziała na młodego człowieka z góry, z jakąś dumą i jakby politowaniem; na wszystkie pochwały matki, z okazji jej tak wielkiej zmiany na awantaż, nie uśmiechała się bynajmniej, lecz odpowiadała lub ironicznie spojrzeniem lub kilku słowami seryo, które pokazywały całą niestosowność tych pochwał. Zmieszało to cokolwiek panią Włodzimierzową, a szczególnie prezesa, który poglądał na córkę, dawał jej znaki, aby była grzeczniejszą i weselszą, ale ona nie rozumiała go wcale. Po pewnej przerwie, w której wszyscy zdawali się zażenowani, pani Włodzimierzowa zaczęła mówić o gospodarstwie, co zwykle czynią wielkie panie nasze, gdy się znajdują w domu szlacheckim. Ale i to się wkrótce urwało, bo 2790 znajomości jej w tym względzie były bardzo ograniczone, a prezes odpowiadał półgębkiem. Ze zmieszeniem coraz wzrastającym pani Włodzimierzowa poglądała na syna, w którym dziwną i nagłą postrzegła zmianę. Jakoż młody ten człowiek, uderzony zjawieniem się panny

Kamilli, zachwycony wyrazem poważnym tej pięknej twarzy, ruchami pełnymi gracyi tej okazałej figury, przejęty do żywego tym głosem dźwięcznym i słowami, choć seryo i bez uśmiechu, ale ukazującemi bystry rozum, sam nie wiedział, co się z nim zrobiło. Przyjechał zimny, obojętny, prawie zaspany, w zamiarze czysto posagowym, a tymczasem spostrzegł¹⁾ istotę wyższą, której wejrzenie jedno przerodziło go zupełnie. Oko jego ożywiło się, lice okrył delikatny rumieniec, ułożenie niedbałe i z pańska wzgardliwe znikło, usiadł przyzwyczajenie i skromnie i śledził każdy jej ruch i każde słowo w cichej kontemplacyi. Zmartwiła się pani Włodzimierzowa, że jej syn wygląda, jak student i gdy się pokazała panna Beldeau, wystrojona, wyłożona, wyłańcuszkowana, puściła się z nią, dla pociechy i pokazania się w dyskurs francuzki o nowych książkach, a potem o domach książęcych i hrabiowskich, w których Francuzica przebywała, i z czem naturalnie nie omieszkała się popisać. Tym sposobem pani Włodzimierzowa spodziewała się ożywić rozmowę i utworzyć pole synowi, aby także pokazał, co umie. Chciało się jej także wyciągnąć na francuzczyznę pannę Kamillę, dla przekonania się, jaką też przysła synowa ma pronuncyacyę i czy jej kiedy nie narobi wstydu. Ale ani jedno ani drugie nie powiodło się jej zupełnie. Panna Kamilla na złość, odzywała się tylko po polsku, a pan Henryk lub milczał, lub także tym tylko językiem przemawiał.

— Nareszcie pani Włodzimierzowa, chcąc skrócić tę pierwszą wizytę, zwróciła się do prezesa i rzekła:

— Mamy jeszcze pomówić o interesie.

— A mamy, jeżeli się pani podoba—odpowiedział prezes przy wolnym obrocie palców.

— Pójdźmyż do jego gabinetu a ci państwo tymczasem zrobią muzykę.

— A pójdźmy — rzekł prezes, powstając i ukazując jej drogę do gabinetu. Pani Włodzimierzowa, przechodząc koło syna, szepnęła mu: — *Henri! vous avez l'air d'un niais* — i poszła, nie uważając, jak zdradzał młody człowiek, jak się zaczerwienił i zmieszał.

¹⁾ postrzegł.

Ale prezes, który śledził wszystkie jego ruchy od początku pokazania się córki, wniósł, że wrażenie było odpowiednie jego chęciom i postanowił stosownie działać i mówić.

Gdy weszli do gabinetu i usiedli, ona na kanapie a prezes w swoim krześle, przez kilka minut trwało milczenie. Pani Włodzimierzowa nie wiedziała, od czego
2830 zacząć, a prezes wyprostowany, trzymając ręce na brzuchu, kręcąc powolnego młynka, przechylił głowę i czekał, co powie. Nareszcie pani Włodzimierzowa rzekła złą polszczyzną, której wszakże w całej tej rozmowie imitować nie będę, bo rzecz przykra, upokarzająca i niezabawna.

— Pan do mnie pisał.

— A! pisałem — odpowiedział, nie zmieniając bynajmniej pozyci.

— Czyż to podobna, aby pan prezes, przy tak
2840 pięknym majątku i takim gospodarstwie, potrzebował pieniędzy?

— Jezus Marya! któż nie potrzebuje pieniędzy? każdy ma swoje spekulacye, zamiary, każdy dźwiga jakiś ciężar, który go gniecie. Dochody nasze nie odpowiadają wydatkom, nie nagradzają pracy. Pani widzisz, jak ja ciasno mieszkam, bo dom mój niedokończony; takich mebli¹⁾, jak te, pani byś u siebie w przedpokoju nie postawiła, a ja muszę je cierpieć, bo na kredyt ani u kupców, ani u rzemieślników, a gotowizny niema,
2850 niema — powtórzył, westchnąwszy i przechylając więcej głowę.

— A przecież mój komisarz mówił mi, że pan prezes masz więcej, niż pół miliona w gotowiznie.

— A! pani komisarz — odpowiedział prezes, patrząc na sufit — to musi być człowiek rozumny i przeczorny; ale widać, że lepiej wie, co się dzieje w majątku pani, niż w mojej szkatułce. Ja wprawdzie długów nie zaciągam i nie mam; a u nas to rzecz tak rzadka, że
2860 kto tylko nieodłużony, to mu zaraz dają milion, lub pół miliona gotowizny. Jezus Marya! — dodał, głęboko westchnąwszy — żebym ja miał pół miliona gotowizny!

¹⁾ meblów.

— Więc pan prezes nie zechcesz mi zaczekać?

— Nie zechcesz? nie zechcesz? któż o tem mówi, że nie zechcę? — odpowiedział, kiwając pobożnie głową. — Jakbym ja nie chciał przysłużyć się tak zacnej damie, jak pani? Uczucia chrześcijańskie każą nieść pomoc sąsiadom; głos silny podnosi się w sercu za każdym, co do mnie się ucieka; to też robię, co mogę, bo u mnie sumienie przedewszystkiem. Niech pan komisarz pani rozpyta się u biednej szlachty Czaplunieckiej, jak gotów jestem każdemu dogadzać, choć nie widzę skądby się mogli niektórzy z nich uiścić. Ale ja na to nie uważam, ryzykuję, bo mała strata mnie nie zuboży, a nie spałbym spokojnie, gdyby sąsiad wyszedł odemnie z zasmuconą twarzą. Ale tym razem¹⁾, mimo najgorętszej chęci — dodał głęboko wzdychając — dogodzić pani nie mogę.

— Dla czego ja jedna mam być wyłączoną z liczby tych sąsiadów, którym pan prezes tak chętnie niesiesz pomoc?

— Dla czego? — odpowiedział, kręcąc palcami — dlatego, żeś pani bogatsza ode mnie. Obowiązek sumienia każe mi być gotowym do wsparcia tych, co rzeczywiście potrzebują, a nie tych, co mają nadto.

— A czyż ja mam nadto? mój komisarz mówił mi, że gotowizny nie mamy wcale, a pożyczyć teraz nie ma u kogo.

— A! pani komisarz -- odpowiedział, dając wolniejszy obrót palcom. — Ja komisarza nie mam i sam wiem dobrze, przejrawszy swoje rachunki, że zaczekać nie mogę. Komisarz to rzecz ładna i dobrze brzmi, alem ja wyrzekł się tej wystawy, sam gospodaruję i sam wchodzę we wszystko i widzę to doskonale, że oblig zakładowy skończony, że i na innych skryptach procentów kilkadziesiąt tysięcy, że tracę dużo na pani, obywatelce dwa razy bogatszej ode mnie, i krzywdę robię biednym, z których nie jednemu mógłbym łyżę otrzeć. Komisarz by mi tego wszystkiego nie powiedział, bo co jemu do mojej duszy i coby mu to szkodziło, że, robiąc ulgę pani, obciążylbym się śmiertelnym grze-

¹⁾ tą razą

chem. Niech mnie Pan Bóg od tego uchwowa! u mnie sumienie przedewszystkiem.

Widziała pani Włodzimierzowa grubą i niezgrabną hipokryzję; ale, nie chcąc irytować prezesa, udała, że tego nie spostrzegła i rzekła, przyciąwszy wargi:

— Mnie się zdaje, że sumienie powinno by panu cokolwiek powiedzieć i za wdową, która sama rady sobie dać nie może i którą zapewne oficjaliści oszukują.

— Jezus Marya! — syknął prezes. — Wdowa!
2910 wdowa! Wszak pani jesteś kobieta i Polka, a to wiadomo, że polskie panie, kiedy chcą, to mają dziesięć razy więcej rozumu i charakteru od nas. Gdybyś pani się chciała zająć, tobyś wiedziała, że panią durzą, że pożyczają bez potrzeby, że obiecują pani opłatę długów wtenczas, jak ceny się podniosą; a ja pani powiadam, że jak się doczekamy wysokich cen, to wtenczas pani powieźdzą, że nie ma nic do sprzedania, bo ziarno myszy zjadły a wódka wyschła ze szczętem.

— Pan prezes przestraszasz mnie. Mój komisarz
2920 wcale mi tego nie mówił.

— A! pani komisarz! — odpowiedział. — Ja komisarza nie mam i pani byś dobrze zrobiła, gdybyś go także nie miała. Ale to nie moja rzecz; ja tylko to wiem, że czekać nie mogę.

— Poradźże mi pan, co mam robić?

-- Najmędrsza rada pochodzi od własnego rozumu — odpowiedział prezes. — Wszak pani masz dorosłego syna, który mógłby być gospodarzem, kiedy sama pani nie chcesz być gospodynią.

2930 — On taki delikatny i ma inne widoki — odpowiedziała pani Włodzimierzowa.

— Jezus Marya! — rzekł, podnosząc głowę — szlachcic polski jest za delikatny do roli, do gospodarstwa? A do czegoż on przeznaczony? Czy nie do tego, żeby leżał w aksamitnym szlafroku na jedwabnej sofie i czytał francuskie książeczki?

— Sądzę — rzekła, czerwieniąc się od niecierpliwości — że wychowanie mojego syna do interesu naszego nie należy.

2940 — Tak i ja sądę — odpowiedział, kręcąc z wolna palcami i patrząc w sufit — dla tego zechcesz mi pani

stanowczo odpowiedzieć, czy mi w tym tygodniu przysłesz pieniądze, czy nie?

— Skądże ja wezmę, kiedy mi mówią, że nie ma?

— To już nie moja rzecz — odpowiedział i patrząc z ukosa na znękaną kobietę, dodał: — Obowiązek sumienia nakazuje mi nie marnować posagu mojej córki i zabezpieczyć i tę jego częśćkę, którą mam u pani, procedurą sądową i opieką praw.

2950 — Panie prezesie! — rzekła wreszcie z westchnieniem pani Włodzimierzowa — czy nie moglibyśmy tego interesu innym sposobem załatwić?

— Jakże to? — odpowiedział, zastanowiwszy obrót swych palców i słuchając z uwagą — Pani może zamiast gotowizny, chce mi dać bankowe bilety? i owszem, ja je przyjmę.

— Gdybym je miała, dawnobyś pan był zaspokojony — rzekła dumnie pani Włodzimierzowa.

2960 — To wielka szkoda, że pani ich nie masz — odpowiedział zimno i znowu umilkł, czekając, co powie.

— Pan przypominasz sobie ową propozycję, którąś mi robił przez marszałka? — rzekła nareszcie z rezygnacją.

— Jezus Marya! czy ja mogę sobie wszystko przypomnieć? ja mam tyle interesów na głowie.

— Mój syn ma lat dwadzieścia trzy, a córka pana prezesa zapewne dziewiętnaście? — rzekła zmuszając się do uśmiechu.

2970 — Tak jest, siedemnastego grudnia skończy lat dziewiętnaście — odpowiedział prezes naiwnie i uchyłając głowę.

— Mnie się zdaje — rzekła złamanym głosem — że mój syn byłby w stanie podobać się pannie Kamilli, gdybyś pan pozwolił mu starać się o jej rękę?

— Jak pan mówi? przepraszam, nie dosłyszałem — rzekł zimno i szydersko.

— Ja mówię, żebyśmy mogli dzieci nasze położyć i proszę pana prezesa, aby pozwolił synowi memu mieć nadzieję.

2980 Poprawił się prezes w krześle, zaśmiał się i rzekł do zmieszanej tem jego poruszeniem i śmiechem pani Włodzimierzowej:

— A! ponieważ pani z tej beczki zaczynasz, to przemówię i ja teraz do pani innym językiem. Proszę mnie posłuchać z uwagą, nie przerywać, a jak skończę, odpowiedzieć, co się podoba i zrobić, jak się będzie zdawało.

— Słucham pana — odpowiedziała cichym głosem.

3990 — Przed pół rokiem — mówił prezes zupełnie innym głosem i tonem — robiłem pani propozycyę, to prawda. Ja, szlachcic taki sam, jakim był mąż pani, jeden z pierwszych urzędników w gubernii, dawałem migdalikowi pani dziewczynę piękną, edukowaną, ze zdrowem ciałem i zdrową uszą i której sytuacja, jeżeli jeszcze kilka lat pożyję, wyniesie do dwóch milionów. Zrobiłem to dlatego, że syn pani zdawał mi się chłopcem dobrym i niegłupim, chociaż go pani wypieściła, zepsuła, źle chowała i zamiast mężczyzny, zrobiła 3000 z niego lalkę cukrową. Zrobiłem to dla tego, że majątek pani zdawał mi się podobnym do uratowania, gdybym się w to wdał, a połączony z moim, stanowiłby wielkie dobro, któreby postawiły nasze dzieci w rządzie pierwszych panów na Wołyniu. Była to propozycya uczciwa, użyteczna i korzystniejsza dla państwa, niż dla mnie. Ale pani nie mogłaś zapomnieć dwóch rzeczy: raz, żeś się urodziła księżniczką, powtóre, że mój ojciec był w służbie u wielkiego pana. Skrzywiłaś się na mój projekt i nie przyjęłaś go. Był to błąd, za który 3010 panią okoliczności ukarały i przywiodły do tego upokorzenia, że teraz robisz mi tę samą propozycyę, jaką ja pani pierwej robił. I tak zawsze bywa. Gdybyś pani więcej zajmowała się praktyką życia naszego społecznego, a mniej urojonymi wypadkami francuskiego świata, tobyś pani była wiedziała, że z dobrej okoliczności należy zaraz korzystać, kuć żelazo póki gorące, bo zdarzenia uciekają, jak woda, i wrócić ich nie można, jak dnia wczorajszego. A teraz, gdym powiedział, co mi 3020 ciążyło na sercu i co pani może się przydać nadal, oświadczam, że synowi pani starać się o rękę mojej córki pozwalam, lecz kładę następujące warunki: 1) Że wtenczas dopiero pozwolę na związek, gdy moja córka sama tego zechce. Nie widzę bowiem żadnej potrzeby

zadawać gwałt jej sercu, a przytem wiem dobrze, że to nie taka kobieta, aby ktokolwiekbaż, a nawet ojciec, mógł jej zaimponować. 2) O zwrot należytości mojej teraz nalegać nie będę i jeżeli ten związek przyjdzie do skutku, zniszczę te obligi zupełnie. Ale nim to nastąpi, a czy nastąpi, nie wiem, wymagam: abyście mi państwo na sto pięćdziesiąt tysięcy, znajdujących się w tych skryptach i na pięćdziesiąt tysięcy procentów, wszystkiego na dwakroć, wydali oblig zakładowy na Zabokrzyce, przylegające z drugiej strony do mojej Żurawki, z terminem także rocznym. 3) Jeżeli córka moja oświadczenie syna pani przyjmie, dasz mi pani natychmiast plenipotencyę na rządzenie majątkiem pani, który gwałtownie potrzebuje ratunku i który zacny komisarz pani przyprowadzi wkrótce do ostatecznej ruiny. Teraz powiedziałem wszystko i czekam odpowiedzi.

3040 Przez cały czas tej twardej perory siadziła biedna kobieta z nachyloną głową, a łzy upokorzonej i złamanej dumy kapały na jej suknię. Widział to prezes, ale głos jego ani nie zmiekkł, ani ton się nie zmienił. Gdy skończył, długo jeszcze pani Włodzimierzowa milczała, nareszcie otarła oczy, podniosła bladą twarz i rzekła:

— Jestem matką; jeżeli to ma być z dobrem mego syna, zgadzam się na wszystko. Byłeś pan twardym i niedelikatnym dla kobiety słabej i może zaślepionej, ale zdolnej panu przebaczyć tę chwilę, jeżeliś pan był szczerzym pod koniec naszej rozmowy, niż z początku, i jeżeli w tem, co ma nastąpić, dasz dowód tego sumienia, o którym tyle razy i z takim przeniknieniem mówił. Jutro przyślij pan kogo do ułożenia żądanych obligów a teraz pójdźmy obaczyć, co dzieci nasze robia.

3050 To powiedziawszy, powstała i z godnością odeszła. Prezes, nawzajem upokorzony tak niespodzianem znalezieniem się kobiety, którą chciał zniweczyć, splótł prędko tłuste swe rączki, puścił palce szybkiego młynka i przechyliwszy głowę szedł za nią.

VII.

Gdy weszli do salonu uderzył ich następujący widok. Przy fortepianie stała panna Beldeau i, brząkając jedną ręką po klawiszach, śmiała się i mówiła coś do Henryka, który jej nie słuchał. Oparty o fortepian, z założonemi rękami, z twarzą, jak trup, bladą, stał biedny młodzieniec, odwrócony od gadatliwej Francuzicy, i patrzył z natężeniem na pannę Kamillę. Panna Kamilla siedziała na krześle bliżej stołu w ułożeniu pełnem powabu. Głowa jej była zwrócona ku stojącemu obok niej mężczyźnie, z którym mówiła; twarz jej jaśniała radością, oczy jej i usta wdzięcznie się uśmiechały; ręka, oparta o stół, igrała z lśniącymi lokami, a lewa nóżka w eleganckim trzewiczku, cokolwiek wyciągnięta naprzód, leżała na grzbiecie ślicznego legawca, który się u nóg jej zwinął. Ze owym mężczyzną był pan Józef a owym legawcem był Amor, dzielający instynktem jego uczucia, tego łatwo się czytelnicy domyślą. Jak się zaś ta grupa ułożyła, to potrzebuje opowiedzenia.

3070 Gdy prezes z panią Włodzimierzową wyszli, trwało przez niejaki czas milczenie. Panna Kamilla od razu spostrzegła, jakimu wrażeniu uległ młody człowiek i z okrucieństwem kobiety nie żądającej hołdu, jakiego jest przedmiotem, postanowiła dręczyć nowego swego adoratora i, jak się domyślała, pretendenta do swej ręki. Słyszała ona cokolwiek od marszałkowej wspólnej sąsiadki i wiedzącej wszystko: jak ów młody człowiek był wypieszczony i wychuchany; jak go matka trzymała zawsze pod bokiem; jak do lat dziesięciu nie dawała mu noża do rąk, żeby się nie skaleczył; jak go nie kazała uczyć ani łacińskiego języka, ani matematyki, że był delikatnego zdrowia; jak później nigdy nie pozwalała mu wsiąść na konia, żeby nie upadł; nie dała do rąk ani strzelby, ani pistoletu, żeby się nie zastrzelił; nie pozwoliła za nic kapać się ani w rzece ani w stawie, żeby się nie utopił; jak go kazała tylko praktycznie nauczyć po francusku, trochę geografii i historii przez konwersacyę z gubernierem a później od piętnastego roku życia pozwoliła mu karmić się samymi tylko
3100 romansami, aby się bawił, nabywał z nich znajomości

świata i ładnych obrotów języka. To okropne wychowanie zniszczyło wszystkie zdolności i wrodzoną energię młodzieńca i dało mu jakąś sztuczną niedołężność, z którą się nie urodził wcale. Powiększyło ją jeszcze wyniszczenie fizyczne, przez obrazy, którymi nabita była jego imaginacja i przez związki tajemne, o których biedna matka nie wiedziała bynajmniej.

Silna moralnie i fizycznie, piękna i żywa panienska, nie mogła bez pewnego rodzaju wzdargy i wstrętu patrzeć na biednego niedołęgę, który, jak słaba roślina zwraca się do słońca, aby zaczerpnąć od niego siłę i życie, zatopił w niej wzrok i całkiem się zapomniał. Wstręt ten, jakim ją przejął, postanowiła mu dać uczuć i rzekła niezmiernie seryo:

— Czy pan nie chory?

— Nie, pani — odpowiedział, czerwieniąc się — nigdy nie byłem zdrowszym.

— Pan musi nadto oddawać się pracy, która wyniszcza zdrowie pana. Jakież są nauki, nad którymi pan tak zacięcie pracuje? Słyszałam, że pan niezmiernie lubi matematykę i wyłącznie się jej oddaje. Bardzo to ładnie i dla mężczyzny rzecz konieczna; ale ja sądzę, że to musi być praca nudna i zabijająca. — Wszystko to mówiła zwolna, z przyciskiem i nie okazując bynajmniej, że mówi nieprawdę. Każde jej słowo uderzało go, jak młotem; blednąc i czerwieniąc się na przemian, słuchał jej ze spuszczonei oczyma; gdy umilkła, podniósł głowę, uśmiechnął się boleśnie i odpowiedział:

— Pani mi za wiele czynisz honoru; ja matematyki nie znam wcale.

— To może pan tak zgłębiasz się w łacinie? Belciu! jak się nazywa ten poeta rzymski, o którym czytaliśmy niedawno? Jego imię coś tak brzmi jak kasztan we francuskim języku. Pan nie pamięta? — zapytała prędko, zwracając się do bladego, jak ściana, pana Henryka.

— Nie wiem — odpowiedział cichym głosem — o czem pani chcesz mówić.

— Pan gra? — zapytała znowu, powstając i idąc do fortepianu. — Oto partytura Normy. Może pan i śpiewa?...

— Lubię muzykę — odpowiedział, idąc za nią i opierając się na instrumencie, bo czuł, że ledwie stoi na nogach — ale nie śpiewam. Mam zbyt słabe piersi. Pani nie raczy spróbować?

— Zachryłam, jak pan słyszysz. Dużo dziś przed obiadem jeździłam konno a powietrze było cokolwiek za chłodne. — Potem, patrząc mu bystro w oczy, dodała: — Pan zapewne ma dzielne konie i lubi tego rodzaju
3150 rozrywkę? Co to musi być za rozkosz dla mężczyzny, kiedy dosiędzie śmiałego i ognistego wierzchowca, kiedy poczuje się panem dzikiego i szlachetnego zwierzęcia, które napróżno szarpie mocną rękę, co go prowadzi i wreszcie pyszni się zręcznością i siłą tego, co go ujarzmi i więzi! O! my kobiety, jeżeli pozwałamy sobie męzkich uciech, to i w dziesiątej części ich nie doznajemy. Nam potrzeba, aby koń był doskonale ujeżdżony, powolny, jak dziecko, miękki i słaby, jak kobieta. A to mdła rozrywka, to wszystko jedno, co kanapa na
3160 sprężynach. Nie prawdaż, panie? Pan podobno ma dzielne konie wierzchowe ze stajni Sławuckiej?

Dobiła tem zapytaniem niemiłosierna dziewczyna biednego młodzieńca. Wolał skłamać, niż przyznać się, że nigdy w życiu na koniu nie siedział. Spuściwszy więc oczy, odpowiedział:

— Nie wiem z jakiej stajni pochodzą, ale mam parę dobrych koni.

— A polowanie pan lubi? Co to musi być za ukontentowanie? Tyle razy z płaczem prosiłam mego
3170 ojca, aby mi pozwolił nauczyć się strzelać, ale nie mogłam tego wyprosić. Jaki pan szczęśliwy, — dodała z przyciskiem, — żeś mężczyzna, że zręczność tego rodzaju, której nam, nie wiem dla czego, bronią, jest obowiązkiem każdego z panów i istotną częścią ich edukacji.

— Tak, ma pani rację — wyjąkał biedny migdałik z rozpaczą w sercu i nie wiedział, co dalej z sobą zrobić i gdzie schować oczy, do których oisnęły się łzy upokorzenia. Szczęściem dał się słyszeć turkot i wypro-
3180 wadził go z ambarasu. Panna Kamilla spojrzała w okno, gwałtowne drżenie ją schwyciło i twarz jej pobladła. Odwróciła się więc co prędzej, aby tego nikt nie uwa-

żał; a panna Beldeau, poznawszy także przez okno przybyłego gościa, zaczęła zaraz śmiać się głośno i opowiadać po francusku panu Henrykowi przygodę, z której ich ten pan wyratował.

Wkrótce wszedł pan Józef, cokolwiek bledszy i mizerniejszy, niż był przed trzema tygodniami, ale postać jego i wysoka i męzka, czoło szerokie i białe, 3190 raz twarzy energiczny i śmiały, stanowiąc uderzający kontrast z bladym i znękanym panem Henrykiem, wlały radość i szczęście w oczy panny Kamilli i serce jej napełniły miłością i dumą. Spojrzał pan Józef wokoło, rzucił okiem na swego współzawodnika, stojącego przy instrumencie z założonemi rękami, i zatrzymał się chwilę przy drzwiach. Panna Kamilla, jakby odgadła jego myśl, postąpiła parę kroków naprzód i wyciągnęła ku niemu rękę. Posunął się ku niej młodzieniec i wzajemne lekkie ściśnienie dało im poznać, że się nie zapomnieli. 3200 Gdy pan Józef, schylając się z uszanowaniem, podaną sobie rękę całował, panna Kamilla rzekła:

— Powinnabym doprawdy gniewać się na pana, żeś nas tak długo pozbawiał przyjemności podziękowania sobie za przysługę, jakiej doznałyśmy w naszej przygodzie. Nieprawdaż, Belciu! — dodała, czerwieniąc się — żeśmy często mówiły o tem, coby się było z nami stało, gdybyś pan był nie nadjechał?

Zaśmiała się Francuzica, jak zwykle, i potwierdziła słowa panny Kamilli.

3210 — Nie mogłem dotąd — odpowiedział zmieszany pan Józef — korzystać z zaproszenia pani i tem wdzięczniejszy jestem, — dodał głębszym głosem — żeś pani nie zapomniała jeszcze tak drobnej przysługi. Czy zastałem pana prezesa w domu?

— Mój ojciec jest w swoim gabinecie i w ten moment zapewne wyjdzie. Interes, o którym z mamą pana mówią, — dodała, zwracając się do pana Henryka — musi być panu wiadomy. Czy potrwa długo? Pan nie wie?

3220 — Prawdziwie, że nie wiem, o co idzie — odpowiedział, czerwieniąc się, pan Henryk i zwrócił się do panny Beldeau, która nie przestawała z nim gadać, chociaż jej prawie nie słuchał i tylko półgębkiem odpo-

wiadał. Teraz widząc, że panna Kamilla więcej zajęta nowym gościem, niż nim, puścił się w długą rozmowę o jakimś romansie Kocka. Tymczasem panna Kamilla zaczęła wypytywać pana Józefa o siostrę, o rodziców, o dziadka i babkę. Iskrzyły się od radości oczy młodzieńca, gdy spostrzegł, że zna jego familię, że wi-
 3230 dać ją to interesowało, że się musiała wypytywać. Gdy jej odpowiedział na wszystkie zapytania, idąc ku oknu, rzekła do postępującego za nią młodzieńca:

— Gdyśmy się pierwszy raz widzieli, zgadłam, jeżeliś pan tego nie zapomniał, w którym domu w Czaplincach rodzice pana mieszkają. Teraz wiem wszystko już i znam każdą osobę, która składa rodzinę pana.

— O dziękuję, stokroć dziękuję pani za to interesowanie się, — odpowiedział, patrząc na nią z rozrzewnieniem i miłością. Spojrzała mu w oczy i spostrzegłszy łzę, co jak kropla rosy zawisła na jego długich rzęsach, zmieszła się zupełnie i poszła prędko do okna. Ale wkrótce plasnęła rękami i zawołała panny Beldeau:

— Belciu! Belciu! patrz, wszak i ten śliczny pies tego pana z nim tu przyjechał. O! niechże go pan pozwoli zawołać do pokoju. Nieprawdaż Belciu? co to za piękne stworzenie! — i nie czekając odpowiedzi pana Józefa, którego to cokolwiek zażenowało, czuł bowiem nieprzyzwoitość wizyty z psem, który bez jego wiedzy
 3250 za nim w ślad przybiegł, otworzyła okienko, wyjrzała na dziedziniec i zawołała głośno: Amor! Amor!

Leżał pies spokojnie na bryczce, ale gdy usłyszał ten głos, podniósł głowę, zastrzygł uszami, spojrzał bystro skądby wychodził; a gdy poznał twarz i powtórzone wołanie usłyszał, jednym susem stanął na ganku, wpadł do przedpokoju, i mimo opozycyi Ignacego, na którego groźnie warknął, zaczął stukać do drzwi salonu. Pobiegła panna Kamilla i otworzyła mu. Wszedł pies, kręcąc ogonem, spojrzał bystro w oczy swemu panu,
 3260 i, przyłożywszy piersi do ziemi i warując, przyczołgał się do nóg panny Kamilli.

— Patrzyć państwo! — zawołała uradowana — co to za rozumne i wdzięczne stworzenie! Raz tylko pogłaskałam go i nie zapomniał mi tego. No! wstań

już poczciwy piesku — dodała i gdy Amor posłuszny powstał, przyklękła z gracyą, objęła jego szyję i głowę jego głaskać i karesować poczęła, a spojrzawszy wdzięcznie na pana Józefa, którego szczęście wybiło się na twarzy, zwróciła raptem mowę do pana Henryka i rzekła:

— Panie Podziemski! pan, co lubisz polowanie, musisz i psy lubić! Nie prawdaż, co to za przepyszne zwierzę! a jakie karne i łaskawe! Chodź pan, pogłaszcz go!

W całym domu pani Włodzimierzowej nie było ani jednego psa, żeby który Henryczka nie ukąsił. Bał się więc psów pan Henryk, nie z natury, ale z nieoswojenia. Wszakże wszystkie upokorzenia, których dziś doznał, obudziły w nim jakąś odwagę rozpaczliwą.

3280 Przystąpił bliżej, pochwalił Amora i chociaż ręka jego drżała, głaskać go zaczął. Mruknął pies, po całym cielem pana Henryka przeszło zwykłe jego nerwowe drganie. Panna Kamilla uśmiechnęła się, a biedny młodzieniec, spostrzegłszy ten szyderski uśmiech na jej ustach, westchnął, zacisnął ręce i, wróciwszy na swoje miejsce, oparł się o fortepian. Już więcej nie odpowiadał pannie Beldeau, która nie zważając na jego milczenie, ciągle trzepała i śmiała się.

Panna Kamilla usiadła koło stołu, wsparła, jak

3290 keśmy powiedzieli, lewą nóżkę na grzbiecie Amora, który leżał przy jej nogach, i rzekła cicho do romarzonego i uszczęśliwionego młodzieńca:

— Pan nie chciałeś do nas przyjechać, nie prawdaż? Potrzeba było, żeby mój ojciec pierwszy zrobił znajomość. — Pan Józef milczał, spuściwszy oczy, a panna Kamilla mówiła dalej: — I gdyby mój ojciec nie dał się być do tego skłonić, byłbyś pan wcale nie przyjechał?

— Więc moja siostra miała rację! więc zgadła!

3300 O, mój Boże! — rzekł prędko, trąc ręką czoło.

— Cóż to odgadła ta dobra siostra pana? — zapytała panna Kamilla, patrząc nań z wyrazem pełnym miłości.

— To, że pani przyczyniłaś się do tego szczęścia, jakie mi zrobiły odwiedziny ojca pani. — Schyliła oczy, twarz jej oblała rumieniec i nic nie odpowiedziała.

— Prawdaż to? O! niech mnie pani uszczęśliwi tem słowem!

3310 — Pokłoń się pan serdecznie odemnie swojej siostrze — odpowiedziała, spojrzawszy nań przenikliwie. — Zadrżał do gruntu duszy młodzieniec, chciał coś powiedzieć, ale w tejże chwili drzwi gabinetu otwarły się i weszła pani Włodzimierzowa i prezes.

Biedna kobieta, znękana rozmową z chytrym twardym zdobywcą, przestraszona bladością swojego jedynaka, spojrzała podejrzliwie i dumnie na pannę Kamillę i pięknego młodzieńca, który stał obok, i poszła prosto do syna.

— Co tobie, Henryku? — zapytała go ciszej.

3320 — Nic wcale — odpowiedział prawie z gniewem.

— Bądź gotów, zaraz jedziemy.

Ale panna Kamilla, usłyszawszy te słowa i spojrzawszy na ojca, który się zmarszczył, nie chcąc się wydać ze swojemi uczuciami, z całą dyplomacją kochającej kobiety pobiegła do pani Włodzimierzowej i najśliczniejszą francuszczyzną rzekła:

3330 — Słyszę, co pani mówi. O! proszę nie robić tej krzywdy mnie, młodej gospodyni. W ten moment podadzą herbatę. Jeszcze pani za widna dojedzie do domu. Nieprawdaż, panie Henryku? — rzekła z najśliczniejszym umizgiem — pan uprosi mamę, aby się nie spieszyła?

Zajaśniały oczy biednego młodzieńca, twarz jego się ożywiła i zarumieniła i matka, zderutowana grzecznością panny Kamilli i spojrzeniem syna, który ją błagał, została. Panna Kamilla odprowadziła ją do kanapy, usiadła przy niej i z niewypowiedzianą żywością, wdziękiem i uprzejmością prowadziła rozmowę.

3340 Tymczasem pan Józef przystąpił do prezesa, złożył mu uszanowanie od ojca, który dla pilnego interesu przymuszony był wyjechać do Konstantynowa i sam służył mu nie mógł.

Z początku prezes zimno się odkłonił i kilka słów odbąknął; ale, widząc zabiegi panny Kamilli koło pani Włodzimierzowej, jej dobry humor, jej grzeczność dla pana Henryka, udobruchał się, oddalił od siebie myśl przykrą, która go na widok rozmowy córki z panem Józefem uderzyła, i grzeczniej z nim rozmawiać zaczął.

3350 — Niech-no papa patrzy — rzekła panna Kamilla — co to za prześliczne zwierzę. Pójdź tu, Amor! — Amor zbliżył się i położył głowę na jej kolanach.

— Widziałem go już — odpowiedział, krzywiąc się prezes. -- Ale cóż on tu robi?

— Ach! przepraszam kochanego papę, żem go zawołała z powozu pana Starzyckiego, gdzie sobie spokojnie leżał. Wiem, że papa nie wielki amator, ale ja jakoś w tym względzie odrodziłam się od papy, za co spodziewam się papa niemniej mnie kocha — dodała
3360 z umizgiem. A przytem chciałam panu Henrykowi pokazać go, który w tej mierze gust mój podziela. Nie prawdaż panie Henryku?

— Najzupełniej odpowiedział młody człowiek, sam nie wiedząc, co się z nim dzieje; a chcąc dać dowód, że tak jest w rzeczy samej, przystąpił do Amora i zaczął go zwolna głaskać. Ale ręka jego drżała i twarz widocznie pobladła. Wytrzeszczyła¹⁾ na to oczy przelekniona pani Podziemska, nie wiedząc, co się zrobiło jej synowi, a nim zdołała słowo wymówić, pan Józef

3370 rzekł:

— Mnie się zdaje, że najprzyzwoitsze dla niego miejsce będzie na dworze i na bryczce, i jeżeli pani pozwoli, każe mu wyjść precz.

— O! niech pan to robi, — rzekła, składając ręce, pani Włodzimierzowa.

— Amor! do koni! — zawołał pan Józef.—Spojrzał pies na pana, potem na pannę Kamillę, jakby czekał potwierdzenia rozkazu.

— Idź, idź, poczciwy piesku! kiedy cię wypędzają.
3380 — Usłuchał natychmiast, a gdy podano herbatę zasiadli wszyscy około stołu i zaczęła się zwyczajna rozmowa.

¹⁾ wytrzeszczyła.

Panna Kamilla była tak wesola, tak uprzejma dla matki i syna, że odurzyła ich i ujęła zupełnie. Gdy wyjeżdżali, prosiła o powtórzenie odwiedzin. Zaproszona wzajemnie, okazała gotowość i obiecała przyjechać z ojcem. Ale gdy prezes odprowadził gości do sieni wbiegła nazad do salonu, i podając rękę panu Józefowi, rzekła drżącym głosem: — A pan przyjedzie? — Nie mógł słowa wymówić uszczęśliwiony młodzieniec; uściśnął

3390 tylko mocno podaną sobie rękę i do ust przytulił.

— Szczególniej nie zapomnij pan pokłonić się ode mnie siostrze. O! jakbym rada ją poznać!

Gdy pan Józef powrócił do domu, i wszedłszy do pokoju, zastał siostrę samą jedną, chwycił ją w objęcia, tulił do siebie z uniesieniem i wołał: Anulko! Anulko! tyś podobno zgadła!

VIII.

Pan Ignacy Zahorowski, przyszły zięć państwa Starzyckich, posiadał o mil cztery od Czapliniec małą wioseczkę, z której mógł wyśmienicie utrzymać siebie i żonę. Na początku lata spostrzegł¹⁾ był raz w kościele pannę Annę. Podobała się mu skromna i ładna jej powierzchowność, słyszał wiele dobrego o tym zacnym domu i w tem przekonaniu, że przykład i wychowanie musiało ją moralnie wykształcić na kobietę uczciwą, dobrą i uległą, postanowił tentować szczęścia. Wymyślił więc sobie interes, jakeśmy powiedzieli; potem otwarcie napisał do jca, że mu się córka jego podobała, że szuka w niej tylko dobroci, przywiązania i obyczajów, a nie posagu, i prosił o pozwolenie bywania w ich domu. Pozwolenie, jak wiemy, nastąpiło; 3410 lepsze jeszcze zachęcenie, które wyczytał w oczach pаниenki, poszło za tem; a wszystko skończyło się zaręczynami, jak nam to panna Anna w rozmowie z bratem opowiedziała. Gdy pan Józef przybył do Czapliniec wtenczas pana Ignacego nie było w okolicy. Pan

¹⁾ postrzegł.

pojechał za Żytomierz do stryja, który mieszkał w Owruckim powiecie. Stryj ten był głową ich rodziny, i młody człowiek, dawnym, szanownym obyczajem, nie chciał przedsiębrać tak ważnej czynności w życiu, nie mając błogosławieństwa najstarszego z rodzeństwa. Wszakże zbliżał się już moment jego powrotu i panna 3420 coraz była niespokojniejsza.

W kilka dni po bytności pana Józefa w Szysz-kowcach, wieczorem cała rodzina zgromadzona była w pokoju. Dziadzio właśnie skończył był opowiadanie jakiegoś zdarzenia w domu pani Kurdwanowskiej, starościny Baranowskiej, wszyscy jakoś umilkli, a panna Anna, która siedziała przy oknie i ciągle w nie patrzyła, zapomniawszy się zupełnie, głośno wzdychać za- 3430 częła. Dziadzio w ten moment zaczął śpiewać:

Zostawię ja ciebie
Temu, co jest w niebie:
Za roczek, za drugi
Powrócę do ciebie.
A jak nie powrócę,
Listy będę pisał;
Ty będziesz płakała,
Ja nie będę słyszał.

— Daj-że jej asan pokój z temi piosneczkami, bo 3440 się doprawdy rozplacze — rzekła babunia.

— Nie, babuniu droga! — odpowiedziała, krzepiąc się, panienska. — Ja wiem, że teraz jesień, droga zła, i że pan Ignacy, choćby chciał, to nie może popospieszyć.

— Ej! moja dziewczeczko, — rzekł dziadzio — gdyby chciał, toby popospieszył. Jakem się za młodu wybierał w pewną podróż, o której asincka nie powinnaś wiedzieć — dodał głaszcząc żonę — a było to w późnej jesieni, to pani Kurdwanowska, starościna Baranowska powiedziała mi: — A dokądże to wasan w taką 3450 bezdroż pojedziesz? ja uśmiechnąłem się i zaczerwieniłem; a ona mi na to: — Aha, wiem! niema złej drogi do swojej niebogi. No, jedź wasan, jedź.

— To dziadzio myśli doprawdy, że pan Ignacy nie chce pospieszyć?

— Myśle i bardzo myślę — odpowiedział z udaną powagą.

— Dlaczegoż to, proszę dziadzi?

— Boś go rozgniewała; jabym to samo zrobił —
3460 dodał seryo.

— Jakże to, mój dziadziu? — zapytała panienka, przyskakując do staruszka i karesując go.

— O! jak? a pamiętasz, jakieś się z nim żegnała, powiedziałaś mu: bądź pan zdrow, panie Ignacy! — On cię prosił, żebyś mu powiedziała: bądź zdrow, Ignasiu! nie chciałaś.

— Czy tylko to? — rzekła uspokojona.

— Oho! alboż to mało! Poprawże się, jak wróci, ja ci szczerze radzę; — i zaczął śpiewać:

3470

Przeproś Kasiu Jasia,
Boś go rozgniewała,
Jak go nie przeprosisz
Nie będziesz go miała.

Zaledwie skończył, gdy dał się słyszeć turkot. Panna Anna krzyknęła, i w tejsze chwili otwarły się drzwi i wbiegł młody człowiek, całował kolana babki, ręce dziadzi i rodziców, i stanął przed narzeczoną nie mogąc słowa wymówić od szczęścia i radości.

— Uściskaj go, uściskaj, kureczko! — krzyknął
3480 dziadzio ze łzami w oczach. Rzuciła się w jego objęcia uradowana panienka i szepnęła mu do ucha: drogi mój Ignasiu! — Przestroga dziadzi nie poszła w las, bo jakże miała nie usłuchać tak starego, tak poważnego człowieka?

Pan Józef i pan Ignacy znali się jeszcze w Krzemieńcu. Później zaś więcej z reputacji uczciwości i dobrego prowadzenia się, niż osobiście. Panna Anna wkrótce odnowiła ich szkolną znajomość i radość w domu była powszechna.

3490

Cały tydzień przeszedł wesoło na rozmowie poufalej, na projektach umiarkowanych i nie przekraczających możliwości, na wspólnem wylaniu serc uczciwych,

kochających i bezinteresonych. Ślub¹⁾ odbył się skromnie i cicho w najbliższej parafii. Młodzi małżonkowie, którym dziadzio ustąpił swego pokoju, a sam spał w kancelaryi syna, zabawili jeszcze kilka dni u rodziców, i potem cała rodzina, wyjąwszy ojca i babuni, którzy zostali w domu i później ich mieli odwiedzić, odprowadziła państwa młodych do Trawisk, wioski
 3500 pana Ignacego. W krytej bryczce na resorach pojechała matka z córką; w bryczce pana Ignacego jechał dziadzio, a w najdyczance¹⁾ był pan Ignacy i pan Józef. Na połowie drogi stanęli wytchnąć przed karczmą i dać koniom siana. Lecz zaledwie powysiadali z powozów, gdy zajechała karetą i prezes z córką i panną Beldeau, jadąc z rewizytą do pani Włodzimierzowej, stanął także przed karczmą. Pierwsza panna Kamilla postrzegła znajomą sobie najdyczanke³⁾ i Amora i, nie czekając, co ojciec powie, krzyknęła: Ignacy, otwórz! —
 3510 Zaledwie drzwiczki były otwarte, już pan Józef był przy karecie, podał rękę pannie Kamili, pomógł wysiąść prezesowi i pannie Beldeau, i wszyscy poszli ku karmie. Prezes powitał uprzejmie dziadzia, zarekomendował siebie i córkę matce, która się zadziwiła i zmieszana, gdy poczuła, z jaką uprzejmością, z jakim uczuciem ta panna, okazała, piękna i bogata, ścisnęła jej rękę, ale żadne słowa nie zdołają oddać tego wyrazu ciekawości, interesu i bojaźni, jaki malował się w oczach nieśmiałej i nieprzywykłej do obchodzenia się z wielkimi
 3520 panami Anusi. Stała ona zdaleka obok męża i czekała, czy też do niej zwróci się, i jak ją przywita panna Kamilla. Ale panna Kamilla poszła do niej prędko i śmiało, wzięła jej obie ręce i rzekła ciszej: — My się już znamy! — Zaczzerwieniła się na te słowa młoda kobieta i łzy zakręciły się jej w oczach. Gdy prezes winszował matce, gdy dziadzio rekomendował mu pana Ignacego, gdy pan Józef, poglądając z radością na uprzejmość kochanki dla siostry, zaczął rozmowę z panną Beldeau, korzystając z tego, panna Kamilla wzięła pod rękę młoda
 3530 kobietę i poszły wzdłuż karczmy. Sień była obszerna,

1) szlub, 2) nietyczance, 3) nietyczankę.

próżna i czysta i można było po niej pospacerować. Gdy cokolwiek odeszły, Anusia; ściskając jej rękę rzekła:

— Jaka pani dobra, że się tak z nami obchodzisz!

— Dlaczegoż mi pani to mówisz? — odpowiedziała panna Kamilla, patrząc z miłością w te błękitne oczy zupełnie takie, jak u brata. — Wszak powiedziałam, że my się już znamy. Czyżbym się myliła? Pani, coś się domyśliła, że mój ojciec odwiedził was przezemnie, nie
3540 domyśliłabyś się reszty?

— O! panno Kamillo droga! mogłaby to być prawda? — zawołała w uniesieniu Anusia.

— Cicho! — rzekła panienka, oglądając się i tuląc jej rękę do bijącego serca. — Nie nazywaj mnie panną Kamillą. Tyś Anusia dla mnie, jam Kamilcia dla ciebie, myśmy siostry.

— O mój Boże! mój Boże! czyż ja spodziewałam się tak szczęśliwej chwili? — rzekła słabym głosem biedna kobieta, skłaniając odurzoną głowę na ramię
3550 panny Kamilli. — O! gdyby mój biedny brat wiedział, jak on szczęśliwy!

— Powiedz mi, Anulko, czy on mię bardzo kocha?

— Możesz-że wątpić? możnaż ciebie inaczej kochać? Od pierwszej chwili, od pierwszego spotkania wszego widziałam, że nieszczęśliwy, że stracił serce i pokój, że niepewność okrutna dręczy go i katuje.

— I nic ci nie mówił? nie przyznał się z niczem?

— O, droga Kamilciu! Ale Boże mój! jak mi dziwnie tak ciebie nazywać? Co to za szczęście! — rzekła, patrząc w te śliczne czarne oczy, w których łąza jak brylant błysnęła.

— Cóż Anulko? mów mi, mów o nim!

— Więc ty go kochasz?

— Kocham go — odpowiedziała panna Kamilla, kładąc rękę na sercu; a potem, nachyliwszy się do ucha Anulki, szepnęła jej ciszej: — kocham go bardzo, całą duszą, całym życiem, jakie jest we mnie. Ale mu

3570 tego nie mów.

— To mu sama to powiesz; on mi nie uwierzy, bo to dla niego nadto szczęścia.

— Sama mu powiem? Ach, nie wiem, nie zdobęde się na to. Czekałam jak zbawienia, żeby ciebie obaczyć, ciebie, kobietę, kobietę kochającą, któraś od razu serce moje odgadła: aby wylać przed tobą wszystko, co się tu zamyka; a tu tak wiele, moja droga Anulko, że się czasem piersi rozrywają. Bom ja sama, sama jedna i niema żywej istoty, którejbym mogła co powiedzieć. O! on szczęśliwy, on może mówić z tobą. Kiedyż on ci się przyznał?

— Widzisz moje życie, on mężczyzna, silny duszą i ciałem i umie panować nad sobą. Widziałam, że cierpi, ale póki twój ojciec nie przyjechał do nas, milczał i cierpiał. Dopiero, jak od was wrócił, o! z jakim uniesieniem, z jakim szczęściem chwycił mnie w objęcia i zawołał: — Anulko: tyś podobno zgadła.

— Podobno? — rzekła smutno panna Kamilla — czyż on nie wiedział, co się we mnie dzieje?

— Daruj mu to. Trudno człowiekowi wierzyć świadectwu własnych oczu, kiedy szczęście lub klęska przechodzi wszelkie jego oczekiwanie.

— Szczęście! szczęście! ach! kto to jeszcze wie, czy to nasze szczęście, czy niedola?... Ale precz z temi myślami! — dodała, tuląc Anusię. — Na co ma nam dzień jutrzejszy zatruwać dzisiejszą chwilę, kiedy taka rozkoszna... bom ja teraz bardzo szczęśliwa, moja droga Anulko. Ale pójdźmy.

I poszły do kompanii. Na środku karczny panna Kamilla zatrzymała się i rzekła: — Ach, byłabym zapomniała, Anulko! będziemy pisywać do siebie, nie prawdaż?

— O! będziemy, moja droga! Ale pozwolisz swoje listy pokazywać Józiovi?

Kiwnęła główką panna Kamilla z słodkim uśmiechem i poszły wesole z radosnemi twarzami. Gdy się złączyły z kompanią, pan Józef rzucił okiem na siostrę, i oczy jej wypowiedziały mu wszystko. Panna Kamilla karesowała Amora; zbliżył się i rzekł jej ciszej: —
Dziękuję, dziękuję pani!

— Za co? — odpowiedziała, podnosząc nań oczy, w których była cała jej dusza: — czy za to, żem miała szczęśliwą chwilę?

Byłby jej do nóg upadł, ale prezes nadszedł z dziadziem i nie sobie więcej powiedzieć nie mogli.

Rozjechali się wkrótce i łatwo sobie wyobrazić, jak długą, jak nieznośną wydawała się ta droga panu Józefowi, który radby był pomówić z siostrą i dowiedzieć się, o czem rozmawiały.

3630 Gdy się skończyła ceremonia powitania w domu nowej gospodyni, gdy się utuliły łzy matki i córki, gdy mąż oprowadził wszędzie żonę i pełen szczęścia i radości zdał berło domowe w drogie jej ręce; gdy dziadzio chodząc za nimi i stosowne piosneczki odśpiewując, nasprzeciwiał się dowoli młodej mężatce: wtenczas dopiero Anusia, znalazłszy sposobny moment, wykradła się z bratem do osobnego pokoju i opowiedziała mu wszystko.

3640 Wielkie szczęście jest zwykle tak blizkiem wielkiej niedoli, każdy rozumny człowiek tak dobrze to czuje, iż spełnienie najgorętszych życzeń naszych, po krótkiej chwili uniesienia, napełnia serce smutkiem i trwogą. Tak się stało i z naszym panem Józefem. Gdy siostra skończyła opowiadanie, gdy się dowiedział, że kochany tak silnie, tak gorąco kochany, — zbladł jak trup, upadł na krzesło, zakrył twarz obiema rękami i łzy szczęścia, bólu i trwogi puściły się z jego oczu. Gdy podano wieczerzę, on nic w usta nie wziął; gdy wszyscy poszli spać, on chodził długo i marzył i myślał. Zmęczony wreszcie, położył się, ale noc przeszła, dzień zajrzał w okna, a sen nie był wcale na oczach młodzieńca, przed którym krążyły obrazy niewypowiedzianego szczęścia, a za nimi rozdzierające malowidła rozstania się, utraty i zapomnienia.

3650 Tymczasem transakcyja o kupno części państwa Pożyczkowskich wniesiona została do akt, pieniądze wyliczone, intronizacja wzięta. Pani Pożyczkowska, zabrawszy swoje dzieci, drżące obok niej *serce* i manatki, pod które prezes kazał jej dać tyle podwód, ileby życzyła wyjechała na mieszkanie tymczasowo do Szumska, póki się nie zdarzyła gdzie dobra dzierżawa. Wszedł

więc prezes w posiadanie nowego dziedzictwa i jak pa-
 jąc usiadł w samym środku¹⁾ Czaplinc, gotów po swo-
 jej sieci puścić się na wszystkie strony na pierwszą
 zdobycz, któraby mu się nawinęła. Gdy przytem oblig
 zakładowy pani Włodzimierzowej otrzymał i pewnym
 był, że się i ta wioska jemu dostanie, tembardziej za-
 pragnał Czaplinc, które miały stanąć w samym
 środku²⁾ jego rozszerzającej się majątności.

3670 Ta podwójna chęć zawładnięcia tą wsią podwoiła
 i grzeczność jego dla domu państwa Starzyckich, któ-
 rych postanowił do pewnego czasu oszczędzać. Po-
 znawszy bowiem rozum i przenikliwość pana Hipolita,
 bał się naprzód, aby ten nie ostrzegł swoich sąsiadów
 i nie odwrócił ich od pozbawienia się swoich posiad-
 łości; powtórnie, chciał tą pozorną grzecznością dla jed-
 nego zamydlić oczy innym, wzbudzić ufność i okazać,
 że nie jest złym sąsiadem, jak o nim mówiono; naresz-
 cie mając zamiar różnemi drobnemi przykrościami
 3680 dręczyć upornych, przyprowadzić ich do procesu i zmu-
 sić tym sposobem do wyrzeczenia się mająteczku i bie-
 dy, chciał oraz mieć pozór sprawiedliwości za sobą
 i pokazać, że z dobrymi żyje dobrze i w przyjaźni.

Wprawdzie mignęła mu była jakaś myśl zatrwa-
 żająca, gdy wychodząc z gabinetu swojego z panią
 Włodzimierzową, postrzegł córkę w rozmowie z panem
 Józefem; ale panna Kamilla tak dobrze umiała potem
 ukryć swoje uczucia, tak na pozór obojętnie przywitała
 kochanka w karczmie, tak mało z nim mówiła, wyga-
 3690 dawszy się serdecznie z jego siostrą, tak potem grze-
 czną była dla pana Henryka i jego matki w ich domu,
 że myśl ta zatarła się w głowie prezesa. Znikła ona
 z niej zupełnie, gdy chytra panienka w przejeździe
 przez wioski pani Włodzimierzowej, odchwalić się ich
 nie mogła; zachwycała się ich położeniem, doskonałością
 gruntów, dodając, coby to był za majątek, gdyby był
 w rękę dobrego gospodarza. Uśmiechnął się na to pre-
 zes, dziękował w duchu Panu Bogu, że jego dziecię tak
 do niego podobne, i ogromny zamek zbudował — na
 3700 lodzie.

1) 2) środku.

Z tych tedy powodów, gdy pan Hipolit Starzycki, skłoniony przez ojca i żonę, ujętych uprzejmością prezesa w owej pamiętnej karczynie, ofukniony nawet przez matkę, która, ulegając insynuacyom swego faworyta, wyrzucała mu niegrzeczność dla człowieka, tak uprzedzającego, który został ich tak blizkim sąsiadem, zdecydował się nareszcie i z synem pojechał; przyjął go prezes z otwartemi rękami i nie wiedział prawie, gdzie go posadzić.

3710 Panna Kamilla, postrzegłszy przez okno zajeżdżającego pana Józefa, jak się domyśliła z ojcem, pobięła ku gabinetowi prezesa, dała mu znać, że ktoś przyjechał, a sama wyszła do swego pokoju, aby się cokolwiek uspokoić, utulić bijące gwałtownie serce i kochankowi dać czas obyć się i opamiętać. Przeczynała ona, że musi wiedzieć o wszystkim i bała się raptownego spotkania, któreby ich w przytomności obydwu ojców zdradziło.

Po kwadransie rozmowy grzecznej, ale zwyczajnej, 3720 pan Hipolit Starzycki, oglądając na wchodzącą pannę Beldeau, rzekł:

— Mam od mojej żony ukłon oświadczyć córce pana prezesa i od siebie podziękować za jej łaskawe obejście się z moją córką.

— Jezus Marya! — rzekł prezes — czyż to nie był jej obowiązek? Mając obligacyę dla brata, wiedząc, jak szacuję rodziców, powinna była być uprzejmą dla córki. Tak ją wychowałem — dodał wzdychając. — 3730 Gdy pan Hipolit nic nie odpowiadał, prezes tak dalej mówił: — A przytem taka interesująca osoba, jak pani Zahorowska, nie mogła nie zająć mojej Kamilki. Jak żałuję teraz, że tak późno się poznały i, poznawszy się tak się oddaliły od siebie. Bardzo byłbym content z takiej kompanii dla mojej córki, bo osoba w takim domu wychowana, jest zawsze użytecznym przykładem.

Znowu nic na to nie odpowiedział pan Starzycki; pan Józef dla kontenansu przerzucał niby książkę, która obok niego na stoliku leżała, a prezes, zwracając się do panny Beldeau, dodał:

3740 — Ale gdzież to Kamilcia?

— Zajęta w swoim pokoju — odpowiedziała guwernantka.

— Niech panna Beldeau będzie tak łaskawa i zawoła jej na moment.

— Jeżeli dla nas — rzekł seryo pan Starzycki to niech pan prezes nie fatyguje panny Kamilli. Ja innym razem wypełnię swój komis.

Zastygło serce w piersiach pana Józefa, ale, zagłębiwszy się w książce, nic po sobie nie pokazał.

3150 -- Bardzo się cieszę z tej obietnicy pana dobrodzieja, — rzekł prezes; — to mi daje nadzieję, że się częściej widywać będziemy. Ale jabym chciał pochwalić się przed sąsiadem moją jedynaczką, której pan dobrodziej nie znasz.

— Nie miałem jeszcze tej przyjemności — odpowiedział zimno. Tymczasem panna Beldeau poszła i po chwili otwarły się drzwi i pokazała się panna Kamilla. Na twarzy jej nie było uśmiechu, ale wyraz jakiś poważny i łagodny. Oczy jej patrzyły spokojnie, chód był 3760 powolny i pełen gracyi. Z dziwnem zajęciem poglądał pan Starzycki na zbliżającą się z powagą okazałą panielkę; pan Józef powstał, trzymając się krzesła, bo nogi pod nim drżały, a panna Kamilla skłoniwszy się grzecznie i naturalnie ojcu i synowi, usiadła.

— Kamilciu! — rzekł prezes — pan Starzycki przywozi ci ukłony.

— Moja żona przypomina się pani — rzekł pan Starzycki — i ukłon przezemnie przysyła.

— Jakżem wdzięczna — rzekła uprzejmie — że 3770 pani Starzycka o mnie nie zapomniała. Jakżeście państwo dojechali wówczas? czy szczęśliwie? — dodała obracając się do pana Józefa.

— Jak tylko można najszczęśliwiej — odpowiedział, nie śmiejąc podnieść na nią oczu.

— Mój Boże! — rzekła żywiej panna Kamilla — jak ja żałuję teraz, że córka pana tak daleko mieszka, Raz tylko widziałyśmy się z sobą, a tak jakoś przystałyśmy do siebie. Czy panu nie mówiła o tem siostra pana, jakieśmy się rozgadały? Co to za miła rzecz, 3780 kie spotkanie na tych nudnych popasach!

— Ja właśnie chciałem podziękować pani za tę uprzejmość, z jakąś pani ośmieliła moją córkę. Wychowana w samotności, prawdziwa wieśniaczka, nie wiem, jak się znalazła.

— Znadto pan ją surowo sędzisz. Naturalna, miła, bardzo interesująca osoba -- rzekła panna Kamilla. — Pan dawno wrócił od siostry?

— Już tydzień — odpowiedział pan Józef, spuszcza ją oczy. Lekki rumieniec wystąpił na twarz panny
3790 Kamilli i wkrótce zniknął. Tak ciągnęła się rozmowa dalej. Panna Kamilla najwięcej mówiła z ojcem a synowi czasem tylko rzuciła zapytanie o gospodarstwie siostry, o jej zajęciach, czy będzie miała blizkie jakie sąsiedztwo i t. d.

Wtem wszedł Ignacy i dał znać, że nową młoc-karnię przywieźli i czeka przed gankiem.

— Aha, to ciekawa rzecz; bardzo mi kontent. Pan co taki gospodarz, może zechce obaczyć — rzekł prezes, podnosząc się.

— Z ochotą — odpowiedział pan Starzycki i wyszli. — Zaledwie ojcowie byli za drzwiami, gdy panna Kamilla spojrzawszy przenikliwie na pannę Beldeau, rzekła:

— Belciu! duszko! każ mi podać robotę i niech przyrządzają do herbaty.

Uśmiechnęła się Francuzica i poszła. Tylko co za nią drzwi się zamknęły, pan Józef był już u nóg panny Kamilli, ścisnął jej kolana i wołał w uniesieniu: — O! mój aniele, czym ja wart tego?

3810 Rozmarzona panienska położyła obie rączki na jego głowie, ścisnęła ją; zaczęła igrać z jej włosami; a gdy on tulił do ust jej dłonie, nachyliła się pocałowała go w czoło i rzekła słabym głosem: — Wstań pan, wstań na miłość Boską!

Wstał więc, usiadł na swoim miejscu, i długo, długo patrząc na siebie, ani jednego słowa wymówić nie mogli.

— Nie masz pan nic od Anulki? — rzekła wreszcie panna Kamilla. Pan Józef podał jej bilecik.
3820 Otworzyła go prędko, zaczęła czytać; czytając wyciągnęła do niego rękę, którą upojony młodzieniec tulił do

ust i do serca. Gdy skończyła, rzekła: — O! tak, to na zawsze! Ale bądźmy ostrożni. Usiądź pan tam.

Posłuszny jak dziecko, odurzony tą uroczą chwilą, odszedł, usiadł i patrzył bez końca, jakby chciał przekonać się, że to nie sen, nie widziadło, które zniknie, gdy przyjdzie upamiętanie i ocknienie.

— Czytałeś pan to? — zapytała panna Kamilla.

3830 — Nie, pani — odpowiedział.

— Pan; pani — rzekła z bolesnym uśmiechem. — Jak to teraz dziwnie brzmi. Ale nie trzeba nam się od tego oduczać. Anulka radzi nam ostrożność. O! i ma rację! Czy wiesz pan...

— Znowuż pan? — zawołał uniesiony młodzieniec, wyciągając do niej ręce. — Aniele mój! Kamilo droga! taki moment nie prędko się zdarzy.

— O! masz rację — odpowiedziała. — Raz ci tylko powiem mój jedyny. Ty, ty, ty, jesteś tu.. i na
3840 zawsze. A teraz dosyć.

To powiedziawszy zerwała się, pobiegła do swego pokoju, i wkrótce stamtąd wyszła panna Beldeau.

Gdy prezes i pan Starzycki wrócili od młockarni, zastali pana Józefa w obojętnej rozmowie z Francuzicą.

— Gdzież to znowu Kamilcia? — zapytał prezes.

— Głowa jej cokolwiek boli — odpowiedziała gubernatka, i prosiła o herbatę do swego pokoju.

Uśmiechnął się przenikliwy prezes i pomyślał:
3850 znudziła się szlachcicem; jej nie to w głowie! — I jeszcze grzeczniejszym był dla ojca i syna.

Podano wreszcie herbatę, przy której prezes opowiadał, kręcąc palcami i wzdychając: jakim sposobem z biedy przyszedł do posiadania części w Czaplincach; jak powodowany ludzkością uległ prośbom tych biednych ludzi i wybawił ich od kredytorów; jak teraz sam nie wie, co z tym kawałkiem ma zrobić i zaproponował panu Starzyckiemu, aby od niego tę część odkupił, okazując się gotowym nawet stracić i rozłożyć mu wy-
3860 płatę na raty, jeżeliby nie miał tyle kapitału.

— Bardzo panu prezesowi dziękuję — odpowiedział pan Starzycki, — ale ja nie mam nic, prócz swojej części i części na Podolu, w której mój syn gospodaruje. Nie puszczam się nigdy na przedsięwzięcia, którym podobać nie mogę. Nie winienem nikomu ani grosza i mam nadzieję, żadnego długu dzieciom moim moim nie zostawię.

— Admiruję, admirują pana! — odpowiedział prezes. — Jezus Marya! gdyby wszyscy sąsiedzi pana
3870 dobrodzieja tak postępowali i myśleli! Ale przykład taki, jaki im dajesz, nie działa na tych ludzi. A żal, żal! takie mająteczki, jakie mają, wystarczyłyby każdemu; ale trzeba się pędzią mierzyć, a tego rozumu Pan Bóg im nie dał. Wszyscy w długach.

— Każdy odpowiada za swoje postępowanie i życie — rzekł z powagą pan Starzycki — i los każdego z nas jest to ciągła niekonsekwencya naszych myśli i czynności.

— Jezus Marya! — rzekł prezes, wzdychając —
3880 jaka to święta prawda. I ja doznaję skutków tego głupstwa, żem wlaźł w niepotrzebne kupno. Ale cóż robić? — dodał, kręcąc palcami i przechylając głowę — kiedy pan mnie wykupić nie możesz, niech już ta bieda zostanie przy mnie. Przynajmniej mam sumienie spokojne.

Zsunął brwi pan Starzycki, słuchając tych ostatnich słów i nic nie odpowiedział. Skończyła się herbata i pożegnali się uprzejmie. Prezes wymógł obietnicę częstszego odwiedzania się; dodał, że ma się w niektórych rzeczach, tyjących się gospodarstwa, poradzić
3890 tak biegłego znawcy; że go powiezie do gorzelni; że chciałby mu pokazać swój browar i t. d.

Gdy pan Starzycki z synem wracali do domu nic do siebie nie mówili. Ojciec, sam nie wiedząc, co sądzić o prezesie, rozważał i milczał. A syn? o! syn także milczał i bujał w siódmym niebie.

IX.

Tymczasem prezes, który z biedy i jedynie przez ludzkość wlaźł w posiadanie części państwa Pożyczkow-

skich, postanowił według planu z niej korzystać. Dla
 3900 kilku chłopów osadzać ekonomia nie było warto, że zaś
 dworek był niezły w samym środku wsi na głównej
 ulicy, osadził w nim więc żyda. Żyd ten miał wódkę,
 miód, wiśniak, a nawet i wino; opatrzył się w stare
 fraki, nie zupełnie zniszczone kapoty, płaszcze itd.: miał
 materyalne sukienki i chustki damskie, a pod wielkim
 sekretem znalazł i sztukę płótna i tyfoń i muślin i tym
 podobne drobiazgi. Żydek to był niewielki, grzeczny
 i niezmiernie usłużny. Wódka jego była mocniejsza,
 3910 lepszej miary i tańsza, niż u państwa Smyczkowskich
 i u pana Skrętskiego; wiśniaczek był doskonały; a wino
 z etykietami, co nadzwyczajnie ujęło pana Płachtę,
 jako rzecz niezmiernie komilfo. W największy zaś fa-
 wor u wszystkich panów, a szczególnie u pań, wprowa-
 dziło Mortka to, że nigdy nie zapytał o pieniądze, ale
 wszystko, czego tylko kto chciał i ile chciał, dawał na
 kredyt. Z chłopami był wszakże ostrożniejszy i im
 sprzedawał wódkę za gotowe pieniądze. Łatwo się czy-
 telnicy domyśla, że to był agent Szłomy, działający
 według jego i prezesa instrukcyi, że nie miał swego,
 3920 ale wszystko należało do naszego Szejne Morejne, on
 zaś miał tylko procent od wyszynku i sprzedanych
 rzeczy.

Z początku wprawdzie nie podobała się ta no-
 wość wielu panom. Szczególniej panowie Smyczkowscy
 i pan Skrętski krzyczeli mocno i karali swoich chłopów
 jeżeli który, zwabiony lepszą miarą zawędrował do
 Mortka. Ale że Mortko ujął wszystkich, a szczególnie
 panie, nie pomogły wocyferacye dwóch zgodnych braci
 i rzeczy poszły swoim trybem. Tryb zaś ten był prze-
 3930 widziany przez prezesa. Znając naturę ludzką w ogól-
 ności, że się tentacyom trudno opiera, i znając naszą
 naturę w szczególności, że się im opiera mniej niż inne,
 wyrachował, że, podsunawszy blisko wszystko to, czem
 chciał ich wieść na pokuszenie, że ułatwiając nabycie
 nieograniczonym kredytem, łatwo wyprowadzi mieszkań-
 ców Czapliniec z granic umiarkowania i już i tak ob-
 dłużonych jeszcze więcej pograży w długi.

Nie omylił się w swoich rachubach prezes. Gdy
 Szłoma umyślnie zaczął robić trudności, — gdy, poka-

3940 zując to temu, to owemu sążnisty rachunek, oświadczył, że więcej kredytować nie może; wszyscy rzucili się do nowego dobrodzieja, który okazywał największą gotowość, zaufanie i oświadczył, że on im na tysiące zawierzy. Zapomniawszy więc o registrach Szlomy, widząc, że u Mortka nic jeszcze niema, lub mało—wyobrazili sobie nasi panowie, że nic nikomu nie winni, brali ryczałtem. A jak u nowego doktora wszyscy się chętnie kurują, czy zdrowi, czy chorzy, tak i nasi obywatele schodzili się hurmem do nowego przekupnia i brali, ile

3950 stało, czy kto czego potrzebował, czy nie. Pan Płachta pokrył wszystkie meble nową materyą i niezmiernie komilfo; pani Płachcina sprawiła dwie materyalne suknie, nowy beret, o który się Mortko nie wiedzieć skąd wystarał, a korzystając z dobrej zręczności, że dawali darmo, wzięła u Mortka salopę z lisami, wprawdzie nie nową, ale jeszcze bardzo przyzwoitą. Ta salopa poprowadziła za sobą konieczność wyjeżdżania przyzwociej do kościoła i do sąsiadów, a zatem konieczność mienia krytych sani, które Mortko

3960 czarownik, jakby z pod ziemi, wydobył. Nowe meble poprowadziły ze sobą potrzebę dawania wieczorynek, tem bardziej, że i panny Płachcianki dostały po trzy pary nowych sukienek; stąd i piwnica Mortka miała odbyć i wino z etykietami wyszło zupełnie.

Podobnie i pan Skrętski i panowie Smyczkowscy, przeprosiwszy się z Mortkiem, oporządzili się zupełnie. Panowie Zarzycki i Cepowski, przejrawszy, czego nie postawało w ich domu i garderobie, pospieszyli do Mortka; panowie Zarzycki i Cepowski młodzi, zapuśc

3970 ciwszy dla postrachu panów Smyczkowskich i dla ujęcia panien Płachcianek, takie same wąsy i bakenbardy za pośrednictwem¹⁾ Mortka i dla większego złudzenia panienek, dostali i podobne czamarki. Słowem, każdy się spieszył, każdy brał, każdy się ekwipował, każdy przy kupnie i wydawaniu rewersu wypijał wódkę słodką i gorzką, miód stary i młody, wino z etykietami i bez etykiet. Bo czegóż mieli sobie żałować, kiedy to nic nie kosztowało, kiedy Mortko, poczciwy, nieocenyony

¹⁾ pośrednictwem.

Mortko dawał wszystko na kredyt. Takim to sposobem, 3980 w przeciagu kilkunastu niedziel, kilkanaście tysięcy złotych na wszystkie prawie domy, oprócz państwa Starzyckich, Szłoma i prezes zapisali. Nikt wszakże nie domyślał się ani celu działania Mortka, ani źródła, z którego zawsze do niego tyle ładnych, tyle nowych rzeczy napływało.

Niektórzy z drobniejszej szlachty, mający po 3990 dwóch, po trzech i po czterech chłopów, zachęceni wspaniałością prezesa, który państwu Pożyczkowskim zapłacił za duszę więcej nawet niż chcieli i podmówieni przez nieocenionego Mortka, który przy dobrym kieliszku tę myśl im poddał, udali się do prezesa i części swoje sprzedali. Płacił im co sami chcieli, robił wszystkie dogodności, koszta prawne brał na siebie, z długów Szłomy i Mortka strącał część znaczną, krzyżąc na żydów, że biednych ludzi obdzierają i gromadził część do części. Tym sposobem wlaź pod bok panu Remigiuszowi Smyczkowskiemu, stanął za plecami 4000 pana Płachty, podsunął się pod oborę pani Biruckiej i pod toki panów Zarzyckiego i Skrętskiego. Żadnego wszakże dotąd nie zaprowadził sporu, w odgraniczeniu gruntów i osiadłości największą okazywał łatwość, ze wszystkimi był bardzo grzeczny, a nawet czasem, gdy zajechał spojrzeć na swoje nowe dziedzictwa i obaczył ciekawe dziatki sąsiadów swoich na płocie, zawsze do nich podchodził, wychwalał ich piękność, obcierał im noski swoją własną chustką i nie omieszkał nigdy jakiś im zrobić prezencik. W całych Czaplifcach o niczem nie mówiono, tylko o prezesie, stawiano go na wzór sąsiadów i największe o nim powzięto nadzieje.

4010 Utwierdził wszystkich w tem mniemaniu pan Skrętski. Prezes obszedł się z nim niezmiernie po przyjacielsku, dziateczki jego pieścił, całował i obdarzył, tem osmielony Pan Skrętski, udał się z prośbą o pożyczanie pieniędzy. Prezes okazał nadzwyczajną uprzejmość, ufetował pana Skrętskiego u siebie, dał pieniądze, i dla formy naznaczył tylko piąty procent. Gruchnęła ta wiadomość po Czaplifcach i wszyscy rzucili się do łaskawego dobroczyńcy. Prezes dawał, oni brali, czy kto potrzebował czy nie; bo jak nie brać, kiedy dają,

4020 kiedy naznaczają tylko piąty procent, kiedy jaśnie wielmożny dobroczyńca nie żąda innej ekwicyi, jak prosty weksel, na walorowym wprowadzie papierze, ale nawet i ten papier daje od siebie.

Tym sposobem znowu kilkadziesiąt tysięcy nagromadziło się na czaplinieckich właścicielach. Żaden wszakże nie poszedł prosto ani do Szlomy, ani do Mortka obrachować się i zapłacić, ale każdy zabrawszy gotowiznę, wywiózł ją do Krzemieńca lub do Dubna i powrócił do domu z jak najłżejszą kieszenią. Ale za
4030 to co się stało z Czaplincami?... Czaplince oporzadziły się, zrobiły się świetne i ładne i wyglądały, jak maleńki Paryż.

Pani Płachcina podwoiła wieczory; galon szczerozłoty zajaśniał na kołnierzu Żorża; panny Płachcianki zaczęły się uczyć jeździć konno i brały lekcyę od panów Smyczkowskich i w ich karczmie, zamienionej na maneż, półszorki pana Skrętskiego jaśniały mosiądzami; pani Birucka sprawiła sobie zieloną atlasową suknię do pomarańczowego szalu; pan Birucki przywiózł od Bu-
4040 nia cały antałek wina; panowie Zarzycki i Cepowski młodzi, pokupowali sobie dzielne wierzchowce, w tej nadziei, że będą towarzyszyć pannom Płachciankom w czasie przejażdżek po Czaplincach. Słowem, wszędzie było huczno, wesoło! Karnawał przeszedł na wieczorach obiadach i balach; a gdy w ostatni tydzień wieczorów nie stało, dawano i taneczne śniadania, do których pan Płachta dał przykład i gdzie wprowadził zamiast pirogów i prosiat jako rzecz bardziej komilfo, czekoladę i wino szampańskie, którem pili z uniesie-
4050 niem zdrowie prezesa i które jakimściś cudem znalazło się także u Mortka.

W takim wirze żyjąc, obywatele Czapliniec nie uważali, że od początku zimy zwożono mnóstwo różnego gatunku materyału, że składano go na każdej części która należała do prezesa, gdzie z powrotem wiosny miał przedsiębrać różne budowy. Wszakże nikt nie wiedział, co zamyślał budować, i nic też to nikogo nie obchodziło; bo Mortko jak dawał, tak dawał, bo prezes był równie grzecznym, jak pierwej, bo jeżeli który zmiarkował się,
4060 że przez głupstwo i nieśmiałość za mało pożyczyl,

i jeszcze raz do jaśnie wielmożnego dobroczyńcy pojechał, znowu dostał pieniędzy, dał skrypcik i wróciwszy do domu, dał balik, na którym znowu pito zdrowie prezesa szampanem, którego już teraz u Mortka było podostatkiem.

A u państwa Starzyckich?... U państwa Starzyckich było cicho, spokojnie. Dziadzio w swojej komórcie robił małe stoliczki i krzeselka na zabawki dla prawnuka, którego się za kilka miesięcy spodziewał, matka 4070 szyła koszulki i czapeczki, babunia modliła się za wszystkich, ojciec gospodarował a syn czytał, uczył się, aby się stać godniejszym anioła, który do niego zstąpił.

Cierpiał on wprawdzie, że rzadko tylko mógł widywać pannę Kamille, że konieczność nakazywała im udawać zupełną obojętność i najzwyczajniejszą grzeczność, że zdarzały się czasem szczęśliwe chwile, krótkie i jasne, jak błyskawica, w których ściśnienie ręki, połączone z wyrazem głębokiej miłości, ożywiało go, uspokajało i dodawało osnowy do marzeń na dwa lub trzy 4080 tygodnie niewidzenia.

Ten przymus nagradzali sobie kochankowie w listach, które oboje pisywali do Anulki, wiedząc dobrze, że ona je nawzajem zakomunikuje. W nich wylewali oni całą głębokość uczucia, co ich tak gwałtownie schwyciło; wynurzali wszystkie trwogi, co ich dręczyły, opisywali, a tem samem powtarzali każdą chwilę szczęśliwą, która im się na jedno mgnienie, jak czyste niebo śród¹⁾ chmur otwierała.

Tym sposobem przeszła zima i przeminęła Wielkanoc. Wczesna i prześliczna wiosna ożywiła ziemię, tchnęła miłośnie na wszystkie stworzenia i podwoiła żądze, tęsknotę i trwogę młodych ludzi, tak blizkich sobie, tak dla siebie stworzonych a przecież rozdzielonych nieprzewyciężoną przeszkodą, na której przełamanie żadnego nie widzieli środka²⁾.

Dwie okoliczności dręczyły szczególniej biedną heroinę naszą; najprzód to, że wkrótce zapewne pan Starzycki wyprawi syna na Podole, aby się zajął gospo-

¹⁾ śród, ²⁾ śródka.

4100 darstwem. Chociaż panna Kamilla wiedziała o tem dobrze, że babka, pozbawiona obecności wnuczki, przytrzymywała go przy sobie, mówiąc nieraz synowi, że gospodarstwo tam nie uciecze, a moje życie ucieka co chwila; — wszakże nie mogła przed sobą zataić, że nareszcie i staruszka ulegnie konieczności i na wyjazd jego zezwoli. Druga okoliczność była ta, że dla ukrycia swoich uczuć, przyjmowała odwiedziny pana Henryka a chociaż nie ośmielała go bynajmniej do wynurzenia uczuć, które jej z ogródka i nieśmiało okazywał
4110 starał się, ale i nie odstręczała go tak, aby o niej raz na zawsze myśleć zaprzestał. Ta hypokryzya ciążyła jej szlachetnemu sercu i zatruwała jej pokój.

Wszakże wkrótce przypadek przyszedł jej w pomoc. Okoliczność, która go sprowadziła, zmusza nas cofnąć się cokolwiek nazad.

Pan Henryk, wróciwszy z pierwszej wizyty od prezesa, z głową zajęta wdziękami panny Kamilli, uczuł się głęboko upokorzonym. Gdy się wyegzaminował, poznał, że zdrożne wychowanie zmieniło całkiem
4120 jego naturę, że niema w sobie nic męzkiego, że niczem nie zdola zająć, przez się nie podobać się tak energicznej paniencie. Przybity temi myślami, kilka dni przebył w głębokim smutku. Napróżno matka starała się go rozweselić i wybadać; matce nic nie odpowiadał, a nawet jedną z jej panienek, która także smutek jego spostrzegła i tajemnie pocieszać go chciała ze wstrętem odepchnął. Czwartego dnia, nasunawszy czapkę na uszy otuliwszy się dobrze, bez opowiedzenia się matce, poszedł. Daleko za domem spotkał pisarza prowentowego,
4130 ze strzelbą na plecach szedł sobie nad staw, czy się nie zdarzy do czego puknąć. Był to Mazur z pod ciemnej gwiazdy, dawny kawalerzysta, człowiek żywy i wredyk i więcej zajęty strzelbą, niż rejestrami, jeszcze zuch i gotów do szabli i do szklanki. Gdy zamyślony i okutany panicz prędko obok niego przechodził, skłonił mu się pan Siodłowski, ale, spojrzawszy miłośniernie, uśmiechnął się jakoś i ruszył ramionami. Spostrzegł to pan Henryk i już nabitą mając głowę tą myślą że wszyscy nim gardzić muszą, jak mazgajem, za
4140 trzymał się i zapytał:

— Czego asan się uśmiechasz i ruszasz ramionami?

— Przepraszam jaśnie wielmożnego pana, jeżeli to zrobił — odpowiedział, zdejmując kaszkiet — ale dalibóg, że mi żal patrzeć, jak się panisko okutało, jakby w trzaskający mróz. Kiedy to, proszę jaśnie wielmożnego pana, w takim wieku mosanie, i w czasie takiego wieczoru, choćby w surduciku i kaszkieciku, możnaby się przebiegać, a jeszcze włożywszy strzelbęczkę

4150 na plecy.

— Kiedy się boję przeziębć, panie Siodłowski.

— Ej! pluń jaśnie wielmożny pan na to. Jaktó, proszę jaśnie wielmożnego pana, przeziębć się, kiedy miłosierny Bóg dał młodą krew, która będzie piec jak świecami, jeśli ja, jaśnie wielmożny pan, mosanie rozgrzejesz. Tylko nie trzeba tam siedzieć w pokojach, jak w futerale i nie smażyć się nad temi niemieckimi książkami, ale się ruszać, ruszać panisku, jak na młodego pana przystało. — Pan Henryk westchnął i odwrócił się, a Mazur mówił dalej: — O! widzisz go!

4160 jaśnie wielmożny pan wzdycha! Ochotka by to była, ale już jaśnie wielmożny pan tak przywykł. A może i boi się trochę, żeby się mama nie zagniewała. Oj, toć bo to i bieda, że z panicza zrobili takiego z przeproszeniem mazgaja, że paniskowi potem samemu wstyd będzie, mosanie, jak się gdzie popadniesz między żwawych chłopaków. — Schwycił go młody człowiek konwulsyjnie za rękę i rzekł:

— Prawdę, prawdę mówisz, mój Siodłowski! ale

4170 cóż, kiedy ja nic nie umiem i wszystkiego się boję?

— Ej! pluń jaśnie wielmożny pan na to. Co tam nie umiem, co tam boję się? Alboć to święci garnki lepia, a panisko jeszcze nie młody? Wszystkiego się nauczysz mosanie i do wszystkiego przywykniesz, tylko trzeba się ruszać. Porzuć panisko te głupie książeczki; nie śpij na piernatach, ale na sianie; tę małą dyablicę, Zuzię, co to się chwali nie wiedzieć czem, kaź osiec różgami i wypędź z domu; a kup sobie jaśnie wielmożny pan psa, mosanie, strzelbę i pistolety mosanie,

4180 to będziemy polować, jeździć, strzelać, chodzić od rana do nocy, a nie będziesz się panisko niczego bał, bę-

dziesz wszystko umiał, co żwawemu chłopakowi przystoi i nie będziesz wyglądał jak masło maślane i jak śledź wymokły.

— Słuchaj, Siodłowski! dostań mi gdzie psa, upatrz wierzchowca, pistolety, strzelbę. Ja ci jutro dam pieniądze.

— Dobrze, z ochotą; proszę się na mnie spuścić.

— Ale — dodał pan Henryk bojaźliwiej — niech
4190 to wszystko będzie u ciebie, żeby mama nie wiedziała. — Uśmiechnął się stary wiarus, pokręcił wężą i rzekł:

— Hm! dobrze, że jaśnie wielmożny pan tak szanuje wolę jaśnie wielmożnej pani, ale kiedyż bo to, prawdę powiedziawszy, zgubne, i zrobi z paniska wierutną babę.

— Jak się trochę osmieję, jak już będę dobrze jeździć, to wtenczas powiem mamie i przekonam ją, że niema niebezpieczeństwa.

— Niebezpieczeństwo dla mężczyzny na koniu
4200 i z bronią? A cóż u milion set dyabłów daje bezpieczeństwo człowiekowi jeśli nie koń, szabla i pistolet? — zawołał zapalając się pan Siodłowski. — Ale bądź jaśnie wielmożny pan dobrej myśli! ja jaśnie wielmożnego pana wszystkiego nauczę. Byłem, mosanie, instruktorem całego szwadronu, i zjadłby mi sto dyabłów który z moich wiarusów, żeby nie siedział na koniu jak dratwą przyszyty.

Gdy tak mówił, dał się słyszeć świst w powie-
4210 trzu, przeciągało parę kaczek na staw, a pan Siodłowski w mgnieniu oka zmierzył i strzelił. Gdy się obejrzał, pan Henryk stał odwrócony, pochylił się do ziemi i uszy rękami zatknął. Zaśmiał się głośno pan Siodłowski, a że kaczki leciały za wysoko i żadnej nie zabił, zaczął zwolna strzelbę przeczyszczać i na nowo nabijać. Gdy nabił, podał ją panu Henrykowi i rzekł:

— No, spróbujno panisko sam, a obaczysz, że nie taki dyabeł straszny, jak go, mosanie malują.

Wziął biedny chłopiec strzelbę, ale ręka mu
4220 drżała, drganie objawiło się w całym ciele i zdradziło ciężką walkę. Nie mogąc się jednak zwyciężyć, pobladł

jak ściana, a oddawszy strzelbę, zakrył sobie twarz ze wstydu i uciekł nazad do domu.

Stał długo na miejscu oparty na strzelbie pan Siodłowski, patrzył za nim z politowaniem, a potem zawołał: — Otóż to niemieckie wychowanie:

Wszakże zaraz na drugi dzień zjawił się pan Henryk u pana Siodłowskiego, przyniósł mu pieniądze i prosił, aby się zajął jego sprawunkami. Rzecz była
4230 nietrudna i w przeciągu tygodnia miał pan Henryk parę pistoletów, dubeltówkę, pałasz lekki i zgrabny, legawca wcale niezłe ułożonego i ślicznego kasztanka, który grzebał zgrabną nóżką, gdy go wprowadzono, patrzył wokoło ciekawie i wesóło, ale za najmniejszym szelestem zestrzygał uszki i chrapał nozdrzami.

— Musi być bardzo dziki — rzekł pan Henryk, zbliżywszy się, aby go pogłaskać. Ale nie mógł się przezwyciężyć i cofnął się raptem, gdy koń zwrócił ku niemu głowę i parsknął.

4240 — Ej! pluń jaśnie wielmożny pan na to — odpowiedział, śmiejąc się Mazur, — Ot, obaczysz panisko zaraz, jaki dziki.

— To powiedziawszy, przystąpił śmiało, uderzył konia po grzbiecie dłonią, kasztanek wyciągnął się, a pan Siodłowski, zarzuciwszy mu trzęsle na szyję, wziął się lewą ręką za grzywę i jak piórko wskoczył. Potem poprawił się, nogi wyciągnął równo, i prawą ręką po szyi klepać go zaczął.

— Widzisz, jaśnie wielmożny pan, mosanie, co to
4250 za dzikość. Stoi jak dziecko. Jedną tylko ma wadę, że trochę za mięki w pysku. Bo też nie trzeba go ściągać. tylko ten szarpie konia, kto nie umie jeździć i boi się upaść. O! patrz no, panisku, co to za stępa, mosanie, a jaki kłus, mosanie. Prawda, trzęsie trochę, ale to lepiej — znak, że mocny. A jak się osadza, mosanie! — To powiedziawszy, puścił się galopem prosto na pana Henryka i o krok przed nim stanął, jak wryty. — Ho! ho! — zaśmiał się na całe gardło pan Siodłowski — jak mi panisko pobladło i trzęsie się, jak osina. Czy to
4260 jaśnie wielmożny pan myślał, że ja go nie osadzę i zatratuję swoje paniątko? Ej, pluń jaśnie wielmożny pan na to. Byłem ci ja instruktorem 1-go szwadronu 1-go

pułku strzelców i zjadłby mi sto dyabłów który z moich, jeśliby na placu, wyjeżdżając na ordynas, choć na piędz wyskoczył dalej, niż mu kazałem. No, siadaj jaśnie wielmożny pan — dodał pan Siodłowski, zesko-czywszy z konia i uderzając go znowu dłonią po grzbiecie.

- Za nic, za nic, mój Siodłosiu! — zawołał pan
 4270 Henryk, zatrzepawszy rękami i odchodząc na bok. Ma-zur pokręcił węża i zdesperował. Przeszedł tydzień na rozmaitych próbach strzelania i jeżdżenia, ale żadna się nie udała. Wreszcie wpadł na myśl pan Siodłowski, że trzeba pomaleńku i stopniami panicza przyuczać. Posadził go więc najprzód z wielką biedą na folwarczną kobyłę, starą i ślepą, a potem na swojego podjezdka potem na konia, co chodził pod forysiem, a w prze-ciągu zimy doszedł do tego, że nareszcie pan Henryk, jednego dnia po Wielkiej nocy, gdy śniegi już znikły
 4280 i ziemia stwardniała, odważył się wsiąść na swego ka-sztanka. To samo było i ze strzelaniem. Powoli, stop-niami, ośmielał go, uczył, pokazywał, i doprowadził do tego, że młody człowiek, chociaż zawsze z jakimściś nerwowem wstrząśnieniem, ale strzelał po kilkanaście razy na dzień, chodził wieczorem nad staw, głaskał i zachęcał psa; a chociaż nigdy nic nie zabił, bo gdy przyszło pociągnąć za cyngiel, zawsze ręka jego za-drżała i przymróżyły się oczy, ale do celu kiedy nie-kiedy trafił. Zdarzyło mu się nawet raz, że kulą za-
 4290 drasnął kłodę, postawioną o dziesięć kroków, do której strzelał z pistoletu.

Wszystko to robiło się bez opowiedzenia się matce, która nie mogła z początku pojąć, co się stało synowi. Później wprawdzie dowiedziała się z boku; ale widząc, że młody człowiek rzeświejszy, weselszy, że ciągly ruch i ustawicznie prawie przebywanie na dworze umacnia jego zdrowie, wyprowadza rumieniec na jego twarz, — przypomniawszy sobie nadto rozmowę z prezesem, westchnęła i milczała.

- 4300 Pan Henryk prawie co dwa lub trzy tygodnie bywał w Szyszkowcach. Zastawał tam czasem pana Jó-zefa i, jakkolwiek ostrożni byli kochankowie, schwytał nieraz przelotne wejrzenie, w pół wyraźne słówko i in-

stynktem kochającego i zazdrosnego serca, odgadł prawie wszystko. Ozuł on swoją niższość w każdym względzie i to upokarzające uczucie przyprowadziło go do serdecznej nienawiści dla naszego bohatera.

W połowie kwietnia panna Kamilla odebrała list od Anusi, w którym ciągle mówiła o blizkim wyjeździe
4310 brata na Podole. Zmartwiona, zła, smutna, chodziła prędko po pokoju, szukając w myśli środków¹⁾ i nie widząc żadnego ratunku. W takim usposobieniu zastał ją pan Henryk. Z początku odpowiadała mu półgębkiem, ale wkrótce, postanowiwszy go odstręczyć przynajmniej na czas długi, uwolnić się od jego wizyt przynajmniej na te chwile bolesne, póki pierwszy żal rozstania nie złagodzi się i nie opadnie, wpadła w jakiś szyderczy humor i jak w najpierwszej ich rozmowie mówiła mu tylko o koniach, polowaniu o strzelaniu
4320 z pistoletu, słowem, udawała nadzwyczajny zapał do wszystkich tych rozrywek męzkich i krzywiła się, wspominając o mężczyznach nie wychowanych twardo i po rycersku. Zbladł pan Henryk na te deklamacye, pożegnał i wyjechał; ale wyjechał z postanowieniem przekonania panny Kamilli, że nie taki mazgaj, jak może o nim myślała.

Następnego więc tygodnia kazał raniutko wyprawić swego kasztana z masztelarzem do Czapliniec i czekać na siebie w karczmie panów Smyczkowskich, a sam,
4330 siadłszy do koczka z Siodłowskim, pojechał później. Gdy przybył na miejsce *rendez-vous* i gdy osiodłano konia, kazał sobie podać toaletę, uczesał włosy, nastrzępił wąsiki, zapiął rajtfrak pod samą szyję, kaszkiet ustawił na głowie w determinowanej pozycji, i świszcząc szpicróżgą i brzękając ostrogami, z jakąś gorączkową odwagą dosiadł swego kasztanka. Pan Siodłowski radował się dziełem, bo w rzeczy samej wcale niezłą miał minę pan Henryk: wziął cugle akuratnie oparł rękę na prawej nodze z gracyą, osadził się mocno na
4340 siodle i, cmoknąwszy, ruszył od karczmy. Pobiegł ku niemu stary kawalerzysta, poprawił go, wyprostował, nogi odsunął trochę na tył i zawołał:

1) śrzodków.

— Tak, głowa trochę na bok, stępo, munsztuk wolniej, ostroga w pole. A ty pilnuj, żeby się koń nie rozgrzał, żeby się czego nie spłoszył; rozumiesz, kpie? — Te ostatnie słowa, naturalnie, zwrócone były do masztalerza. Już pan Henryk był daleko na drodze do Szyszkowiec, a jeszcze pan Siodłowski stał we wrotach karczmy i, patrząc za nim, mruczał: — Dobre chłop-
4350 czysko, nie będzie z niego nigdy wielki zuch, ale dobre i to. Gdyby nie ja, i tegoby nie było. Oj! te modne baby ze swoją niemczyzną! Tak wykrzyknawszy, wrócił do karczmy i, dla pocieszenia się, kazał sobie podać puzderko.

Zdarzyło się, że tegoż dnia, kiedy pan Henryk wybrał się do Szyszkowiec, pojechał tamże i pan Józef. Ze zbolałem sercem, ze smutną i bladą twarzą, stanął młody człowiek w salonie prezesa, gdzie wszyscy byli zebrani. Postrzegła panna Kamilla, że cios przewidziany już blizki i zbladła jak ściana. Ale, zreflektowa-
4360 wawszy się prędko, zaczęła rozmowę najubożniejszą w świecie. Po jakimś czasie, pan Józef, zwróciwszy mowę na gospodarstwo i siejbę, znalazł sposobność dodać, że wyjeżdża za trzy dni na Podole, i że właśnie przyjechał pożegnać mieszkańców uprzejmego domu, gdzie on i jego rodzina znaleźli tak łaskawe przyjęcie. Wszystko to było powiedziane niezmiernie naturalnie, i z wielką mocą nad sobą. Z takimże samem owładnięciem gwałtownego bólu, który serce jej ogarnął słuchała go panna Kamilla, dodając prośbę, aby pani Zahorowska koniecznie ją odwiedziła, jak przyjedzie do rodziców. Prezes prośbę tę powtórzył, pan Józef obiecał i podziękował, a panna Kamilla wyszła z pokoju. Po jakimś czasie wróciła z pokoju i usiadłszy spokojnie znowu rozmawiała. Wszakże w ciągu rozmowy, przez jeden z tych manewrów, których nie myślę uczyć pięknych czytelniczek moich, pan Józef odebrał ma-
4370 leńką karteczkę. Trzymał ją i tulił w rękę z kwadrans, szczęśliwy, że ją miał, nieszczęśliwy, że jej przeczytać nie mógł. Aż dopiero, gdy prezes powstał i poszedł do
4380 okna, usłyszawszy turkot zajeżdżającego powozu przeczytał te słowa: „Drogi mój, biedny, jedyny Józiu! zo-
„stań tu jeszcze z papą — a potem jedź — czekać cię

„będę w tem miejscu, gdzie cię raz pierwszy obaczyła“. — Zaczerwieniła się twarz jego z radości i spojrzeniem dał znak, że będzie posłusznym. Tymczasem prezes zapytał: — Któż to kazał zaprządz karolkę?

— Ja, papo! przejadę się trochę z Belcią. Dzień tak piękny, a mnie cokolwiek głowa boli.

4390 — Dokądże pojedziesz?

— Gdziekolwiek, przez wieś, na pole. Już się tak ładnie zieleni. Chodź, Belciu, jedziemy. Adieu, panie! — dodała zwracając się do pana Józefa. — Życzę panu szczęśliwej drogi i deszczów na posiewy. Wszak deszcz potrzebny na posiewy, nie prawdaż, papo?

— O! z ciebie wielka gospodini! — odpowiedział prezes. — Zaśmiała się panna Kamilla i dodała:

— A jeżeli pan obaczysz siostrę przed wyjazdem, proszę się jej serdecznie kłaniać. Chodź, Belciu! —

4400 Ukłoniła się jeszcze raz i pobiegła do swego pokoju.

Prezes tymczasem wyszedł z panem Józefem na ganek, obaczyć, jakie konie zaprzęgli. Wkrótce wyszła i panna Kamilla w salopie i kapelusiku z guwernantką.

Gdy ją podsadzał pan Józef do powozu, gdy już noga jej była na stopniu a ręce ich tuliły się z miłością i bolem, nagle tentent się rozległ na ulicy za bramą i ujrzano rozhukanego konia, który w największym galopie wniósł na dziedziniec swojego jeźdźca. Biedny

4410 ten jeździec, blady, bez czapki, leżał prawie na szyi konia i trzymał się za grzywę; nogami objął brzuch jego i kłuł go ze strachu ostrogą, a strzemiona wolne i ciężkie, rzucające się na wszystkie strony, były przełknięte zwierzę to po bokach, to po piersiach. Masztalesz zdesperowany pędził za nim, i tym hukiem powiększał jeszcze przestrach kasztanka. Krzyknęła na ten widok panna Kamilla i rzuciła się ku panu Józefowi. Schwycił ją młodzieniec, utulił w objęciu i wyniósł na powrót na ganek. Gdy tak wszyscy stali, nim mogli się

4420 opamiętać i dać jaki ratunek, koń rzucił się w bok przed stojącym na drodze jego powozem, i pan Henryk, (bo niestety! był to pan Henryk), wysadzony zsiadła, upadł twarzą do ziemi, i, na domiar nieszczęścia,

trafił na maleńką kałużę, która po wczorajszym deszczu została. Ignacy pobiegł za koniem, który wpadł na drugi dziedziniec, gdzie były stajnie i gdzie także popędził masztalerz, a pan Józef poskoczył podjąć biednego Bajarda i obaczyć, czy nie doznał jakiego przy-padku. Zszedł i prezes, a panna Kamilla i panna Bel-
4430 deau zostały na ganku. Podniesiony przez pana Józefa, biedny pan Henryk, powstał z zabłoconą twarzą, zawstydzony, znękany, przestraszony, w pół żywy. Gdy go prowadzili ku domowi, zaśmiała się naprzód panna Beldeau, potem pannę Kamilę pochwyił jakiś śmiech spazmatyczny, że go pokonać nie mogła; potem zakomunikował się panu Józefowi; prezes także, widząc, że nie ma kalectwa, śmiać się zaczął, a nareszcie i Maciej parsknął głośno na koźle i brał się za boki. Przyszedł wreszcie do siebie pan Henryk, spojrzął po wszystkich,
4440 a w bohaterze naszym utkwiał wzrok, pełny gniewu i nienawiści. Potem dobył chustki, obtarł się, jak mógł; na zapytanie, czy go co nie boli, odpowiedział, że nic, że zdrów zupełnie i, gdy prezes prosił go, aby wszedł do domu, umył twarz i został z nimi na herbacie, dodając że go każe odesłać powozem, pan Henryk rzuciwszy okiem na duszącą się od śmiechu pannę Kamillę i na poglądnąjącego nań z politowaniem pana Józefa, rzekł:
— Panie prezesie dobrodzieju, jeżeli chcesz mi łaskę zrobić, to pozwól abym tym samym powozem,
4450 który tu stoi gotowy, odjechał do Czapliniec. Tam moje konie i ludzie.

— Z największą ochotą, jeżeli ci to zrobi przyjemność; ale wolałbym, żebyś został z nami.

— O! nie, nie, nie mogę! — odpowiedział prawie z rozpaczą; ścisnął rękę prezesa, na pannę Kamillę nawet nie spojrzął i, wskoczywszy do karyolki, krzyknął na Macieja: ruszaj! Nawpół z śmiechem zawołał Maciej na konie: hou! i pojechał. Panna Kamilla przestała śmiać się i żał się jej zrobiło biednego młodzieńca,
4460 którego okropne cierpienie łatwo sobie wyobrazić mogła, a prezes, ruszając ramionami, rzekł:

— Jezus Marya! nie chciałbym być na miejscu tego biedaka. Otóż to zaślepiona i nierozsądna matka! zgubiła go zupełnie. — Gdy masztalerz podprowadził

złapanego i drżącego jeszcze konia, zapytał go prezes jak się to stało?

— At! jasnie wielmożny panie! z kim innym nie byłoby nic, ale nasz panicz, to panie odpuść, i źle jeździ, i wszystkiego się boi. Już tam na polu, byle wrona porwała się z drogi, a koń nastawił uszy i parsknął, to panicz go zrywał munsztukiem, żeby się na cuglach utrzymać, i tak go zbujął; bo koń mięki w pysku i byle go szarpnąć, to się wspina. Gdyśmy tu wjechali w ulicę dyabli nadali z rowu świnię. Coś ją tam nastraszyło, bo już jak na nieszczęście pójdzie, to nie wiedzieć skąd co się weźmie. Otóż głupia świnią wyskoczyła raptem z rowu i harkocząc, leciała jak opętana, prosto koniowi pod nogi. Koń się rzucił, panicz się zląkł i ściągnął go, koń wspiał się trochę, panicz wypuścił nogi ze strzemion i uderzył konia w brzuch ostrogami. Ja mówiłem: na tysiąc dyabłów te ostrogi! ale on widać chciał się tu pochwalić; taj jak go zakłuł dobrze, mój koń pomknął się jak oparzony, panicz puścił lejce i chwycił się za grzywę. Wtenczas koń dawaj lecieć co tchu, strzemięna dawaj bić go po bokach i po szyi, ja dawaj gnać za nim, ale nic nie pomogło. Ot, jak się to stało, jasnie wielmożny panie.

Mimo żalu, jaki obudził stan pana Henryka, wszyscy znowu śmiać się zaczęli, a masztalerz poprowadził konia. Wrócili wszyscy do pokoju, rozmawiając o przygodzie młodego człowieka i robiąc różne uwagi. Pan Józef, widząc, że już z dzisiejszego *rendez vous* nic nie będzie, pożegnał raz jeszcze prezesa, a gdy z uszanowaniem całował rękę panny Kamilli, szepnęła mu panienska nieznacznie: — Jutro o jedenastej!

X.

Gdy pan Józef miotany najrozmaitszemi uczuciami, dojeżdżał do domu, spostrzegł niedaleko bramy wąsatego szlachcica, wojskowej postawy, z czapką na bakier, idącego ku niemu. Był to pan Siodłowski, zły i zmartwiony przygodą swego wychowawca, który widać nie

siedział na koniu, jak dratwą przyszyty. Miał nasz Mazur minę zagniewaną i z jakimiś ruchami niecierpliwości pokręcał wąsa. Gdy się zbliżyli do siebie o kilka kroków, krzyknął pan Siodłowski na Michasia: — Stój!

— I cóż tam? zapytał seryo pan Józef.

— Czy pan jesteś pan Józef Starzycki?

— Ja; o cóż idzie? kto pan jesteś?

— Jestem, mosanie — odpowiedział, pokręcając wąsa — były instruktor pierwszego szwadronu, pierwszego pułku strzelców, mosanie, a teraz pisarz prowentowy jaśnie wielmożnej Podziemskiej.

— A — rzekł pan Józef, uśmiechając się — czy nie pan to uczyłeś i pana Henryka konno jeździć!

— Zjadłby mi sto dyabłów, mosanie, który z moich wiarusów, gdyby tak jeździł, jak pan Henryk jeździ. To niemieckie wychowanie wszystkiemu winno, a nie ja. I w Paryżu, jak to, mosanie, mówią, nie zrobią z owsa ryżu. Ale to do rzeczy nie należy.

— A w czymże rzecz? — zapytał pan Józef.

4520 — Oto w tem, mosanie, żebyś pan przeczytał tę karteczkę.

Wziął pan Józef i czytał te słowa drżącą ręką pisane: „Wiem, co się święci. Widzę, gdzie pan zmierzasz i po co sięgasz. Postrzegłem od pierwszej chwili, że pan jesteś przyczyną tego sposobu, jakim mnie traktują. Za te wszystkie upokorzenia, których doznałem, pan mi zapłacisz. Jeśli pan równie śmiały na placu jak w sięganiu po milionową pannę, to się rozmówisz z oddawcą tego biletu o broń, czas i miejsce.

4530 Henryk Podziemski.“

Ledwie mógł oczom swoim wierzyć pan Józef, przeczytawszy te słowa. Uśmiechnął się, ruszył ramionami i wysiadłszy z bryczki, której kazał jechać do stajni, odprowadził na bok pana Siodłowskiego i rzekł;

— Czy pan wiesz, o co idzie?

— A jużci, mosanie, wiem.

— I to seryo?

— A jużci nie żartem. Pan Henryk całą drogę płakał ze złości. Mówi, że pan jesteś przyczyną jego wstydu i że masz się także do onej panienki. Zgrzytał

zębami i wołał biedak, że musi pana zastrzelić lub sobie w łeb palnie.

— Pojmuję ja wstyd pana Henryka, ale czyż ja wypędzałem z rowu tę świnię, co nastraszyła jego konia?

— Tego ja, mosanie, nie wiem i to do mnie nie należy. Proszę o odpowiedź.

— Ale umieć on strzelać, ten biedny panicz?

— Tak sobie; ja go uczyłem i strzela dobrze.
4550 Zjadłby mi sto dyabłów który z moich wiarusów, żeby tak strzelał jak on. Ale z tem wszystkim strzela nieźle.

— Bo ja biję w asa — dodał spokojnie pan Józef.

— Chwali się — pomyślał Mazur i odpowiedział: — To do mnie nie należy. Przytem w pojedynku to niepotrzebne. Jegomość, dzięki Bogu nie as i o sześć kroków trafi pana, mosanie, pan Henryk.

— Cóż mam robić? — odpowiedział pan Józef.

4560 — Rad nie rad, muszę przyjąć tę zabawną trochę propozycję. Wszakże pod pewnymi warunkami.

— Obaczmy, mosanie, co to za warunki — rzekł, pokręcając wasa, pan Siodłowski.

— Pierwszy: sekret; bo pan Henryk, który lepiej zna Francją, niż swój kraj, może nie wie, że to pachnie Sybirem, a przynajmniej fortecą.

— Jużci to się rozumie, bo i mnieby się dostało.

— Powtóre: że pan Henryk za trzy dni, to jest
4570 w sobotę o godzinie szóstej z rana, wyjedzie z psami i strzelbą, niby na polowanie i zatrzyma się pod laskiem mego szwagra, o ćwierć mili od karczmy Niesiołowskiej. Czy pan znasz to miejsce? Bo nie chciałbym za nic, aby się dowiedzieli przed czasem moi rodzice, a szczególnie moja babka, któraby to mogła przypłacić życiem.

— Rozumiem to, mosanie, i ja jestem ojcem i dla tego czekałem na pana tu.

— Dziękuję panu za to serdecznie — rzekł pan
4580 Józef, ściskając rękę starego żołnierza, który z coraz

większem zajęciem patrzył na pięknego młodzieńca, którego każde słowo, każdy ruch był mężki i energiczny.

— Po trzecie: że każdy z nas będzie miał z sobą przyjacielską karteczkę, zapraszającą przeciwnika na słomki do lasku mego szwagra. Te karteczki wymieniamy na placu, aby na przypadek śmierci świadczyły, żeśmy nie byli wrogami.

— To rozumnie, mosanie, na to zgoda.

4590 — Po czwarte: że będziemy się strzelać, idąc od pierwszej mety do drugiej, jak teraz zwyczaj.

— Wiem, wiem, mosanie; widziałem takich zuchów, co trzy razy dochodzili do drugiej mety o sześć kroków, mosanie, i żaden nie strzelił. A potem oba wystrzelili na wiatr i uściskali się. Pamiętam jak dziś, Spisaliśmy się wtenczas należycie.

Otóż i my tak będziemy się strzelać. Czy zgoda?

— Zgoda, tylko jak na pana patrzę, to mi żal 4600 mosanie, tego biednego pana Henryka.

— Któż mu winien, że głupi?

— Ej! pluń pan na to, mosanie. To wszystko mamunia winna i niemieckie wychowanie. Ale na mnie się pan, mosanie, nie gniewasz, — rzekł, patrząc mu miło w oczy i wyciągając ręce.

— A za cóż? pan robisz swoją powinność — odpowiedział pan Józef i ścisnął jego rękę.

— Więc w sobotę, o godzinie szóstej rano, o ćwierć mili od karczmy Niesiołowskiej?

4610 — Pan Józef dał znak potwierdzający i rozeszli się. Gdy wszedł do pokoju, udając spokojność, postrzegł, że matka układała jego bieliznę. Zbliżywszy się do stołu rzucił okiem na rejestr i przekonał się, że wszystkiego znacznie przybyło. Wziął więc jej rękę i tuląc z miłością do ust i do serca zawołał:

— Samaś to szyła, mamó! a twoje oczy? — Podniosła na niego oczy łez pełne, objęła jego głowę i, przytulając do piersi, rzekła:

— Anusia już ma wszystko. Teraz na ciebie kolej. 4620 Ale nie przeszkadzaj mi i idź do ojca, on na ciebie czeka.

Spojrzał na nią, jakby chciał wy badać, dlaczego to powiedziała; ale widząc, że była zajęta i że łyżka pały na bieliznę cienką, białą i starannie wyprasowaną, poszedł do pokoju ojca.

Ojciec także był zatrudniony. Twarz jego była smutna, poważna, ale nie surowa. Gdy się zbliżył, obaczył na stole dosyć długi szereg książek, których rejestr ojciec kończył.

4630 Stał długo syn w milczeniu i nie śmiał przerywać. Gdy robota była skończona, powstał pan Starzycki i patrząc w oczy synowi, zapytał:

— Pożegnałeś się, mój synu? — Zaczerwienił się młody człowiek i spuszczać oczy odpowiedział, że się pożegnał.

— Przygotowałem ci lekarstwo — dodał ojciec, ukazując na książki. — Najlepsze i najciekawsze dzieła z historii, moralności i wojażów, jakie mogłem znaleźć w rejestrze księgarni, która została po Glügsbergu 4640 w Krzemieńcu. Wiem, że gospodarstwa nie zaniedbasz, ale zawsze zostanie ci wiele czasu i w tychto chwilach samotnych będziesz najwięcej potrzebował tego zbawinnego środka¹⁾. To ci pomoże do otrzymania zwycięstwa nad sobą, które otrzymać musisz i powinieś. Jeżeli zaś tego będzie mało, to to będzie jeszcze skuteczniejszym! — Powiedziawszy te słowa, wziął oprawiony niewielki sekstern i podał go synowi. Otworzył go pan Józef, drżąc całym, i obaczył własną ręką ojca wypisane porządkiem najpiękniejsze, najprostsze, jasne 4650 jak dzień, święte jak niebo, prawidła z ewangelii. — Upadł do nóg ojcu rozrzewniony młodzieniec i, mocno płacząc, ścisnął je i całował.

— Wstań — rzekł po chwili sam wzruszony ojciec, chociaż po sobie tego nie pokazywał. — Postrzegłem niedawno, co się w sercu twojem dzieje. Nie dziwię się, żeś się dał ująć tylu powabami, takim rozumem i dobrocią, niezupełnie się nawet gniewam, że cię przypadek naraził na taką walkę. W niej wypróbujesz mężkość swego serca i przyuczysz się pokonywać 4660 szalone chęci i przedsięwzięcia, przechodzące siły; bo

¹⁾ środek.

życie, mój synu, jest ciągłą walką, a pokój jest tylko owocem zwycięstwa. Wywalczysz je, spodziewam się, dla siebie i dla mnie; tego żądam i to ci najuroczyściej rozkazuję.

Gdy to powiedział, ścisnął rękę młodzieńca, który stał bez ruchu i wyszedł z pokoju. Łatwo sobie wyobrazić stan naszego bohatera. Czuł on całą prawdę i świętość słów ojcowskich, a przecież nie mógł wykonać jego woli. Zaraz nazajutrz miał mu być nieposłusznym i znowu w sobotę miał może żalobą napęłnić serce rodziców. Ale mógłże nie pożegnać się z kochanką, nie pomówić z nią może raz ostatni? Mógłże nie stanąć, kiedy był wyzwany? Mógłże okryć się wstydem w oczach własnych, zasłużyć na pogardę kobiety, której energią znał i dać tryumfować nad sobą nieprzyjacielowi takiemu, jak pan Henryk? Wszystkie jego myśli rozrywały jego głowę i pokój uciekł od jego serca.

Gdy przeszła wreszcie noc długa i bezsenna, wziął strzelbę na plecy, zawołał z sobą Amora i poszedł. Około godziny dziesiątej stanął na tem miejscu, gdzie raz pierwszy obaczył pannę Kamillę. Droga już wówczas była sucha, brzegi jej zieleńiły się młodą murawą, zboża ozime zaczęły zielonym puchem okrywać pola, laski na wzgórzach przywdziewały wiosenną odzież, skowronki, bujając w powietrzu, głosiły wiosnę, miłość i nadzieję. Ale w sercu młodzieńca jej nie było. On czekał ostatniego widzenia się z aniołem swojego życia i miał się żegnać — na zawsze.

Postrzegłszy wreszcie powóz z daleka, szedł schyliwszy głowę i niby nie uważając, aby okazać przed ludźmi przypadkowe spotkanie. Gdy się z nim zrównały, skłonił się pannie Kamilli i pannie Beldeau i przystąpił do powozu, który się zatrzymał.

— Pan poluje? — rzekła panna Kamilla.

— Wyszędłem trochę przejść się, tak piękny dzień — odpowiedział.

— I mybyśmy dobrze zrobiły, żebyśmy się trochę przeszły; nieprawdaż, Belciu?

Zgodziła się guwernantka z uśmiechem, otworzono powóz i panie wysiadły. Przywitawszy się z Amorem, panna Kamilla rzekła do Ignacego:

— Jedźcie wy sobie naprzód, a my tu pochodzimy. — Poszedł powóz naprzód, a gdy się oddalił, panna Kamilla dodała:

— Daj mi pan rękę. — Podał jej rękę znekany młodzieniec, tuląc nieznacznie dłoń jej do piersi. Ona zwiesiła się na jego ramieniu i tak szli powoli, mówiąc o pierwszej przygodzie, która była przyczyną ich znajomości. Nieznacznie panna Beldeau zaczęła się od nich oddalać i, znalazłszy jeden kwiatek, wyłazący z ziemi zaczęła szukać z zapalem i więcej, tak, że młodzi ludzie zostali prawie sami, owiani wonnem powietrzem wiosny, na otwartem polu, pod czystem niebem, które serca ich widziało. Pierwsza to była chwila, gdzie mogli wygadać się swobodnie. Wszakże z początku milczeli, bo wszystkie słowa wydawały się im za ciasne i nie mieściły w sobie nieskończoności ich uczucia. Nareszcie panna Kamilla wzięła jego rękę, położyła na sercu i, wsparłszy głowę na jego ramieniu, rzekła z westchnieniem:

— O mój Józiu! mój Józiu! jakżebym była szczęśliwa, gdybym tak mogła przejść życie obok ciebie!

Objął ją rozmarzony młodzieniec; przycisnął nieznacznie i potem zaczęła się rozmowa długa, słodka, rozkoszna i bolesna razem, bo pan Józef wiedział dobrze, a panna Kamilla przeczuwała, że to ostatnia.

Niech mi piękne czytelniczki moje podziękują, że im tej rozmowy nie powtarzam. Słowa moje zepsułyby tę złotą tkankę, którą ich, młodsza od mojej, imaginacya, ich wymowniejsze, bo może w tej chwili bijące, serce, na tem tle, którem im poddał, wyhaftuje.

Wkrótce pan Józef został sam jeden na drodze. Brzegi jej zieleniły się, ozime zboża okrywały pola zielonym puchem, wzgórze przywdziewały się odzieżą wiosny, skowronki żywo i rozkosznie śpiewały i coraz wyżej podnosiły się pod niebo; a on stał wsparty na strzelbie i słyszał tylko turkot¹⁾ odjeżdżającego powozu, chociaż już dawno przeminął, i widział tylko kurzawę, wzbity, przez jego koła, chociaż już dawno wiatr ją rozwiął i rozniósł po polu.

¹⁾ hurkot.

W piątek rano pożegnał się pan Józef i umocniony błogosławieństwem rodziców i babki pojechał do siostry dla pożegnania się z nią i z dziadziem, który właśnie gościł u wnuczki. Rozdzierało się serce biednego młodzieńca, gdy ostatni raz spojrzął na dach rodzicielski, który pokrywał tyle rozumu, tyle dobroci, tyle miłości, pod którym miał tyle przykładu umiarkowania i męstwa, gdzie odbierał żywe nauki pobożności, porządku i zgody. Chociaż wiedział, że kula pana Henryka, niewprawnego i bojaźliwego, może go ominąć; ale mógłże przewidzieć co zrobi przypadek? jak los, a może i sama nieumiejętność, tak niebezpieczna w pojedynkach, pokieruje ręką przeciwnika? Nie żałował on wprawdzie życia, bo nie miał nadziei; ale rodzice w żałobie, ale babka na katafalku, ale kochanka w rozpacz, stawały mu ciągle przed myślą. Gdy przed wieczorem wszedł do pokoju siostry, zastał ją siedzącą w dużym krześle i uśmiechającą się boleśnie, bo cierpiała biedna w swoim stanie, do dziadzi, który stał przed nią i, drażniąc ją, śpiewał:

A ów wąż nieszczęsny stał jej na zdradzie,
 Urwał jabłko z drzewa zakazanego
 I podał Ewie.
 Ewa skosztowała,
 Ewa skosztowała!

Dziwnem mu się wydawał ten kontrast pokoju i wesołości starca z jego własnym smutkiem i ciężką obawą. Szczęśliwy dziadzio! pomyślał w duchu. Już przebył wszystko, już dla siebie niczego się nie spodziewa, niczego nie lęka. Cieszy się tylko przez nas, ale i przez nas zasmucić się może. Ta ostatnia myśl znowu nasunęła chmurę na jego czoło, którą był widok dobrego humoru starca cokolwiek rozpędził.

Postrzegł to dziadzio i mimo wielkiego wysilenia ze strony pana Józefa, domyślił się, że coś nadzwyczajnego ciąży na jego sercu. Widział to pan Ignacy, widziała i siostra; ale ci ostatni, znając sekret serdecznego brata, udawali, że nic nie postrzegają.

Jeszcze było dość widno, gdy obaj młodzi wymknęli się do ogródka i tam pan Józef opowiedział bratu wszystko i prosił go, aby mu jako świadek towarzyszył. Zmartwił się serdecznie pan Ignacy: nie było wszakże co robić, trzeba się było przygotować. Gdy tak przechadzali się i rozmawiali o jutrzejszej ekspedycji, nadszedł dziadzio, który w niespokojności i domyślając się czegoś, szpiegował ich i miał na oku. Biorąc więc za rękę pana Józefa rzekł:

— A złapałem waści na uczynku, macie sekreta! coś złego się stało, o czym nie wiem. Chciecie, abym 4790 dręczył się niepewnością? W ten moment czarno na białem! Chcę wiedzieć!

— Kochany dziaduniu — odezwał się pan Ignacy — już ja to i sam myślałem przez wzgląd na Anulkę, że niema potrzeby tego przed dziaduniem ukrywać. Józio ma jutro pojedynek.

— Do stu dyabłów to nie do rzeczy! — rzekł staruszek, poprawiając swoją czapeczkę. I z kimże to 4800 mości burdo?

— Z panem Henrykiem Podziemskim — odpowiedział pan Ignacy.

— Z tym migdalkiem? to musiałeś go waść sam wyzwąć — rzekł dziadzio, patrząc surowo na wnuka.

— Nie. drogi dziadziu, — odpowiedział pan Józef. — Tegoby nigdy nie zrobił, chyba w ostatniej konieczności.

— Więc musiałeś go skrzywdzić, chłopcze! — dodał starzec prawie groźnie — a to jeszcze gorzej, bo on starszy od ciebie.

— I to nie, drogi dziadziu! — odpowiedział młody 4810 człowiek, spuszczać oczy.

— A cóż u dyabła za przyczyna? — zapytał starzec.

Tu pan Józef opowiedział całe zdarzenie. Słuchał stary z uwagą, a potem, kładąc rękę na ramieniu młodego człowieka, rzekł:

— Słuchajno waść, panie wnuku! jam już stary i nie pojedykowałem się w życiu, tylko raz i to wtenczas, gdy m jeszcze był w domu pani Kurdwanowskiej,

4820 starościny Baranowskiej. Poszło nam niby o cesarza chińskiego; a wiesz waść, jaka była prawdziwa przyczyna?

— Nie wiem, kochany dziadziu.

— Spódniczka kochanku, spódniczka! — dodał staruszek, nasuwając na ucho czapeczkę. — Czy i tu to samo? czy on ma waści za swego rywala?

— Podobno, kochany dziaduniu — rzekł, uśmiechając się, pan Ignacy.

4830 — I waść tę panienkę kochasz? — Pan Józef nie odpowiedział, ale mimowolnie westchnął, a dziadzio dodał: — Ej bratku, wzdychasz? to widzę, że waść głupiuteńki. Tu wzdychać niema czego, ale powiedzies sobie stale i statecznie: to panna nie dla mnie! i obejrzeć się za inną, pocziwą, dobrą dziewczyną, i z błogosławieństwem rodziców stanąć na kobiercu. — Pan Józef uśmiechnął się na to boleśnie, a dziadzio mówił dalej: ale nim to będzie, kiedyś wyzwany, powinieneś stanąć. Kiedyż spotkanie?

— Jutro o szóstej z rana.

4840 — Gdzie?

— W moim lasku od karczmy Niesiołowskiej.

— Kto twój sekundant?

— Ja, kochany dziadziu — rzekł pan Ignacy.

— Obejdzie się. Wasan masz żonę i wkrótce będziesz miał dziecko. Ta sprawka pachnie kozą i to długą; a tymczasem Anulka mogłaby to życiem przypłacić. Ja będę twoim sekundantem — rzekł stary, prostując się i poprawiając czapeczkę.

4850 — O! mój drogi dziadziu! czyżbyśmy na to pozwolili, — dodał pan Józef, całując rękę starca — żebyś się ty narażał?

— Cóżto u dyabła! myślicieź smarkacze, że ja was będę prosił o pozwolenie? — krzyknął, zapalając się. — Tak chcę i basta! — Umilkli obaj a staruszek, zreflektowawszy się, rzekł po chwili łagodnie: — A tam w domu nic o tem nie wiedzą?

— Nic, drogi dziadziu.

4860 — To dobrze. Zapewne na pistolety? bo to wy mazgaje szabli nie lubicie i krzyżowej sztuki ani belmes. A przecież to bywało na sejmikach: jeden zuch

stanąwszy pod murem, sześciu lub ośmiu adwersarzy tego mógł pokieraszować. A masz dobre pistolety?

— Wierne, kochany dziadziu! — odpowiedział pan Józef.

— Nabijże je waść i przynieś tu; tylko, żeby Anulka nie widziała, pro forma weź waść strzelbę.

Poszedł młody człowiek, a dziadzio tymczasem przykazał panu Ignacemu, aby żonie nic nie wspomniał, aby udawał jak największą spokojność, a jak zrana za-
4870 pyta, żeby powiedział, że pojechali do lasku na słomki i prosili o dobrą kawę, jak wróca.

Tymczasem pan Józef przyniósł pistolety. Odeszli cokolwiek dalej, a dziadzio, dobywszy noża ogrodniczego, na pniu sporej lipy wykroił korę na wielkość dłoni, wziął pistolet, odmierzył dziesięć kroków a nasunąwszy czapkę i wzięwszy się pod boki lewą ręką, wymierzył i strzelił. Kula uderzyła w drzewo na dwa palce od oznaczonego celu.

— Hm! — rzekł dziadzio, trochę niekontent —
4880 nie tak bije, jak trzeba. Spróbujno waść sam z drugiego. Pan Józef strzelił, i w samym środku¹⁾ celu pokazał się punkt czarny i okrągły.

— Dobrze — rzekł dziadzio — będziesz waść strzelał z tego. Ten lepiej bije.

Uśmiechnął się pan Józef, bo wiedział doskonale, że oba pistolety równie wierne, ale oko dziadziowe już siedemdziesiąt ośm zim widziało. Gdy powrócili do pokoju, durzyli Anulkę, że strzelali do jastrzębia, który groził jej kurom, rozmawiali prawie wesoło, a po dziesiątej wszystko już było spokojnie w całym domu. Pan
4890 Józef tylko chodził po pokoju i wdychał, a dziadzio chodził także do późna i modlił się.

Nazajutrz o godzinie szóstej, jak było umówione, z jednej strony zjawił się pod laskiem dziadzio z panem Józefem i Amorem, z drugiej pan Henryk z Siodłowskim i z psem. Wszyscy byli uzbrojeni w dubeltówki i opatrzeni myśliwskimi torbami. Gdy powysiadali z powozów, zbliżyli się do siebie z uśmiechem i w przytomności ludzi podając sobie ręce, nieznacznie

¹⁾ środka.

4900 zamienili żądane przez pana Józefa bileciki. W liście pana Henryka były te słowa: „Kochany panie Józefie! „wiem, że przez lasek twego szwagra, około karczmy „Niesiołowskiej, przeciąga chmara słomek. Choćbyście „mi mieli zagrabieć strzelbę, przyjadę w sobotę z Siod- „łowskim. Jakbym się ucieszył, gdybyś i ty przyjechał!“ — Bilet pana Józefa był następującej treści! — „Drogi „panie Henryku! jeżeli chcesz strzelać do słomek, jak „do wróbli, to przyjeżdżaj w sobotę do lasku mego „szwagra, o ćwierć mili na prawo od karczmy Niesio-
4910 „łowskiej. Będę cię tam czekał i bez ciebie nie strzelę „ani razu. A przywieź z sobą starego Mazura. Siod- „łowskiego, on podobno lepiej się popisze od nas oby- „dwóch.“ — Potem każdy schował swój bilet do kieszeni, wzięli się pod ręce i poszli, kazawszy ludziom czekać na siebie w tem samym miejscu. Ale jak tylko byli w lesie, pan Henryk wyrwał rękę z pod ręki pana Józefa i poszedł naprzód. Twarz jego była blada, wargi zaciśnięte, oczy pały jakimś nienaturalnym ogniem, a całe ciało drżało, jak w febrze. Pan Siodłowski
4920 przypatrywał się dziadziowi z uszanowaniem i pokręcając węża a wyprostowawszy się po żołniersku, rzekł: — A to jegomość dobrodziej, mosanie, jesteś sekundantem tego pana?

— Ja — odpowiedział stary — chcę obaczyć, jak się też mój wnuk popisze i czym go dobrze wyuczył. Jajko wprawdzie w lot rozbija chłopak, ale na placu, to co innego. Pan zapewne dawny żołnierz?

— Były instruktor pierwszego szwadronu pierwszego pułku strzelców — odpowiedział podnosząc machinalnie rękę do czapki.
4930

— Czy tam w reglamencie wasanów — rzekł dziadzio — nie było tego, że skłócić się za głupstwo i strzelać się za głupstwo, jestto wykradać życie, które należy do kraju i do monarchy?

— Oho! — zawołał pan Siodłowski — zjadłby mi sto dyabłów mosanie, który z moich wiarusów, gdyby co podobnego zrobił.

— A czemużeś pan — mówił dziadzio — nie użył i tu powagi starego wojaka i człowieka z doświad-

4940 czenie? Wszak oni się będą strzelać nie wiedzieć o co.

— Nie mogłem, proszę jegomości. Tak się chłopak zawiązał mosanie, jakby go ciągnęło na zgubę.

— Ha! to niema o czem gadać — rzekł dziadzio i odtąd szli w milczeniu. Gdy doszli do małego wyrębu, gdzie było miejsce czyste i z drzew obnażone, pan Henryk obejrzał się wkoło i rzekł: — Tu.

— A cóż, mosanie, dobrze i tu — odpowiedział pan Siodłowski. Pozrzucali więc z siebie torby, z których 4950 dobyli pistoletów, pokładli strzelby i pan Siodłowski zaczął odmierzać metę.

— Druga meta o sześć kroków — rzekł pan Henryk, zaciskając wargi.

— A toż na co? — zawołał dziadzio. — Kto umie strzelać trafi i o dziesięć.

— Pozwól, drogi dziadziu! niech będzie o sześć. Idziemy od pierwszej mety i każdy ma prawo strzelić, gdzie zechce.

— Niech i tak będzie — odpowiedział stary, ruszając 4960 ramionami. — Wolałbym jednak szablę i krzyżową sztukę. Oznaczył pan Siodłowski drugą metę, odmierzył od niej w jedną i drugą stronę po piętnaście kroków, na każdym z tych punktów położył torbę na znak, i kazał przeciwnikom na nich stanąć. Gdy oba stanęli naprzeciw siebie z bronią w rękę, dziadzio przystąpił do wnuka i podał mu rękę. Pan Józef ją pocałował i rzekł eicho:

— Dziadzio drogi! powiedz mamie i babuni, że 4970 inaczej być nie mogło. Pożegnaj ojca. A jeżeli zginę, nie obwiniajcie tamtej; to anioł, dziadziu i ona temu nie winna. — To powiedziawszy, zwrócił się z zimną krwią do pana Siodłowskiego i dodał: — Licz pan do trzech, panie Siodłowski.

Odstąpili obaj sekundanci o kilka kroków na bok i pan Siodłowski zaczął komenderującym głosem:

— Bacność! raz, dwa, trzy! — Po tem ostatniem słowie ruszyli obaj przeciwnicy z miejsca z wymierzoną bronią. Pan Józef szedł zwolna, zimno i prawie z uśmiechem, pan Henryk prędzej, z twarzą coraz 4980 bledszą, z zaciśniętymi wargami, z oczami coraz mocniej

iskrzącemi. Ale im bliżej przystępował, tem mniej pewnym stawał się jego krok, ręka drżała widocznie, oczy zaczynały się przemykać. Spozrzegł to pan Siodłowski i zawołał:

— Śmielej! nie wyciągać tak ręki! niżej mosanie! wytrzymać, mosanie! — Ale pan Henryk go nie słyszał. Ledwie uszedł kroków siedm lub ośm, gdy mimowolnie może pociągnął za cyngiel. Huk się rozległ i dym okrył przedział między przeciwnikami. Wówczas 4990 dziadzio zwrócił oczy na wnuka, ujrzał go na nogach, ale lewa ręka jego obwisła i na twarzy wypiętnował się ból gwałtowny. Trwało to kilka sekund, po których znowu pan Józef szedł dalej i wołał na przeciwnika: — Proszę pana do mety.

Z zamkniętymi oczyma, z rękami zgiętymi i drgającymi, jak w konwulsjach, szedł jednak pan Henryk; dziadzio, widząc stan okropny biednego młodzieńca, zawołał:

— Józiu! pod błogosławieństwem zakazuję ci 5000 strzelać!

— Nie będę, drogi dziadziu! — rzekł wnuk, obracając się do starca.

Tymczasem pan Henryk postąpił jeszcze parę kroków, jęknął głęboko, zachwiał się i upadł bez zmysłów. Wysilenie tak gwałtowne, odwaga ta nienaturalna i gorączkowa, dzieło miłości własnej, upokorzonej, odebrały mu siły i przytomność.

Przyskoczył do niego pan Siodłowski, i widząc, że tylko zemdłał, pokiwał głową, ruszył ramionami 5010 i rzekł:

— Biedne chłopczyśko! mosanie, zemdłał, jak baba. Otóż to niemieckie wychowanie! Zjadłby mi sto dyabłów który z wiarusów moich, gdyby tylko mrugnął okiem, lub pobladł, kiedym, dla przyzwyczajenia, strzelał mu przed samym nosem.

Gdy pan Siodłowski tak rozprawiał i trzeźwił pana Henryka, jak mógł, dziadzio tymczasem opatrywał ranę pana Józefa. Kula uderzyła go w lewe ramię, przedarła dość głęboko mięsa i uwięzła pod samą skórą 5020 tak, że gdy dziadzio rękaw i koszulę rozerzwał, prawie sama wypadła z rany. Na wszelki przypadek miał

dziadzio w torbie butelkę wody, ręcznik, bandaże i gąbkę, obmył krew i wzięwszy kulę w rękę, rzekł uradowany:

— No, chwała Bogu! jest na wierzchu. Masz waść lekycę, która cię niewiele będzie kosztować. Schowaj sobie tę kulę na pamiątkę i miej tę naukę, że ubogi szlachcic powinien brać się do równej sobie panny, aby miał pocziwą żonę, a nie do milionowych
5030 spódniczek. Boli cię, durniu, czy nie?

— Nie, nie, drogi dziadziu! tyś chirurg doskonały.

— Oho! pamiętam raz u pani Kurdwanowskiej, starościny Baranowskiej... — Wtem pan Józef skrzywił się mocno, poczuwszy ból gwałtowny, a dziadzio mówił dalej: — A widzisz, kpie, że cię boli... ale poczekaj.

Wtenczas dobył z torby chleba, wyjął pajęczynę, w którą się opatrzył, zmieszał to razem, zmiał i ranę
5040 zapakował. Potem obłożył z wierzchu hubką, obwiązał bandażem i rzekł: — No, rusz waść ręką, tylko zwolna. — Ruszył pan Józef ramieniem, ucałował rękę starca, który go uściskał, i dodał:

— Ale minę miałeś dobrą. Nie taką jak ten biedak. No! terazże kłamię jak na mękach, bo to moi panowie, pachnie tęgą kożą.

— A jużci, proszę jegomości, trzeba łąć jak mogą, mosanie — odezwał się pan Siodłowski, który narazie przyprowadził do przytomności pana Hen-
5050 ryka.

Powstał biedny młodzieniec, blady jak z grobu, tarł długo ręką czoło, jakby sobie co przypominał, a potem, spojrzawszy w koło, westchnął głęboko i poszedł.

Zabrał prędko pan Siodłowski swoje i jego oręże, ścisnął rękę dziadzia i pana Józefa i poszedł także, mrużąc: — Otóżto niemieckie wychowanie; zjadłby mi sto dyabłów, mosanie, który z moich... — i t. d.

XI.

Gdy pan Henryk wszedł do pokoju matki, zastał
5060 ją siedzącą na kanapie i przerzucającą ciekawie książki,
żółte, zielonkawe i niebieskie, któremi była obłożoną
i których świeży transport odebrała z Odessy. Jakkol-
wiek była zajęta, przestraszyła się jednak biedna ko-
bieta, obaczywszy twarz syna. Wzrok jego był zupełnie
zmieniony, włosy w nieporządku, czoło i lice nie okazy-
wało najmniejszego śladu krwi, a w całej postaci
i w ruchach malowała się jakaś głęboka boleść.

— Co tobie, moje dziecię? — zawołała matka.
— Odwrócił się, nic nie odpowiedział i zaczął chodzić
5070 po pokoju. — Henryczku! na miłość Boską! przestra-
szasz mnie. Co ci jest?

— To, moja mamó — odpowiedział przez zęby
— że przyszedłem się z tobą pożegnać.

— Pożegnać? Wielki Boże! dokądże chcesz jechać?

— Chcę stąd uciec — odpowiedział — i ucieknę,
to wiem, ale dokąd, tego jeszcze nie wiem.

Odrzuciła od siebie pani Włodzimierzowa Balza-
ka, Soulié zsunął jej się z kolan, zerwała się przera-
żona i przystępując do syna, zawołała:

5080 — Henryczku! czy chcesz, abym umarła?

— Nie, droga mamó, chcę, abyś mnie rozsądniej
kochała, niż dotąd. Powiadam ci, że tu zostać nie mo-
gę; ucieknę, gdzie mnie oczy poniosą.

— Dlaczegoż to, na miłość Boską?

— Dla tego, że tu oczu nie śmiem pokazać, żem
się tu okrył wstydem, że tu każdy ma prawo gardzić
mną, żartować sobie ze mnie, a gdy się rozniewam,
dać mi sztuczka w nos, abym upadł i zemdlał.

To powiedziawszy, rzucił się w krzesło, zakrył so-
5090 bie twarz i zaczął mocno płakać.

— O, ja nieszczęśliwa! — krzyknęła matka zała-
mując ręce.

— A ja! — zawołał młody człowiek powstawszy.
— Jam stokroć nieszczęśliwszy, biedna matko! bom
nieszczęśliwy przez ciebie.

— Przemennie? — zawołała, patrząc w osłupieniu
na syna.

— Bóg mnie stworzył mężczyzną — rzekł z mocą — a ty, matko, zrobiłaś mnie gorzej, niż kobieta, 5100 gorzej, niż dzieckiem, zrobiłaś mnie lalką, nikczemną, głupią i trwożliwą, ani sobie ani ludziom nieużyteczną. Gdym był małym chłopcem, gdy mnie natura, może nawet energiczna, kto to wie, ciągnęła na świeże powietrze, na deszcz i słońce, w pole i do lasu: nie puszczałaś mnie, nie mogłem pobiegać, żebym nie upadł, nie mogłem się wdrapać na drzewo, zbliżyć się do rzeki, wsiąść nawet na drewnianego konia, żeby mi się coś złego nie stało. Do dziesięciu lat nie miałem noża w rękę, jak gdybym był przeznaczony na automat, któremuby wszystko podano, wszystko za niego zrobiono, 5110 a on żeby leżał w pudełku, obwinięty w bawełnę jak szklane cacko, któreby za każdym dotknięciem mogło się rozbić w kawałki. O! był to grzech, moja biedna matko, którym niebaczna miłość twoja obciążyła twoje sumienie. Ale któż wie? mogłoby się było jeszcze wszystko naprawić. O kilka mil miałaś szkołę, gdzieś mnie mogła oddać. Tam z towarzyszami młodości, z chłopakami pełnymi życia i siły, byłbym się wzmocnił, rozwinął; przez wstyd i emulację byłbym dobył z swych piersi ostatek energii i stał się chłopcem, jak 5120 oni i wyrósł wśród¹⁾ nich i z nimi na mężczyznę, któremuby nikt nie śmiał deptać po nogach i grać na nosie. Aleś tego nie zrobiła. Zamiast mię posłać do szkół póki były, przyjęłaś do domu jakiegoś włóczęgę Francuza, abym się nauczył paplać, tak jak on, abym był ciemnym i głupim, jak on, abym zawsze był przy twoim boku, obwinięty w watę, otulony piernatami, abym potem, gdy należało oświecać rozum, kształcić się nauką, miał czas dla rozrywki tylko pożerać te zgubne książeczki, które mnie nauczyły tego, czegom 5130 wiedzieć nie był powinien, które zbrudziły moją imaginację i w dwudziestym roku zrobiły mię drżącym, drażliwym i niedołęznym starcem. O! tyś tego pewnie nie chciała, bo ty mnie kochasz, biedna matko! ale miłość twoja była niebaczna i grzeszna.

¹⁾ wśród.

Zanosiła się od płaczu nieszczęśliwa kobieta a pan Henryk, widząc to, rzucił się jej do nóg i zaczął ścisnąć i całować jej kolana. Potem, powstawszy, wziął jej rękę i rzekł łagodnie:

— Nie płacz, droga mamó! ale pozwól mi jeszcze ratować się. Puść mnie, puść od siebie!

— Henryku! — odpowiedziała, składając ręce — mozem i zawiniła zbytciem i nieuważnem przywiązaniem. Czyżes mnie już nie dość ukarał? Dla czegoż chcesz mnie jeszcze porzucić samą jedną i uciec odemnie?

— Nie od ciebie, droga mamó, chcę uciec, ale stąd, z tego miejsca, z tych okolic; chcę i muszę uciekać.

— Czemuż to? co się stało? dla Boga!

— Czemu? czemu? Czy wiesz, moja matko, skąd teraz wracam?

— Skąd? skąd? — zapytała, patrząc mu w oczy z trwogą.

— Wracam z pojedynku.

Krzyknęła przeraźliwie pani Włodzimierzowa, zerwała się i, przyskakując do syna, zaczęła opatrywać jego głowę, piersi, ramiona, a potem, biorąc jego rękę, trzęsąc z całej siły, zapytała:

— Tyś nie ranny?

— O! wolałbym być rannym; wolałbym, żeby mnie tu przywieziono ze zgruchotaną ręką lub nogą, z przebitą piersią; niż skończyć tak nikczemnie, jakem skończył.

— Z kimże to, dla Boga, strzelałeś się?

— Z kim? z mężczyzną, moja matko, z mężczyzną w całym, wielkim znaczeniu tego słowa, z człowiekiem, który patrzył na moją kulę, uśmiechając się, który szedł do mnie zwolna, krokiem pewnym, jak gdyby mi miał podać rękę do przyjacielskiego uścisku, wtenczas, kiedy ja szedłem do niego, drżąc, kiedy oczy moje zakrywała mgła, kiedy w sercu była rozpacz a konwulsye w rękę, które ją wiodły nie tam, gdzie ja chciałem i wyrzuciły kulę nie wtenczas, gdy chciałem. Ale to jeszcze nic, moja matko; jam go ranił. A on nie pokazał tego po sobie, szedł dalej, wołał mnie spokojnie do mety a ja zdrow i cały dojsć do niej nie mogłem,

upadłem wprzód, nim strzelił i od samego widoku jego kuli zemlałem, jak kobieta. — To powiedziawszy, wplótł ręce w swe włosy, zaczął je szarpać i wyrywać.

5180 — Henryczku! biedny mój Henryczku! — zawołała matka, tuląc jego głowę na swych piersiach. Uspokoił się po chwili i rzekł:

— Widzisz teraz, mamó, że ja tu zostać nie mogę.

— O, mój Boże! mój Boże! — zawołała matka — ciężkom ukarana. Ale któż to jest ten twój przeciwnik? Cóżżeś mu zrobił, że cię wyzwał?

— Nie on mnie wyzwał, ale ja go wyzwałem — odpowiedział.

5190 — I za cóż to? O ja nieszczęśliwa!

— Za to, że ona go kocha a mnie kochać nie może, za to, że on wyższy odemnie, że silniejszy odemnie, za to, że on śmiały a ja tchórz, że on ma rozum a ja głupi; za to, że się uśmiechnął z politowaniem, gdym spadł z konia w jej oczach, że mnie podjął z ziemi i postawił na nogach, jak dziecię, które upadnie i nosek sobie zwala. Słowem, za to, moja matko, że on mężczyzna a ja mazgaj i baba. O, puść mnie, droga, biedna mamó! ja cię obwiniać nie będę,

5200 ja ci wszystko zapomnę, tylko puszczaj mnie!

To powiedziawszy, wziął ją w objęcia, całował jej twarz, jej głowę, potem bladą, zniekaną, osłabłą i nie mogącą słowa przemówić, posadził na krześle, a sam wybiegł z pokoju.

We dwa dni po tej bolesnej scenie między synem i matką, prezes odebrał następujący list od pani Włodzimierzowej: „Uwadamiam pana, że syn mój wyjechał za granicę i kiedy powróci, nie wiem. Wszelkie zatem układy, o których mówiliśmy, skończone w tej chwili
5210 „i nadal nie obowiązują ani mnie, ani pana. Może „przeto teraz panna Kamilla oddać bez przeszkody swą „rękę panu Starzyckiemu, którego kocha i którego „uznała godniejszym od mego syna. A chociaż pan Sta- „rzycki raniony w pojedynku, jaki ci panowie w sobotę

„odbyli, sędzę jednak, że niema wielkiego niebezpieczeństwa.

„Z książąt W* Włodzimierzowa Podziemska“.

— Jezus Marya! — zasyczał prezes, przeczytawszy ten list, oparł się na krzesło, splótł ręce na brzuchu i puścił dwa wielkie palce w tak szybkiego młynka, że ich prawie widać nie było. Posiedziawszy tak 5220 z kwandrans zadzwonił i kazał zawołać córkę. Weszła panna Kamilla z twarzą spokojną, ale bladą i wyrażającą ukryte cierpienie. Spojrzał na nią prezes i już teraz nauczony czytać w jej licu, nie wątpił o prawdzie swojego, jak je w myśli nazywał, nieszczęścia. Nic więc nie mówiąc, podał jej list pani Włodzimierzowej. Wzięła go panna Kamilla i zaczęła czytać. Przy pierwszych słowach lekki rumieniec okraślił jej lice. Stopniami zsuwał się, znikł zupełnie, pod koniec panna 5230 Kamilla wstrzęsła się, zbladła jak trup i gdy skończyła, upuściła ręce wraz z listem zachwiała się i upadła na ziemię bez zmysłów. Krzyknął prezes przerażony, zerwał się, przykląkł przy córce, zaczął ją wołać najśłodszymi słowami, trzeźwił, jak mógł, ale nic nie pomogło. Wtenczas, rwąc na głowie włosy, wybiegł, jak szalony i łamiąc ręce, zaczął krzyczeć na cały dom. Na to przerażliwe wołanie zbiegli się ludzie, wyskoczyła panna Beldeau, i wszystkie kobiety z garderoby otoczyły zemdloną. Jedna z nich, przytomniejsza, zaczęła ją zbryzgiwać wodą, rozerwała pasek szlafroczka, i powoli, powoli panna Kamilla przyszła do siebie. Gdy otworzyła oczy, podniosła głowę z pomocą kobiet, a potem usiadłszy na ziemi, rzuciła okiem na list, który obok leżał i zaczęła mocno płakać. Pozwolono jej wypłakać się do woli, a gdy się cokolwiek utuliła, kazał ją ojciec odprowadzić do pokoju i położyć. Leżała tak panna Kamilla z parą godzin, nie mówiąc ani słowa, nie wydawszy ani jednego westchnienia. Potem wstała, zaczęła 5240 chodzić po pokoju, namyślając się, co zrobić; nareszcie usiadła, napisała krótki bilet, wyjęła z toaletki małe pudełeczko, opieczętowała to wszystko razem i zawołała służącej Teresi, którą szczególnie lubiła. Wszystkie ją kochały niezmiernie, bo była dobra wesola, niekapryśna i często je obdarzała. Ale Teresia szczególnie do niej

była przywiązana. Weszła więc dziewczyna z zapłakanymi oczami i stanęła przed panią.

— Tyś płakała, Teresiu! — rzekła panna Kamilla.

5260 — Ach! Boże mój! pani tak okropnie zemdląła — odpowiedziała dziewczyna, całując jej rękę.—Co się to stało?

— Nic, moja droga. Słuchaj, Teresiu! ty mnie kochasz, nieprawdaż?

— O, moja dobra pani! — zawołała Teresia.

— Biegnijże z tem co tchu do Szlomy; tylko, żeby nikt nie uważał, dokąd idziesz.

— Ja pobiegnę przez ogród.

— Dobrze... i oddaj mu to tak, żeby nikt nie widział.

5270 Dziewczyna wzięła pakiecik, pobiegła i w kwadrans potem już go Szloma miał w ręku. Szloma był w swoim pokoju, gdzie stały kufry z rozmaitemi rzeczami, gdzie była szafa pełna książek, gdzie z boku stało biuro zamykane a przed niem fotel czerwonym safianem obity. Sam Szloma, w materyalnym szlafroku, w aksamitnej jarmułce siedział na kanapie obitej materią i wsparty z gracją na poduszce z kutasami, jedną nogę w lśniących butach trzymał na kanapie, a drugą na ładnym dywanie który przed nią leżał.

5280 W takiej postawie pan Szloma czytał Żyda Lessinga. Wkoło niego wszędzie było czysto, cicho, porządkie: w kąciuku tylko, gdzie przybite było do ściany mosiężne lawabo i gdzie wisiał ręcznik, stał brudny cebrzyczek, w który kapłała regularnie woda, co wespół z delikatnym zapachem cebuli, ulatującym po pokoju, zdradzało pomieszkanie żydowskie.

Gdy Teresia wbiegła i, obejrzawszy się, czy nie było nikogo, oddała mu pakiecik, Szloma rozpieczętował go i, nie zmieniając pozycyi, czytał ze zwyczajnym 5290 swoim rozumnym i zgadującym uśmiechem te słowa: „Panie Szloma! tyś mi pierwszy mówił z szacunkiem „o domu¹⁾ państwa Starzyckich i o ich synu, który mię „mocno interesuje. Jak silny, jak głęboki to interes,

¹⁾ domie.

„domyślasz się zapewne, bo tobie niewiele potrzeba
 „abyś się domyślił. Dziś dowiedziałam się, że ten mło-
 „dy człowiek raniony, zapewne już nie u rodziców, ale
 „w Trawiskach, w wiosce siostry swojej Zahorowskiej,
 „stał o cztery mile. Nie mam kogo posłać, aby się do-
 „wiedzieć, co się z nim dzieje. Stan mój okropny. Mu-
 5300 „szę się kryć z tem, co czuję, a umieram z niespokoj-
 „ności. Jedź natychmiast, mój dobry Szloma. Dowiedz
 „się o wszystkim i powracaj. Tej przysługi nigdy ci
 „nie zapomnę. Szloma, tyś człowiek rozumny i wiesz
 „dobrze, czy można polegać na wdzięczności takiej jak
 „ja, kobiety.“
 „P. S. Co tu przyłączone, to dla twojej Ra-
 cheli.“

Otworzył Szloma pudełko i obaczył piękny fer-
 moar brylantowy, zamykający dwa sznureczki ślicznych
 5310 pereł. Cały prezent mógł być wart więcej niż dwieście
 dukatów. Zaiskrzyły się oczy żyda, uśmiech ukontent-
 wania przebiegł po jego ustach, ale wkrótce zmiarkował
 się i sądząc po żydowsku z wartości podarunku o uczu-
 ciach panny Kamilli i jej niecierpliwości, otworzył
 prędko swoje biuro i napisał te słowa: „Rozkaz pani
 „będzie natychmiast wykonany. Od dawna domyślałem
 „się wszystkiego i nie dziwiłem się, że się tak stało.
 „Taka, jak pani, kobieta nie mogła nie ocenić *taki młody*
 „*człowiek*, jak pan Starzycki. Rachelę dziękuje pani
 5320 „za śliczny podarunek. Szkoda, że usługa nie warta ta-
 „kiej zapłaty.“ W pół godziny potem, już pan Szloma
 był na drodze do Czapliniec.

Tymczasem prezes nie zasnął także gruszek w po-
 piele. Zaspokoiwszy się o córkę i widząc, że spokojnie
 leży, nie płacze i nie mdleje, wrócił do normalnego
 swego stanu. Znał prezes doskonale energię i determi-
 nacyę swej córki, przekonał się tylko co, jak gwałto-
 wna jej miłość; zatrwożył się więc nadzwyczajnie, aby
 cała jego krwawa praca nie posłużyła do wzbogacenia
 5330 szlachcica bez jego wiedzy i woli. Nie polegając więc
 bardzo na swojej powadze, chciał obudzić ambicyę
 szlachetną w ojcu pana Józefa i zapewnić sobie w nim
 sprzymierzeńca. Napisał zatem do niego następujący
 list: „Z przyłączonego tu listu pani Włodzimierzowej,

„dowiesz się wielmożny pan dobrodziej, co się dzieje.
 „Znając charakter, sposób myślenia i umiarkowanie
 „wielmożnego pana dobrodziej, nie sądę, abyś wie-
 „dział o tem i pochwalał szalone zamiary swojego sy-
 „na. Chociażby moja córka nawet szczerze myślała o tak
 „nierównym związku, o czem wątpię, bom z nią jeszcze
 5340 „o tem nie mówił, to łatwo wielmożny pan dobrodziej
 „wniesiesz, że ja na to nigdy nie pozwolę. Mam na-
 „dzieję, że wielmożny pan dobrodziej, jako człowiek
 „pełen honoru, ocenisz moje powody i stosowne przed-
 „sięweźmiesz środki.“¹⁾)

Gdy pan Starzycki listy te odebrał i przeczytał,
 kazał natychmiast konie zaprzęgać a tymczasem odpisał
 prezesowi. Nic nie mówił żonie i matce dokąd jedzie;
 objawił im tylko, że wróci za dwa dni. Twarz jego
 była spokojna, choć w sercu śmiertelna trwoga. Obszedł
 5350 jeszcze umyślnie całe gospodarstwo, wydał potrzebne
 dyspozycye, powiedział żonie, co rozkazał i czego miano
 dopilnować, a ucałowawszy ręce matki i utuliwszy
 w swem objęciu czulej niż zwykle żonę, która wtenczas
 dopiero w nim postrzegła jakąś zmianę i cokolwiek się
 strwożyła, wsiadł i pojechał.

W tymże samym czasie prezes rozpieczętował od-
 powiedź na swój list, uśmiechnął się i odetchnął wolniej
 znalazłszy następujące słowa. „Możesz jaśnie wielmożny
 „pan dobrodziej być zupełnie spokojnym i nie trwożyć
 5360 „się szalonymi zamiarami mojego syna. Upewnić mogę
 „jaśnie wielmożnego pana, że on ich niema, bo ja o nich
 „nie wiem. Gdyby panna Kamilla była ubogą panienką,
 „przyjąłbym ją z radością pod swój dach i błogosławił-
 „bym niebo za taką synowę. Z takim posagiem jaki ma,
 „nie jest partją dla mego syna. Taki jest mój sposób
 „myślenia. Mój syn zna mnie dostatecznie i wie o tem,
 „że mi nie może być nieposłusznym. Śpij więc jaśnie
 „wielmożny pan spokojnie.“

Położył prezes ten list na stole, złożył ręce pobo-
 5370 żnie, wznosił oczy do nieba, kiwając przy tem głową
 na znak dziękczynienia, i, westchnąwszy jeszcze kilka
 razy, spuścił swe rączki do zwyczajnego położenia, a za-

¹⁾ środki.

cząwszy powoli obracać palcami, rozważał, jak dalej postąpić.

W tejże samej karczmie, gdzie przeszłej jesieni panna Kamilla poznała się z Anulką, zjechał się Szloma z panem Starzyckim około godziny dziesiątej wieczorem. Noc była ciepła, pogodna i widna; nie zajędzali więc obaj na nocleg, tylko kazali dać koniom siana.

5380 Gdy sobie zajrzeli w oczy i poznali się, po pierwszym przywitaniu rzekł Szloma:

— Pan dobrodziej nie myśli nocować?

— Mam pilny interes — odpowiedział. — Ale i ty, panie Szloma, nie każesz zajędzać także?

— Mam także pilny interes — odpowiedział żyd ze zwykłym uśmiechem. — Pan dobrodziej jedzie zapewne do córka, chciałem powiedzieć do córki, do Tra-wisk.

— Skądże o tem wiesz, panie Szloma?

5390 — Domyślam się i nie dziwię się, że pan dobrodziej nie nocujesz. Okoliczność jest taka, że ojcu pilno.

— Więc ty wiesz o wszystkim?

— Wiem i żebym dał dowód, jak pana dobrodzieja szacuję, to mu się przyznam, że ja tam jadę także.

— Prawda, tyś konfident prezesa — odpowiedział pan Starzycki z przekąsem. — Zapewne posyła cię prezes dla przekonania się, że rana niebezpieczna.

5400

— Może pan prezes byłby kontent — odpowiedział żyd z uśmiechem -- żeby rana była niebezpieczna. Ale ja posłany jestem od takiej osoby, któraby połową majątku, a może połową życia zapłaciła, aby tak nie było.

— Więc to panna Kamilla cię posłała?

— Teraz pan dobrodziej zgadł — odpowiedział żyd.

— Czy masz jaki list?

5410 — Nic nie mam — odpowiedział. Mam tylko obaczyć syna pana dobrodzieja, przekonać się, czy nie ma niebezpieczeństwa i jak najprędzej powracać. A może będę mógł co poradzić. Bo pan dobrodziej wie, że ja

jestem syn doskonałego cyrulika i byłem przeznaczony na doktora, nim ożeniłem się i wziąłem się do handlu. Mam nawet z sobą dobre plastry na rany i pudełko z instrumentami, które mi ojciec zostawił w sukcesyi.

— Jedźmyż prędzej, panie Szloma — odpowiedział pan Starzycki, ujęty wyrazem twarzy i tonem mowy tego szczególnego żyda. A potem dodał: —
5420 — Wszakże, jako ojciec, mogę od ciebie wymagać jednego przyrzeczenia?

— Słucham pana dobrodzieja.

— Ja nie aprobuję uczuć mego syna. Nie dlatego, abym nie cenił panny Kamilli...

— A! — rzekł żyd z gestem podziwienia — co to za panna!

— Wiem o tem. Ale ja żądam, aby mi synowa przyniosła w dom błogosławieństwo swoich rodziców,
5430 a nie wielki posag.

— Ja zawsze szanowałem pana dobrodzieja — odpowiedział żyd, zdziwiony takim sposobem myślenia.

— Dlatego — mówił dalej pan Starzycki — chcę, aby mój syn o tem zapomniał; a od ciebie, panie Szloma, żądam i żądam seryo, abyś tym młodym ludziom w niczem nie pomagał i żadnej komunikacyi im nie ułatwiał. Przyrzekasz mi to?

— W tem i mój interes — odpowiedział żyd. — Pan prezes bardzo mi potrzebny, a mógłby się dowie-
5440 dzieć.

— Dowie się przezemnie — rzekł pan Starzycki stanowczo — jeżeli to nie będzie ostatnia usługa tego rodzaju, którą robisz pannie Kamilli.

— Będzie ostatnia, daję panu dobrodziejowi słowo honoru — rzekł Szloma, wymawiając znowu ten ostatni wyraz z pewną pretensją jako dziwnie brzmiący w ustach żyda. — Ale jedźmy — dodał — bo tam biedna panna rachuje kwadransy i minuty do mojego powrotu.

We trzy godziny stanęli przed domem pana Ignacego. Wszyscy tam spali spokojnie i cichość była
5450 zupełna. Uspokojony tem ojciec wszedł do pokoju. Wkrótce pan Ignacy, Anulka i dziadzio byli na nogach i w pół godziny dowiedział się pan Starzycki o wszystkim. Rana pana Józefa była lekka i nic

nie znacząca i nie potrzebowała więcej niż tydzień czasu do zupełnego zagojenia; nie on wyzywał pana Henryka, niczem go nie obraził, ale wyzwany stanął odważnie; nie strzelał pierwszy, choćby mógł być od pierwszej nawet mety obalić swego przeciwnika. Pocięszło to wszystko strwożonego ojca, który, podniósłszy myśl dziękczynną do Boga, kazał obudzić syna i zaprowadził do niego Szłomę.

Gdy pan Józef obaczył przed sobą ojca, podniósł się, wziął jego rękę i, tuląc do ust, zawołał:

— Daruj, ojcze! nie mogłem ci być posłusznym.

— Wiem o tem; uspokój się — odpowiedział poważnie ojciec. — Był to skutek konieczny pierwszej słabości, której nie pokonałeś od razu. Ale o tem potem. Pokaż swą ranę. Panie Szłoma, obacz, ponieważ 5470 cię to interesuje i znasz się na tem.

Żyd odwiązał, obaczył, obmył ranę, dobył ze swego pudełka plaster, okroił go zgrabnie lśnjącymi nożyczkami, położył delikatnie i obandażował. Potem obracając się do obecnych, rzekł z uśmiechem:

— Bądźcie państwo spokojni. Ile się znam na tem, mogę upewnić, że za pięć lub sześć dni zagoi się. Ale potem, żeby się nie jątrzyło, to pan jeszcze ten drugi plaster przyłożysz i już go nie odejmuj, póki sam nie odpadnie.

To powiedziawszy, wziął inny plaster, wy- 5480 kroił znowu kwadratową sztuczkę, zawinał zgrabnie w bilecik panny Kamilli i oddał panu Józefowi. Ale oddając, ścisnął go nieznacznie za rękę i nachyliwszy się, jakby jeszcze chciał obejrzeć bandaż, szepnął mu do ucha: — Niech pan to schowa i przeczyta. — Zaczzerwienił się młody człowiek i plaster znikł pod kołdrą.

— Ale chodźmy — rzekł żyd. — Mnie pilno wracać, a ten pan potrzebuje odpoczynku i spokojności. 5490 Pan dobrodziej sfatygowany także i zmęczony moralnie — dodał, zwracając się do ojca i wymawiając ten wyraz z przyciskiem i pretensją. — Dobranoc państwu! — rzekł, kłaniając się układnie i wyszedł posuwisto i z godnością.

Wkrótce pan Józef został sam, rozwinął papier, poznał rękę kochanki, czytał, czytał kilka razy i całował każdy niemal wyraz, nie zważając na to, że list był adresowany do żyda, że się znajdował w ręku żyda i w kieszeni żydowskiej.

5500 Nazajutrz ojciec wszedł do pokoju syna, usiadł przy jego łóżku, i po kilku zapytaniach łagodnych i okazujących troskliwość ojcowskiego serca, rzekł:

— Mam nadzieję, mój synu, żeś nie zapomniał com ci mówił, gdyś wyjeżdżał z domu.

— O! nie, nie, mój drogi ojcze! nigdy jeszcze w życiu nie zapomniałem żadnego twojego upomnienia. Każde twoje słowo jest dla mnie głosem nieba.

Wyciągnął ojciec rękę, którą syn z rozrzewnieniem ucałował. Po niejakim czasie, wydobywając list 5510 pani Włodzimierzowej, prezesa i kopię swojej odpowiedzi, dodał: — Przeczytaj to Józiu! — Wziął pan Józef listy i przeczytawszy, oddał ojcu. Potem upadł na poduszki! zakrył sobie oczy i tak długo leżał, milcząc.

— Czy pomyliłem się, odpowiadając i rękując za ciebie? — rzekł wreszcie ojciec.

— Nie, nie, mój ojcze! Może to przyplacę zdrowiem, a może nawet... ale któż wie? — dodał prędko, krzepiąc się — Bóg mi dopomóż i myśl o was umocni mnie.

5520 — Daję ci moje ojcowskie błogosławieństwo na tę ciężką drogę, mój synu! Walcz, walcz z sobą samym. Masz do poprawienia ogromny błąd nierozumu i nieumiarkowania. Niech nie myślę, że i ciebie ogarnął ten szal, który na nas wionął. Rzuć okiem naokoło siebie! Wszędzie obaczysz tylko chęci nad siły, zamiary nad sferę, wydatki nad możność, dumę nad stan i urodzenie, pretensye nad naukę i talenta, a stąd wszędzie wstyd i upadek, klęskę i pośmiech. To powszechne szaleństwo, tę próżność ślepą i występłą, uważam za powiew tego ducha zemsty, któremu poruczono 5530 nas karać za wielkie i ciężkie grzechy naszych ojców.

Umilkł poważny człowiek, schylił głowę i ciężko się zamyślił. Syn, milcząc, patrzył na niego ze czcią i podziwieniem, a po chwili rzekł drżącym głosem:

— Ojcie! daruj mi, daruj; jam cię głęboko zasnućiu.

— Prawda, mój drogi! — ale mam nadzieję, że mię pocieszysz. Bądź mężnym, bądź wytrzymałym w tej walce. Bez walki niema cnoty, bez cnoty niema zasługi, 5540 a nam potrzebna ogromna masa zasług, aby nam wyprosiła przebaczenie. A teraz, bądź zdrów! Pisz do matki i do babki. One nie wiedzą o niczem i nie chciałbym, aby się dowiedziały; a sam jedź, jedź mój synu i pamiętaj o tej naszej rozmowie.

To powiedziawszy, uściskał syna, pożegnał się z resztą rodziny i pojechał.

W parę dni potem prezes, widząc córkę spokojniejszą, bo ją Szloma zupełnie uspokoił, zawołał do swego gabinetu, kazał usiąść, i złożywszy, jak zwykle, 5550 rączki na brzuchu, rzekł słodko:

— Jakże się masz teraz, moja droga Kamilciu?

— Dobrze, kochany papo! — odpowiedziała patrząc mu bystro w oczy i przewidując stanowczą jakąś rozmowę.

— Czegoż tak na mnie patrzysz, moja droga? czy cię to zadziwia, że ja z troskliwością pytam się o twoje zdrowie?

— Nie, drogi papo! — odpowiedziała — to mnie zadziwia, że zaczynasz tak z daleka i nie mówisz 5560 wprost tego, co chcesz powiedzieć. Puścił prezes w przędszego młynka swe palce, zaambarasowany taką otwartością i zbity z ułożonej kolei.

— Jezus Marya! — rzekł po chwili, westchnawszy, -- jak to źle, kiedy ojciec nie jest najpierwszym powiernikiem i przyjacielem swojego dziecka. Stąd nieufność we wszystkim, stąd niewiara w jego miłość, w jego troskliwość rodzicielską. A przecież, gdybyś była mogła wiedzieć, jakim się przeraził, gdyś tu upadła bez duszy; jaką rozpaczą, jakim bolem napełniłaś mnie; tobyś nie 5570 mówiła, że zaczynam z daleka, pytając się o twoje zdrowie, bo twoje zdrowie i twoje szczęście bliższe mojego serca, niż moje własne.

— Daruj mi, drogi papo! — rzekła, całując jego rękę. — O tem ja nigdy nie wątpiłam. Sądziłam jednak, że po takim wypadku miałeś mi co innego powiedzieć.

— Ach! rzeczywiście wypadek przykry i jabym rad o nim zapomnieć a nie chciałbym odnawiać twojej rany. Dla panienki bowiem takiej, jak ty, musi to być rzecz bolesna — mówił prezes, przechyliwszy głowę
5580 i kręcąc zwolna palcami — kiedy ucieka od niej kawaler, którego osądziła za przyzwoitą dla siebie partyę.

Wpatrzyła się w niego panna Kamilla, i uśmiechając się boleśnie, odpowiedziała:

— Daruj mi, drogi papo! ale znowu przychodzi mi do głowy. że nie to mówisz, co chcesz powiedzieć.

— Jakto? rzekł, udając zadziwienie prezes — więc to nie odjazd pana Henryka tak cię mocno dotknął.

— Kochany ojcze! — rzekła seryo — ja cierpię mocno, głęboko; piersi moje zalewa ból, oczy co chwila
5590 napełniają się łzami, a ty, ojcze, żartujesz i igrasz z moim smutkiem O! prawdziwie, nie widzę w tem tej miłości, tej troskliwości, o której mówiłeś.

— Więc to o pana Starzyckiego rzecz idzie? — rzekł prezes. — Więc to jego oddalenie, jego pojedynek i rana tak cię przeraziły, żeś upadła bez zmysłów, nie pomyślawszy o tem, co uczuje i jak się przerazi ojciec?

— Wtenczas mnie jedna tylko myśl mój ojcze, opanowała. Zapomniałam o tobie, o sobie, o wszystkim,
5600 myślałam tylko, że go mogę utracić.

Przy tych słowach zaiskrzyły się oczy panny Kamilli i twarz jej okrył rumieniec. Prezes wziął z zimną krwią ze stolika odpowiedź pana Starzyckiego i trzymając ją w dwóch palcach, rzekł:

— Chociaż nie przez pojedynek, moja droga, ale podobno utracisz go na zawsze. Boś ty, widzę, przeznaczona na to, aby się ciebie kawalerowie wyrzekali. Patrzaj, moja Kamilciu! pan Starzycki pisze mi także, że ty nie jesteś partyą dla niego.

5610 Z bladą twarzą, drżącą ręką wzięła panna Kamilla list z rąk ojca i zaczęła czytać. Widać, że ją słowa te uspokoiły, bo znowu lekki rumieniec na twarz jej powrócił. Oddając list ojcu, rzekła:

— Szanuję tę szlachetną dumę zacnego człowieka i wcale inaczej tłómaczę sobie te słowa, niż ty, mój ojcze.

— Jezus Marya; tłumacz je sobie jak chcesz, a sens zawsze jeden i tenże sam wyjdzie, to jest, że pan Starzycki ciebie nie chce.

5620 Uśmiechnęła się boleśnie panna Kamilla i nic nie odpowiedziała. Prezes po chwili milczenia znowu tak się odezwał:

— Dwa razy nam się udało, ale mówią, że do trzech razy sztuka. Według przysłowia więc, a przysłowia zamykają głęboką mądrość, możemy jeszcze raz spróbować. Mam dla ciebie jeszcze jednego pretendenta. Czy pozwolisz mu przyjechać?

— Nie, mój ojcze! to daremnie! — odpowiedziała z mocą. — Ja pana Józefa Starzyckiego kocham 5630 i jeżeli nie będę jego żoną, to nie będę niczyją.

— To nie będziesz niczyją? — rzekł wówczas prezes zupełnie innym tonem, i poprawiając się w krzesło. — Czy rozumiesz, moja panno, że ja będę uważał na twoje romansowe wdychania, na twoje łzy; że się dam zmiękczyć nawet twojemi mdłościami? Nie dla takiej szui pracuję i zbieram. Wybij to sobie z głowy, bo pozwolenia mego nie otrzymasz nigdy.

— Widzisz, papo, — rzekła z zimnym uśmiechem panna Kamilla, — mówiłam dobrze, żeś co innego chciał 5640 powiedzieć!

— Teraz wiesz, com chciał powiedzieć, — rzekł prezes, sapiąc. — A jeszcze dodam ci to, że jeżeli bez mojej woli, bez mego pozwolenia oddasz rękę temu szoldrze, jak Bóg żywy, cały majątek oddam siostrzeńcowi, a ty zostaniesz na suchym chlebie swego pana Starzyckiego.

— Czy myślisz, ojcze, żebym nie była stokroć szczęśliwszą, niż teraz? O! to ci przysięgam na cienie mojej matki! Ale bądź spokojnym tego nie zrobię.. 5650 i nie przez obawę utraty posagu. Mnie idzie o twoją miłość, mój ojcze! o twoje błogosławieństwo, którego byś mi nie dał, a nie o majątek, który byś mi mógł odebrać. — To powiedziawszy, przyklękła, pocałowała go w kolano i wyszła prędko.

Smutno schodziły dni pannie Kamilli. Przed ojcem tylko udawała spokojność; ale gdy na nią nie patrzył, nic jej rozerwać nie mogło. Panna Beldeau, która

szczerze do niej się przywiązała, po próżnych usiłowa-
niach rozweselenia jej, dała pokój i zostawiła ją sobie
5660 samej. Co dzień wieczorem wychodziła panna Kamilla
do ogrodu, przechadzała się do późna w alei topolowej,
która go zdobiła, siadywała na ławeczce, i tak marząc
słuchała szumu drzew, ścigała okiem chmury, które
nad jej głową ciągnęły, płynęła myślą z księżycem,
który bujał po niebie.

Siódmego dnia po rozmowie z ojcem siedziała tak
panna Kamilla pod drzewem; oparła głowę o pień jego
i patrzyła na niebo jasne, błękitne, na gwiazdki, miga-
jące pomiędzy ruszającymi się listkami, na księżyc ci-
chy, milczący, który przez gałęzie drzew do niej zaglą-
5670 dał i na twarz jej rzucał łagodne światło. Wieczór był
późny i cichość zupełna ją otaczała. Wtem poczuła
panna Kamilla, że coś dotknęło jej kolan. Porwała się
z zamyślenia i lekko krzyknęła, obaczywszy Amora,
który podszedł cicho i głowę na kolanach jej położył.

— Amor! Amor! — zawołała, głaszcząc go i po-
wstając. — Gdzie twój pan, Amorze? O! on tu musi
być; prowadź mię, prowadź! — Uradował się pies, po-
kreścił ogonem i, zwróciwszy się nazad aleją, oglądał
5680 się, czy idzie za nim. Ledwie kilkanaście kroków uszła,
gdy postrzegła z daleka kochanka. Stał oparty o drze-
wo z założonemi rękami i nie ruszał się z miejsca,
choć ją widział. Panna Kamilla chciała podbiec ku
niemu, ale czując, że słabnie, usiadła na ławeczce.
Wtenczas pan Józef przystąpił zwolna, usiadł także...
i tak długo siedzieli obok, nie tylko nic nie mówiąc,
ale nawet nie patrząc na siebie. Nareszcie panna Ka-
milla odezwała się złamanym głosem:

— Nie myślałeś o mnie, narażając tak życie. Nie
5690 wiedziałeś o tem, że gdybyś był zginął, jużbyśmy byli
złączeni.. tam.

— Im prędzej, tem lepiej — odpowiedział pan Jó-
zef z głębi piersi. — Bo tu nie będziemy.

— Nie, mój jedyny, nie będziemy — odpowie-
działa, kładąc rękę na jego rękę, którą on utulił
w swoich dłoniach. — Dlatego niepotrzebnieś teraz
przyszedł. Ja dałam słowo ojcu, że bez jego pozwolenia
nie będę twoją; a tymczasem, gdym obaczyła to pocz-

5700 ciwe zwierzę, pomyślałam natychmiast, że ty tu, że twoje konie tu, że mogę się rzucić w twoje objęcia, z tobą uciec i nie odstać od ciebie, aż na katafalku, aż w grobie. O! nie należało przyjeżdżać. — To powiedziawszy, wzięła się za głowę i ścisnęła dłońmi czoło, które widać i teraz jeszcze te same myśli rozrywały.

— Daruj mi to, Kamillo! jam nie chciał i nie spodziewał się ciebie widzieć. O! i ja także dałem słowo ojcu i nie dotrzymałem go. Pierwszy to raz w życiu i ostatni. Jechałem do siebie. O trzy mile stąd spostrzegłem za wzgórkami dwór i ogród z topolami. Przypomniałem sobie Szyszkowce. Niewysłowiona tęsknota ogarnęła mnie, Ty stanęłaś żywo przed myślą, z całym wdziękiem twojej postaci, z całym wyrazem twych oczu, z całą anielską dobrocią twego serca. Zapomniałem o wszystkim i podjechałem tu i wkradłem się jak złodziej, do tego miejsca, aby obaczyć przynajmniej te drzewa, pod ktoremi się przechadzasz i ten dach, pod którym tęsknisz za mną. Bóg mi dał więcej szczęścia, niżelim pragnął. Ale, jeżeli każesz, pójdę natychmiast.

5720 — O! nie, zostań jeszcze — rzekła, kładąc rękę na jego ramieniu i opierając na niem głowę. — Wszak to już raz ostatni. Czyż cię już nic nie boli?

— Nie, moja droga — odpowiedział, obejmując ją i tuląc do siebie — Twoja głowa leży na tem samym miejscu, gdzie była rana. — Podniosła głowę panna Kamilla i pocałowała go w ramię.

— Nie narażaj się nigdy więcej — rzekła, bo ja żyję póty, póki ty żyjesz; bo choć nas rozdzielono, myśli nasze zostaną razem i duszą, tu i tam, wiecznie. Nieprawdaż, mój luby?

5730 Upadł przed nią rozmarzony kochanek i głowę swą na kolanach położył. Ona znowu zaczęła się bawić jego włosami; podniosła jego twarz i tak mu się przypatrywała. Chwila to była straszna. Cienie długie od topoli padały na nieszczęśliwych; ćmiło się coraz bardziej w oczach drżącego młodzieńca; twarz panienki zbliżyła się do jego twarzy a oddech jej obwiewał go, jak tchnienie z raju. Przestraszył się; wspomniał ojca; jakby w oddalonej chmurze, usłyszał te słowa: walcz, walcz, mój synu! i zerwał się z rozpaczą w sercu

5740 i odskakując na kilka kroków, stanął, zatopiwszy ręce we włosach.

Panna Kamilla została na miejscu. Po chwili burza jej serca ucichła i łzy rzewne polały się po twarzy. Długo tak siedziała, potem powstawszy, przybliżyła się do niego i rzekła spokojnie:

— Józiu mój! dobry, szlachetny Józiu! bądź zdrów, bądź zdrów na zawsze! — Chwycił ją młodzieniec w objęcia, usta ich spoily się, i po długim, ostatniem pocałowaniu, po wyszeptaniu bolesnych słów: 5750 bądź zdrów, bądź zdrowa! panna Kamilla wyrwała się z rąk jego i jak mgła zginęła między drzewami.

Stał jeszcze na miejscu młodzieniec. Księżyc już zachodził, ciemniało na dworze, a jeszcze ciemniej było w jego duszy. Nareszcie poszedł, poszedł na prawo w inną ulicę, z tej jeszcze w inną i obszedł po za dom skąd było widać jej okno. Okno było otwarte i oświetlone, a panna Kamilla stała w niem z załamaniem rękami z podniesioną głową i patrzyła w ciemniejące coraz niebo. Ukląkł pan Józef z daleka, wyciągnął do niej 5760 ręce, jęknął głęboko, jak gdyby z tym jękiem serce miało się rozskoczyć i uciekł. Gdy się dzień zrobił, był już o cztery mile od Szyszkwowic.

XII.

Prezes zaspokojony o córkę, która zdawała się tylko zamyśloną i posepną, ale której silne zdrowie cios ten wytrzymało — nie wierząc w stałość takich uczuć i spodziewając się, że czas ją zupełnie uleczy, zwrócił całą uwagę na Czaplince i postanowił rozpocząć wielką swą ekspedycję. Miał prezes oprócz części nabytej od państwa Pożyczkowskich, jeszcze kilka in- 5770 nych drobnych cząstek w Czaplincach. Jedna z nich, jak powiedzieliśmy, graniczyła z bokiem pana Skręckiego i Zarzyckiego, druga dotykała obory pani Biruckiej, trzecia przyległa była do dziedzica pana Remigiusza Smyczkowskiego, czwarta przytykała do ogródka kwiatowego panien Płachcianek, na który wychodziły

także na okna sypialnego pokoju Płachciny. W tymto ogródku latem często ona przesiadywała z córkami i tam im pan Jakób wieczorem grywał na gitarze i śpiewał.

5780 Każda z tych cząstek, chociaż nie mogła przynieść dochodu, ale do celów prezesa wybornie posłużyła. Na każdej z nich leżały już zwiezione zimą stosy materiałów i wszędzie był stróż, który ich pilnował; ale nikt jeszcze nie wiedział, na co to i co gdzie budować miano. Gdy nadeszła sposobna pora, pokazało się mnóstwo cieśli z różnych wsi prezesa, a także i najętych. Rozpoczęły się roboty na wszystkich razem punktach. Rznęto kłody na fundamenta, przygotowywano podwaliny, obciesywano słupy i krokwie, słowem praca szła

5790 szybko, gorąco jak w fortecy, przygotowującej się do szturm i dopełniającej obrony na punktach źle jeszcze obwarowanych. Prezes i sam często wyjeżdżał, popędzał robotników; a gdy się go pytano, co to będzie, odpowiadał grzecznie, układnie, ścisnął za rękę pytających, dzieciom przywoził pierniczki, ale nic nie odpowiedział stanowczo.

Wszakże gdy rozmierzono grunt i pozakopywano kłocy dębowe, na których miały leżeć podwaliny, wyszedł pan Remigiusz, zawołał pana Pawła i zaczęli

5800 miarkować i rozważać. Z rozmiaru budowy, ze stanowiska słupów i ilości przygotowanego materiału, przekonali się obaj bracia, że to miała być ogromna karczma.

— Karczma! niema wątpliwości — zawołał pan Remigiusz.

— Karczma, tak jest — rzekł pan Paweł.

— Karczma, do stu dyabłów, koło moich wrót i pięćdziesiąt kroków od naszej — krzyknął pan Remigiusz i pokręcił węża.

— O pięćdziesiąt kroków od naszej, czy dyabła

5810 zjadł — zaryczał pan Paweł i z tejże samej strony węża pokręcił.

— Ja mu łeb rozwałę, temu szelmie — krzyknął Remigiusz.

— Ja mu kości połamię, temu huncwotowi — dodał pan Paweł.

A tymczasem robotnicy robili świszcząc; i trzaski padały pod nogi rozgniewanych braci. Przyszło im z początku na myśl spędzić kijem cieśli z roboty; ale pomyśleli, że ludzie cudzy, że może który odpłacić kijem za kij, że może się wywiązać proces. Gdy do tych 5820 refleksyi przyszła i ta myśl, że każdy z nich winien był prezesowi po kilka tysięcy, że termin tuż był za pasem, dali pokój gniewom i postanowili udać się z prośbą i perswazją do jaśnie wielmożnego dobroczyńcy, aby im tej przykrości nie robił.

Jednego także poranku pan Skrętski i pan Zarzycki, wywabieni ciąglem stukaniem toporów i krzykiem pracujących ludzi, wyszli każdy na swój tok, spojrzeli na siebie, nie ukłoniwszy się jeden drugiemu i zaczęli 5830 się przypatrywać robocie. Spozrzegli także założone fundamenta i przymocowane podwaliny wielkiego budynku, obaczyli podwody, które zwoziły cegłę i dochodzili, coby to być miało. Budynek założony był tak, że jedną połową dotykał do toku pana Skrętskiego, a drugą do toku pana Zarzyckiego. Od jednego zaś końca szły w pewnych odstępach¹⁾ postawione słupy, na których właśnie cieśle przymocowywali rynwę do sprowadzania wody. Postrzegłszy to pan Skrętski, zbliżył się o kilka kroków do pana Zarzyckiego, a pan Zarzycki 5840 do niego. Gdy już byli w takiej odległości, że mogli się rozmówić, rzekł pan Skrętski:

— Wszak to podobno będzie gorzelnia.

— Zdaje się, że gorzelnia — odpowiedział pan Zarzycki.

— Patrzaj pan — mówił dalej pan Skrętski — w środku²⁾ podkopane fundamenty na mur pod kotły, jak Boga kocham!

— A prawda — odpowiedział pan Zarzycki — wszak to już i słupy pod rynwę wkopane.

5850 — Ba, nawet i rynwę przymocowują — rzekł znowu pan Skrętski, przychodząc bliżej — jak kocham żonę i dzieci!

¹⁾ dystancyach, ²⁾ w środku

— Ładna rzecz gorzelnia pod samym tokiem!
— rzekł pan Zarzycki, jeszcze zrobiwszy parę kroków.

— To nam dyabli tego szelmę nadali! — krzyknął pan Skrętski i znalazł się obok pana Zarzyckiego. — I wtenczas dopiero, podnosząc głowę jeden na drugiego i uchylając czapki, powiedzieli sobie nawzajem:
5860 dobry dzień panu!

— Co tu robić w tem zdarzeniu? — zapytał pan Zarzycki.

— Nie pozwolić! to nie ma sensu, to przeciwko prawu! — krzyknął pan Skrętski. — Odezwiemy się razem, panie sąsiedzie. — I oba zaczęli krzyczeć na ludzi, kazali zaprzestać roboty, perswadując, że gorzelnia nie może być tak blisko tcku. Ale robotnicy nie odpowiadali im ani słowa i, świszcząc, robili dalej. Gniew straszny porwał pana Skrętskiego, chciał już
5870 przeleźć przez płot i kijem spędzić z roboty zuchwałców; ale go sąsiad zreflektował i przypomniał, że prezes ma ich w ręku. Postanowili więc także udać się do wymowy i perswazyi, polegając na rozumie i sercu jasnie wielmożnego dobroczyńcy.

— Wyjdźno mężu i obacz, co to się tam buduje na gruncie prezesa — rzekła na drugi dzień potem pani Birucka, która właśnie była u krów, i widziała, że o kroków dwadzieścia od jej obory wzniesiony już zrab kwadratowego niewielkiego budynku i nawieziona
5880 wielka kupa węgla. Poszli więc oboje i pan Birucki przekonał się, że to miała być kuźnia.

— O, ja nieszczęśliwa! kuźnia tak blisko od mojej obory? a toż ten człowiek niema Boga w sercu — zawołała pani Birucka. — A wszystkiemu toś asan winien — mówiła dalej, mszcząc się na mężu, który zwykle wszystkiemu był winien.

— A toż jakim sposobem mój ty aniołku? — zapytał pan Birucki najłagodniejszym głosem, na jaki mógł się zdobyć.

5890 — A tak, ja dawno mówiłam, że trzeba było spłacić Czapowskiego, kiedy oddawał tę cząstkę za bezcen!

— Ale zładże pieniądze, mój aniołku!

— Nie było pić, nie było się przyjaźnić z Buniem Krzemienieckim, nie było posyłać co moment do Szlomy, nie było, nie było... — wołał coraz silniej aniołek.

— Ale nie było także kupować szalów pomarańczowych, mój aniołku, nie było... — chciał jeszcze coś
5900 powiedzieć, dobywając z szerokiej piersi męztwa i głosu, gdy pani Birucka z zaiskrzonymi oczyma przyskoczyła do niego i krzyknęła:

— Co? ja nie gospodyni? ja marnotrawna? czy to ja nie oszczędzam, nie zbieram, czy to ja nie kradnę przed tobą! opoju? niedołego! Czy to ja jaka Płachcina z biretem i w aksamitach? Czy to ja mam kochanków?... wołała, następując na męża, który coraz ustępował, ale widząc, że żółć rozlała się jej po chudej twarzy, odwrócił się, zatknął uszy i poszedł prędko do
5910 domu. Tam przypomniawszy sobie dług u prezesa, antałek wina i atlasową zieloną suknię żony, westchnął i postanowił udać się z prośbą do prezesa.

W parę dni potem wieczór był śliczny. Pani Płachcina siedziała w altanie, melancholicznie patrząc na pana Jakóba i podnosząc do góry palcem swój przypłaszczony nosek, aby się wydawał zadartym. Pan Jakób mówił jej o pani Włodzimierzowej, która teraz była smutna i samotna po wyjeździe syna za granicę. Pani Płachcina mówiła to o księżnie Polinie, z którą
5920 kiedyś była w przyjaźni, to o hrabi Januszu, który się kiedyś w niej kochał, to nareszcie o prezesie, który ją ciągle inwituje i bardzo podejrzany sposobem zagłada w oczy.

— Co to tu prezes wybudował za ogrodem pani? — zapytał pan Jakób, pokazując na długą jakąś budowę na prędce skleconą, na której już stały krokwie, ale dach jeszcze nie był posyty.

— Nie wiem — odpowiedziała z uśmiechem pani Płachcina — zapewne jakąś galerię dla promedany.
5930 Daje mi to do myślenia — dodała z wyrazem, który obudził zazdrość pana Jakóba, bo *en voyez vous*, na przeciwko mojej altanki jest nawet furteczka w ścianie.

— Ach! ach! prawda — odpowiedział pan Jakób, uzbrowiwszy swój wzrok w wyraz pełny wyrzutu.

— *Soyez-y tranquille Monsieur* Jakób— odpowiedziała, podając mu rękę.

Podano herbatę, przyszły panny Płachcianki, a gdy Żorż, obtarłszy wprzód palcem nos, sprzątnął przybory, 5940 wziął pan Jakób gitarę, założył jedną nogę na drugą, utopił brodę w halsztuku, gdy brał wysokie tony, i zagrawszy preludyum tremolando, zaczął śpiewać: *Te brzóz kilka*. Ale zaledwie skończył pierwszą strofę i powtarzając ostatni wiersz doszedł do uroczego słowa: Lucyna, gdy nagle tuż za nimi powstało ciągle, rozmaite, przeraźliwe beczenie owiec i jagniąt. Porwali się wszyscy, wybiegli z altany i postrzegli wielkie stado owiec, które pastuchy zaganiiali do owego nieskończonego jeszcze 5950 budynku. Niestety! poznała wówczas pani Płachcina, że to nie była galerya dla promenady, z podejrzanym celem wybudowana, ale poprostu owczarnia. Łatwo sobie wyobrazić złość tej damy, tem bardziej, że dostrzegła na ustach pana Jakóba złośliwy uśmiech. Panny Płachcianki nie posiadały się z gniewu.

— Jakto, mamó! — krzyknęła panna Zenobia — więc pod nosem tu będziemy mieć owczarnię! a toż nie będzie można wyjść do ogródka, taki będzie smród okropny.

— Toż rzecz niegodna! — zawołała panna Kryspina — nie będziemy mogły słowa tu przemówić, ani 5960 słyszeć jedna drugiej przed tem ciąglem beczaniem¹⁾.

— To szkaradnie, podle! — dodała pani Płachcina, chodząc arystokratycznie po ogródku. — Pod oknami mojego sypialnego pokoju! toż ja całą noc oka nie zmruję, bo ta bezecna muzyka nie ustanie do białego dnia. — Jakoż dziesiątki owiec wołały: be! inne dziesiątki odpowiadały: me! a jagnięta, pochwyciwszy 5970 głos podany przez matki, oktawą wyżej ciągnęły go dalej bez końca. Pani Płachcina sapała ze złości, a panny Płachcianki załamywały ręce. Poszli wszyscy do pana Płachty szukać rady. Pan Płachta zgryzł się okropnie,

¹⁾ za tem ciąglem beczaniem

szczególniej dlatego, że to było zupełnie nie komilfo, mieć owczarnię pod nosem. Ale, że z natury nie był bardzo odważny a więcej kroił na dyplomate, nie rzucił się więc jak Ajax między te owce, aby je w pień wyciąć, ale postanowił także udać się do prezesa z perswazyą i wymową. Tymczasem panienki zatykały uszy, pan Jakób schował gitarę, jako już niepotrzebną, bo beczenie w rozmaite fugi i tony dochodziło

5980 aż do pokoju.

Prawie razem przybyła cała deputacya Czapli-
niecka do prezesa. Wysłuchał każdego z uwagą, prze-
chyliwszy głowę i kręcąc jak tylko można najpowniej-
szego młynka. Gdy się pan Skrętski unosił a pan Re-
migiusz powiedział mu nawet grubiaństwo, kiwał pobo-
nie prezes głową, jakgdyby wszystkie te gniewy i nie-
słuszne pretensye ofiarowywał Panu Bogu. A gdy skoń-
czyli, zaczął ściskać ich za ręce, prosił siedzieć i tłó-
maczył się i uniewinniał, że mu nawet do głowy nie
5990 przychodziło zrobić przykrość tak zacnym sąsiadom, że
chciał tylko mieć jakakolwiek korzyść z tych poroz-
rzucanych cząstek, które mu nie przynosiło żadnego
dochodu i które tylko z miłosierdzia i przez ludzkość
ponabywał. Ale teraz, kiedy wie, że to im tak niemiło
to najserdeczniej im dziękuje. że go ostrzegli i będzie
się starał, aby jak najprędzej zaspokoić ich trwogi.
W domówienie do tej oracyi poprosił ich do sali, gdzie
zastawione było sute śniadanie. Rozweseliło się grono
widokiem najrozmaitszych wędlin, półmisków befszteku,
6000 kotletów, ogromną salaterką najdoskonalszego bigosu,
a szczególnie baterią butelek, w której środku¹⁾, jak
dwadziesto czterofuntowa armata, stał srebrny wazon,
z którego sterczała okrągława główka butelki z szam-
panem. Po śniadaniu wszyscy z rumianą twarzą i iskrzą-
cemi oczami pożegnali jaśnie wielmożnego dobroczyńcę
i zaniósłszy do domów nadzieje i uspokojenie, oczeki-
wali cierpliwie skutku obietnic prezesa.

A tymczasem na ułożonych już podwalinach
wznosiły się słupy i szkielet karczmy coraz widoczniej
6010 rysował się w oczach panów Smyczkowskich; gorzelnia

¹⁾ środku.

rosła jak na drożdżach i kocioł ogromny już wmurowywano; kuźnia pokrywała się dachem, z którego wylał komin, mający wyrzucać iskry na oborę pani Biruckiej; a owce, beczwały wieczór, beczwały w nocy i rano, tak, że oczy pani Płachciny pobladły od bezsenności, a twarzyczki panien Płachcianek straciły czerstwość od braku świeżego powietrza.

Poznali wówczas wszyscy, że prezes z nich sobie żartował i krzyk powszechny na jaśnie wielmożnego dobroczyńcę powstał w Czaplicach. Powiększyła się 6020 wrzawa a zarazem trwoga ogarnęła wszystkich, gdy jednego dnia Mortko, ów poczciwy i usłużny Mortko, obszedł wszystkie domy, pokazał każdemu długi rejestr i prosił o pieniądze. Wszędzie mu naturalnie odpowiedziano, że niema, bo u kogoż są pieniądze na przednówku na wiosnę, gdy w polu dopiero nadzieja? Żyd pokiwał głową, westchnął, że mu bardzo potrzeba; ale wreszcie, biorąc na rozum tłómaczenia się i eksplikacye swoich dłużników, wydobył rewersiki każdego, zsumo- 6030 wał cały dług, położył do tej sumy dziesiąty procent, i podając każdemu walorowy papier, żądał, aby mu każdy wydał formalny weksel z terminem trzymiesięcznym. Kontenci, że się tak niewielkim kosztem zbyć mogli żyda. — bo cóż to kosztuje wydać weksel, kiedy jeszcze dostarczają papieru — wszyscy wypełnili żądanie Mortka, który, kłaniając się grzecznie i zapytując czy jeszcze czego nie trzeba, zdarł wszystkie uprzednie rewersiki i poszedł.

We dwa dni potem z takimiż, tylko jeszcze dłuż- 6040 szymi rejestrami i z większą układnością i grzecznością, zjawił się Szloma. Gdy mu podobnie odpowiedziano, że pieniędzy niema, zsumował także rewersiki, a ponieważ się znajdowały i trzechletnie, przydał do całej sumy dwudziesty procent i podając każdemu walorowy papier, prosił o weksel. Trudno się było wymawiać i wykręcać, chociaż Szloma krótszy jeszcze naznaczał termin; wiadziano bowiem, że Szloma nie żartuje, że ze wszystkimi urzędnikami w przyjaźni, że jak się uprze to za bezcen weźmie remanenta. Każdy zatem chwycił się podanego 6050 środka odczepienia się od żyda, tem bardziej, że śro-

dek¹⁾ był łatwy, — bo cóż to kosztuje wydać weksel, kiedy jeszcze dostarczają papieru. Zrobili więc wszyscy czego żądał. Szloma składał w pugilares czysty i elegancki weksel do weksla, zdzierał wszystkie rewersiki, i z uśmiechem i godnością podając piękną swą rękę każdemu z tych panów, kłaniał się i wychodził.

W tydzień potem, gdy wszyscy zebrali się na śniadanie do pana Płachty, ponieważ to był jeden moment komilfo, owce bowiem znajdowały się w polu i nie beczwały, gdy cała kompania wykrzykiwała na prezesa; a ten i ów podochocony zaczynał drwić z Mortka i ze Szlomy, których się tak tanim kosztem pozbyli; zajechał na dziedziniec posłaniec prezesa, który dowiedziawszy się, że wszyscy panowie znajdują się u pana Płachty, prosił o pozwolenie wnijsćia i, gdy wszedł, wyjął ze swojej teczki z dziesięć listów jednostajnej formy i wielkości, rozdał je wszystkie, a gdy przekonał się, że każdy ma w rękę; co do niego było adresowane ukłonił się i wyszedł.

6070 Spojrzeli po sobie panowie i jakoś leniwo brali się do odpieczętowania. Pierwszy pan Skrętski, jako człowiek żywy, choć wysoki i chudy, zdecydował się rozerwać kopertę i, gdy przeczytał, podniósł list do góry i trzęsąc nim, zawołał: — A, to szelma! — na ten odgłos wszyscy rzucili się do kopert, przeczytali, i wkrótce taka sama klątwa z różnemi modyfikacyami i przydatkami rozległa się po pokoju. Gdy skonfrotowali potem swoje listy, przekonali się, że wszystkie były jednej treści, słowo w słowo zawierały to samo, 6080 jedną i tą samą ręką były pisane. Cyfry tylko, jak najstaranniej wykaligrafowane, były różne u każdego. Tak zaś brzmiały te odezwy: „Wielmożny mości do- „brodzieju! Z okazji zbliżającego się terminu wypłaty „należącego mi długu, w moc wekslu wydanego dnia.. „grudnia 1838. roku, oraz przyjąwszy od Mortka „i Szlomy, jako gotowe pieniądze za arendę, której „z przyczyny nieuiszczenia się wielmożnego pana do- „brodzieja nie mieli czem zapłacić, przyjąwszy, mówię, „za gotowe pieniądze weksle wielmożnego pana dobro-

¹⁾ szrodek.

- 6090 „dzieja, wyżej rzezonym żydom dnia tego i tego wydane,
 „mam honor oświadczyć, że potrzebując gwałtownie
 „pieniędzy, czekać tylko mogę do dnia i godziny ozna-
 „czonej w wyżej rzezonych wekslach; po upłynieniu
 „których, jeżeli nie otrzymam zadośćuczynienia, zmu-
 „szonym będę udać się pod opiekę praw i sądownie
 „poszukiwać swojej własności. Spodziewam się i ufam,
 „że wielmożny pan dobrodziej uwolnisz mię od tego
 „kroku, do którego wyżej rzezone gwałtowne moje po-
 „trzeby zmuszą mnie i przywiodą niezawodnie. Mam
 6100 „honor być z najgłębszem uszanowaniem i serdeczną
 „życzliwością wielmożnego pana dobrodzieja najniższym
 „sługą.“

Opadły ręce naszym panom. Zasiedli w kółko na krzesłach, każdy ze swoim listem w ręku. Siedzieli tak długo w milczeniu, w milczeniu poważnem i uroczystem, jak niegdyś owi senatorowie rzymscy na krzesłach kurulnych, gdy oczekiwali Gallów.

XIII.

- Externus timor maximum concordiae vinculum,*
 powiedział stary Liwusz. Wielka ta prawda rzymskiego
 6110 historyka nawet i do Czaplinców tym razem¹⁾ zastosować
 się dała. Ustały gniewy, zaczęły się schadzki. odwiedzi-
 ny, wzajemne naradzania się, ściskanie rąk, a nade-
 wszystko częste zachodzenie i wzajemne zapraszania się
 do Mortka, który, wytrzymawszy pierwszy wybuch za
 ustąpienie swoich weksłów prezesowi, zyskał znowu
 względy i ufność, daniem, jak pierwiej, na kredyt.
 Gdy raz panowie Smyczkowsy, pan Skrętski i pan Za-
 rzycki zeszli się u niego, żyd, korzystając z tej zręcz-
 ności, podał im myśl, aby części swe w Czaplincach od-
 6120 przedali prezesowi, dodając ze znaczącym uśmiechem
 i kiwaniem głowy, że tym tylko sposobem pozbędą się
 biedy. Wtenczas otworzyły się im oczy. Poznali, że
 Mortko był kreaturą i agentem prezesa i, obszedłszy

¹⁾ tą razą.

wszystkich braci postanowili zrobić formalny związek i wspólnymi siłami opierać się tak zgubnym zamachom. Zebrali się więc wszyscy u pana Płachty. Pan Skrętsky objawił swoje myśli, wyłożył całą chytrą postępowania prezesa, przypomniał jego sposoby z ową wdową w Żurawce, mówił z ogniem o karczmie, która się
 6130 wznosiła przy samej bramie pana Remigiusza, o gorzelni, od której miały spłonąć ich toki, o kuźni, która miała podpalić oborę pani Biruckiej i o tej nieszczęśliwej owczarni, od której pani Płachcina miała dostać suchot. Dalej wyłożył całą piekielną chytrą, z jaką na ich zgubę nadstawiony był Mortko; jak od dawnego czasu, z poduszczenia prezesa, czyhał na nich Szloma; jak nareszcie ten sam prezes ze zdrazieckiem przymileniem wciągnął ich w swoje sidła, pożyczając z taką łatwością tak wielkie sumy i dostarczając nawet walorowego pa-
 6140 pieru. Jasno, jak na dłoni, wyłożył potem mówca cały plan prezesa i jego nieustanne dążenia do owładnięcia ich majątkami. — Chce nas wydziedziczyć, chce z torbami puścić! — wołał z zapałem, powstawszy z miejsca i bijąc ręką o stół, że aż się okna trzęsły. — Czyż na to panowie pozwolicie? czyż nam nie stanie dosyć sił, dosyć energii, aby się temu oprzeć? Prawda, winniśmy mu wiele, czasy złe i dochodów niema; ale czyż nie możemy sprzedać naszego zboża na gruncie, kiedy się tak pięknie zieleni? czy nie możemy pozbyć się
 6150 wszystkiego, co niepotrzebne, co zbyt kowe? Będziem chodzić piechotą, spać na sianie, odziewać siebie i żony nasze płótnem, karmić się nakoniec suchym chlebem, byle prezes nie tryumfował, byleśmy nie byli zmuszeni wyzuwać się ze swojej własności. Czy zgoda?

— Zgoda! zgoda! — krzyknęli wszyscy.

— Przyrzeczmyż sobie jedność, wspólne działanie, nie żałowanie żadnej ofiary, bo tu idzie o dach, który okrywa nasze żony i dzieci...

— Przyrzekamy! przyrzekamy! — zawołali i wszyscy
 6160 kie ręce spłotyły się węzłem jedności, przyjaźni i zgody.

— A teraz przystąpmy do wybrania prezesa naszego związku — rzekł pan Skrętsky, czerwieńjąc się i spuszczać oczy skromnie, bo się spodziewał, że jednogłośnie okrzykniętym zostanie. Wszakże oszukał się

w swoich nadziejach czapliniecki Cycero. Chociaż wszyscy słuchali jego filipiki z zajęciem i aplaudowali jego wymowie, nikt się jednak nie odezwał. Zaczzerwieniła się znowu twarz pana Skrętskiego, ale już nie ową skromnością oczekiwanego wyboru, lecz gniewem, gdy 6170 pierwszy pan Zarzycki a za nim pan Cepowski, którzy przy tej okazji przypomnieli sobie swoje gęsi i prosięta zaproponowali pana Płachtę. Tu znowu okazał jawną opozycję pan Birucki. Przypomniawszy sobie żonę i wyobraziwszy sobie to piekło, jakieby miał w domu, gdyby się na takie wyniesienie pana Płachtę zgodził, zaproponował pana Remigiusza. Pokręcił pan Remigiusz wąż z lewej strony, co zwykle czynił, gdy był kontent, i spojrzął na brata, aby wybór jego poparł. Ale pan Paweł, będąc aż nadto przekonany, że miał 6180 więcej rozumu, chociaż brat lepiej grał na skrzypcach, niż on na klarynecie¹⁾, że zatem był godniejszym do piastowania takiej godności, zdziwił się, czemu wybór nie padł na niego i zmarszczywszy brwi, pokręcił wąż z prawej strony. Spostrzegł to pan Remigiusz i nie spodziewając się, że się utrzyma, kiedy go nawet brat opuszcza, rzekł się powierzonego sobie urzędu i zaproponował znowu pana Płachtę. Tak więc po wielu krzykach, po zaciętych debatach i sporach, w których już przychodziło do zerwania całego związku, z po- 6190 średnictwem²⁾ pana Jakóba, który się w połowie sesyi zjawił i melodyjnym swym głosem opanował serca i gniewy złagodził, wybrano nareszcie znaczną większością pana Płachtę. W nagrodę zaś tak czynnego udziału, jaki miał pan Jakób w szczęśliwym dojściu do skutku zbawiennego dzieła, a bardziej z tego względu, że jako syn Muz, zdolniejszym był do pióra od innych, jednomyślnie obrany był sekretarzem związku.

Wtenczas otworzyły się drzwi. Pani Płachcina, na której twarzy odbijał się nowy lustr, który padał na 6200 całą rodzinę, weszła otoczona córkami i powinszowała mężowi. Za nią szedł Żorż w libery i trzymał tacę, na której był kielich i butelki z winem. Pierwsza pani Płachcina wypita zdrowie męża i kolej poszła rzędem

1) klarenecie. 2) pośrednictwem.

Pili potem zdrowie pani prezesowej, zdrowie panien prezesówien, zdrowie sekretarza, a gdy podano więcej butelek, zdrowie każdego z członków związku z osobną, potem zdrowie całego związku w ogólności, potem Czaplinię; nareszcie pan Birucki, zapomniawszy o żonie i o świecie, ditto na kolanach wniósł zdrowie prezesa 6210 związku. Wszyscy po kolei klęcząc wypili zdrowie pana Płachty, a potem, krzyknawszy, aby podano więcej kielichów, wszyscy klęcząc, ściskając się, całując i płacząc, wypili zdrowie: kochajmy się!

Nazajutrz, gdy każdy przypomniał sobie, co się wczoraj stało i opowiadał żonie całą kolej wypadków w miarę tego, jak mu się rozjaśniało w głowie, wszedł pan Jakób do pana Skrętskiego i z polecenia prezesa objawił mu, że się mają obaj udać do pana Starzyckiego w deputacyi i zaprosić go do związku.

6220 Gdy stanęli pod tym dachem cichym i spokojnym i przed człowiekiem poważnym, którego wzrok przenikliwy padał na nich z pewnym rodzajem wyższości, pan Skrętski cokolwiek się zmieszał i nie wiedział od czego zacząć. Ale nareszcie rozgadał się i ze zwykłą sobie krzykliwością rzecz poselstwa swego wyłożywszy, cały wypadek dnia wczorajszego opowiedziawszy, do związku przeciw zamachom prezesa w imieniu wszystkich i pana Starzyckiego zapraszał. Uśmiech jakiś przebiegł po ustach poważnego człowieka, a za nim nastąpiło 6230 krótkie, ale stanowcze odmówienie.

— Czyż pan myślisz — zawołał pan Skrętski — że on pana pożałuje, dlatego, że panu baki świeci i kłania się? To filut, jakich jeszcze nie było.

— Prezesa znam dobrze — odpowiedział pan Starzycki — zamiarów jego domyślam się, a co będzie, tego nie wiem. Żyję pod opieką praw i pod opieką Boga, wierzę w skuteczność pierwszych i w sprawiedliwość Opatrzności. Pewny zatem jestem, że jeżeli sam w dół nie wleżę, nikt mię weń nie wepchnie.

6240 — A, obaczmy — rzekł pan Skrętski, przygryzając wargi.

— Naturalnie, jeżeli żyć będziemy — odpowiedział pan Starzycki.

— Więc nam pan stanowczo odmawiasz?

— Odmawiam — odpowiedział — i dziwię się nawet, że panowie, znając mój sposób życia i mój sposób myślenia, przychodzicie z taką propozycją.

— I nawet słowem, jeżeli nie czynem, nie zechcesz poradzić braciom i sąsiadom? — rzekł pan Skrętski.

— Każdy najlepiej radzi sobie sam — odpowiedział — bo każdy za siebie odpowiada. Ale jeżeli panowie chcecie...

— Powiedz pan, nie zatrzymuj się. My wiemy żeś pan człowiek myślący i z doświadczeniem. Cóż pan nam radzisz?

— Radzę panom — odpowiedział — abyście tę piękną modlitwę pacierza: „Daj nam pamięć dobrą, rozum dobry, bojaźń boską, miłość ludzką“, którą odmawiacie zapewne po raz i bez uwagi, odmawiali po trzy razy i z zastanowieniem się nad jej głęboką mądrością.

— I więcej nic? — zapytał pan Skrętski, spojrzawszy z szyderstwem.

— Jeszcze radzę panom, abyście codzień rano i w wieczór przypatrywali się tym dwom palcom lewej ręki, z których jeden dłuższy a drugi krótszy.

— I na cóż to? zapytał z gniewem pan Skrętski?

— Na to — odpowiedział — abyście panowie pamiętali, że ten dłuższy powinien oznaczać waszą perceptę, a ten krótszy wasz ekspens. Więcej już panom nic nie mam do powiedzenia.

Pan Skrętski odwrócił się z pogardą i wyszedł, a gdy byli za bramą, zawołał:

— To gałgan, egoista, bratać się chce z wielkim panem. Zapłaci on mu za to.

— Może spodziewa się jeszcze, że prezes za synka jego córkę swą wyda — rzekł pan Jakób. — Pani Włodzimierzowa mi o tem mówiła — a co?

— Dureń! — krzyknął pan Skrętski — da on mu figę, nie córkę! — i poszli do pana Płachty zdać sprawę ze skutków deputacyi. Pan Płachta, jako dyplomata, nie łajał pana Starzyckiego, nie hałasował wcale, ale zrobiwszy tylko tę uwagę, że nie jest wcale komil-

fo tak kuso przyjmować deputacją, którą on wysłał i pokazywać jej dwa palce, naznaczył sesję generalną na przyszły wtorek, gdzie miano materję tę roztrząsnąć i przedsięwziąć stanowcze środki przeciwko wspólnemu nieprzyjacielowi.

Ale w księdze wyroków, inaczej było napisano. Właśnie, gdy pan Sreński, upokorzony przyjęciem pana Starzyckiego i zdawszy z niego sprawę wracał do domu zły i głodny, spostrzegł na swoim dziedzińcu cudzego chłopca i dziewczynę, którzy z jego ludźmi szarpali się i ciągnęli do siebie za jedno skrzydło gęś, którą kobieta państwa Skreńskich trzymała za drugie i wrywała im z całej mocy. Krzyczała biedna gęś od gwałtownego bólu, krzyczał chłopak i dziewczyna, że to ich gęś, krzyczały kobiety domowe, że ich; pani Placyda, stojąc na ganku otoczona dziećmi, piskliwym głosem powiększała wrzawę, którą pokrył grzmiący głos pana Skreńskiego, wpadającego na tę scenę, jak aktor czynny i straszliwy. Pan Skreński nie rozsądził tej sprawy, jako niegdyś król Salomon spór dwóch matek, ale kijem, który miał w ręku, zaczął grzmocić chłopca i dziewczynę, a poznawszy ich, że to byli ludzie pana Zarzyckiego, podwajał razy, zachęcając, aby ich potowę oddali swemu panu. Gdy biedni ludzie zbici i złajani, uciekli, wyrzekłszy się swojej gęsi, zaniesiono ją do kuchni i, żeby się nie męczyła, zarznięto.

Wypadek ten ważne za sobą pociągnął skutki. Pan Zarzycki, przyprowadzony do ostatniej niecierpliwości, wyszedłszy wraz z synem na ganek, zaczął łajać i wymyślać na pana Skreńskiego. Usłyszawszy to pan Skreński ze swojej strony wyszedł i wybuch gniewu był tem okropniejszy, że długo pokrywana i tajona zawziętość otworzyła sobie nareszcie krater, i z płomieniami, dymem i lawą wyrzuciła się w powietrze. Nareszcie pan Zarzycki pogroził panu Skreńskiemu śledztwem i kazał natychmiast synowi osiodłać konia i udać się do Stanowego. Wrócił pan Skreński do pokoju, sapał i żymał się, kłął i krzyczał, aż nareszcie, zbliżywszy się do swego stolika, żeby napisać także do Stanowego i całą rzecz objaśnić, spostrzegł list prezesa i wielką cyfrę długu najstaranniej wykaligrafowaną. Przyszła mu myśl

światła; uśmiech zemsty przebiegł po jego ustach, porwał się z miejsca i zawołał: — Chcesz śledztwa? do-
brze, będziesz miał tu niejedno śledztwo, ale nie zemną.
6330 Kazał więc natychmiast zaprzęgać konie, pojechał do
prezesa i pierwszy ów założyciel pamiętnego związku,
ów orator gwałtowny i zawzięty, na złość panu Zarzyc-
kiemu część swoją odsprzedał. Przyjął go prezes otwar-
temi rękami, nie targował się ani chwili, wziął ekspensa
na siebie i jeszcze zaprosił na obiad. Gdy przedugodne
punkta przy uproszonych świadkach były podpisane,
prosił tylko pan Skrętski o pozwolenie pomieszkania
przez miesiąc lub dwa i o sekret na takiż termin.

Tegoż samego dnia, bo jak pomyślności tak i kłę-
6340 ski lubią się skupiać i spadać razem, pani Birucka wy-
szła przed wieczorem na ogródek, z którego widać było
dziedziniec pani Płachciny. Owce, wracające z pola nie
pozwały przechodzić się po ogrodzie i przesiadywać
w altanie, musiała więc pani Płachcina z córkami uży-
wać gdzieindziej świeżego powietrza. Dostąpiwszy tak
wysokiej godności w Czaplńcach, nie zdejmowała już
teraz aksamitnej sukni i biretu i tak przystrojona prze-
chadzała się po podwórzu. Zabawnem się to pokazało
pani Biruckiej do tego stopnia, że się w głos zaśmiała.
6350 Obrażona pani Płachcina, przypomniawszy sobie fałszy-
wy przepis na baby i rozmaite ruszania ramionami,
zbliżyła się z arystokratycznym chwianiem się ku płotowi
i rzekła z powagą:

— Cóż to asanią tak śmiesz?

— Asanią! — zawołała pani Birucka. — Aj! pa-
trzej, jaka mi wielka pani! — Od słowa do słowa przy-
szło do ostrych przycinków. Przyszłoby i do ostrzej-
szych, tem bardziej, że i panny Płachcianki zaczęły się
już odzywać i panny Biruckie także wybiegły, niosąc
6360 sukurs matce; ale pani Płachcina, nie chcąc kompromi-
tować nowej swojej godności, odwróciła się z powagą i po-
szła. Wszakże nazajutrz rano, niewiadomo czy to była swa-
wola¹⁾ panienek, czy wzajemny rozkaz matek, na bramie
pani Płachciny napisane było wielkimi literami

¹⁾ swywola.

słowo: *Owczarnia*, a na bramie pani Biruckiej słowo: *Kuźnia*.

Tu już wszelkie względy ustały i eksplozja gniewu, zapalczywości i zemsty rozległa się, jak huk burzy. 6370 Wróciwszy ze swojego ogródka pani Birucka, gdzie się od ostatnich słów skłóciła z panią Płachciną, napadła pozostałym jeszcze zapasem furii na męża. Nie chciała ani chwili zostać w sąsiedztwie swojej nieprzyjaciółki i kazawszy natychmiast zaprzęgać, i zabrawszy z sobą pana Biruckiego i potrzebne dokumenta, pojechała do prezesa, którym, także na złość swojej sąsiadce, część swą odsprzedała. We dwa dni potem pan Remigiusz Smyczkowski, położywszy przed sobą list prezesa, zaczął 6380 obliczać wszystko, co może mieć, obrachowywać sperandę z pola, oceniać remanent, meble, suknie, słowem wszystko oprócz skrzypców. Spostrzegł, że jeszcze więcej niedostaje. Posłał więc do żyda, który siedział na ich wspólnej karczmie i od czasu pojawienia się Mortka znacznie tracił, aby mu przyniósł tenutę za ostatni kwartał. Przybiegł żyd przestraszony i oświadczył, że 6390 wczoraj wszystkie pieniądze zabrał pan Paweł. Gniew nadzwyczajny porwał pana Remigiusza. Przypomniawszy sobie ową haniebną dezercję brata w czasie wyborów i chcąc tymczasem spędzić złość na tym, kto był pod 6400 ręką, wyszturczał żyda, jak śmiał oddać pieniądze bez jego wiedzy, kiedy to karczma wspólna.

— Nu — zawołał żyd — co mnie do tego? Pan Paweł także gniewał się i mówił, że pan jemu z przeszłego kwartału nie dał ani grosza.

— Łżesz! — krzyknął pan Remigiusz — i ten łąjdak łże także. Ale poczekajcie, dam ja wam, wypędzę cię, huncwocie!

— Aj waj! co to z tego? ja i sam już nie chcę.

— Nie chcesz? nie chcesz, kanalio! a kontrakt, 6400 szelmo! a kontrakt?

To mówiąc, trzymał żyda za rękę; i okładając go cybuchem, obracał się z nim w kółko.

Wyrwał się żyd z rąk pana Remigiusza i pobiegł krzycząc do pana Pawła. Ale trafił z deszczu pod rynnę. Pan Paweł wpadł w nadzwyczajną wściekłość na brata, a gdy żyd obraził go jeszcze jakimśś słowem, wykro-

pił także żyda i wypędził. Odebrawszy tym sposobem przez prokuracyę wielkie ciężki, arendarz dwóch braci zgodnych wracał, płacząc do domu, ale jakież było jego
6410 podziwienie, gdy obaczył pana Remigiusza, który zwołałszy naprędce ludzi z toporami, piłami i drągami, kazał karczmę rozbierać.

— Aj' waja! Co pan robi? — zawołał żyd nieszczęśliwy.

— Nie dajecie mi pieniędzy — odpowiedział zimno pan Remigiusz, — to ja swoją połowę zabieram. — Dowiedziawszy się o tem pan Paweł, zawołał:

— O! kiedy tak, poczekajże, to ja ci zrobię lepiej. — I kazał zaprządz konie, pojechał do prezesa
6420 i na złość bratu część swoją odprzedał.

Tym sposobem prezes był już posiadaczem prawie połowy Czapliniec, a nikt jeszcze o tem nie wiedział, prócz tych, co sprzedali, bo każdy prosił o sekret. Pan Zarzycki tylko nie mógł zmiarkować, co to znaczy, że pan Skrętski, spotkawszy go, ukłonił mu się z umizgiem i ironią. Pani Płachcina zadziwiła się, że pani Birucka, wyszedłszy na ogródek, przybliżyła się umyślnie, aby była lepiej widziana, a gdy pani Płachcina-na nią spojrzała, wzięła się za poły i bardzo nisko jej dygnęła.
6430 Pan Remigiusz także nie pojmował, dlaczego mu brat nie mówi ani słowa za rozebranie części karczmy, ale przechadza się spokojnie, pali fajkę, spogląda na niego z uśmiechem i z lewej strony węża pokręca.

Łatwo się czytelnicy domyślą, że wtorek minął, a sesji generalnej nie było. Pogłoska o wzajemnych kłótniach i zatargach najcelniejszych członków związku rozeszła się prędko i nikt z pozostałych nie chciał się ryzykować. Widząc to pan Płachta i zważywszy, że żadne środki¹⁾ z prezesem nie pomogą, że mu winien wiele,
6450 że żyjąc komilfo jak nic wprzód nie zebrał, tak i na przyszłość nie zbierze, wziął na sekret żonę i z dyplomatycznym uśmiechem objawił jej, jakiego figla chce zrobić sąsiadom i jak zręcznie pozbędzie się kłopotu. Żona, która także ze swojej strony chciała pozbyć się owiec i pani Biruckiej, rękami i nogami chwyciła się

¹⁾ śrzodki.

projektu męża. Ułożyli się więc o cenę, jaką miał zaproponować, ale że to był dyplomata, prosił żony o sekret, by myśl jego nie rozleciała się po Czaplińcach, aby go nikt nie uprzedził i ceny nie zbił. Zabrawszy więc potrzebne dokumenta, cichaczem, manowcami, niby w zupełnie inną stronę wyjeżdżając udał się do prezesa i na złość sąsiadom część swoją odprzedał.

Gdy te najważniejsze transakcye były napisane, podpisane i posłane do akt, wtenczas dopiero prezes podniósł głowę i rzecz cała gruchnęła. Krzyk powstał na zdrajców, ale już było za późno. Każdy z pozostałych miał pod bokiem prezesa i każdy prędko to uczuł. Wszystka woda we wsi była w jego ręku. Pan Starzycki tylko miał sadzawkę pod swoją brzezinką, obfitą i rybną, ale ta była starannie ogrodzona, zamknięta i wystarczała tylko dla jego bydła i koni. Do pól, także do sianozęci, wszędzie trzeba się było otrzeć o prezesa, lub się przez jego grunt przedzierać. Wszędzie tymczasem były warty, nigdzie nie puszczano, grabiono, jeżeli co wpadło i zagnano do swojej ziemi obchodzić po pół mili i więcej. Zmuszeni taką surowością, przyćmieni długiem, którego termin ekspirował, jedni po drugich zbywali swoje posiadłości, tak, że ledwie lato upłynęło, a już prezes był panem całych Czapliniec, wyjąwszy części pana Starzyckiego.

Cicho było, ale smutno w tym zacnym domu. Brama ciągle była zamknięta, ostrożność największa nakazana, aby nikt z ludzi nie śmiał stanąć na gruncie prezesa, aby po nic się nie udawał do żadnego z jego poddanych, aby nie ważył się dopuszczać najmniejszego zatargu, najmniejszej kłótni.

Pan Starzycki zrobił się jeszcze bardziej zamyślonym i milczącym, ale uczucie swojego prawa, ciepłość, którą czerpał w rozumie i sumieniu i rezygnacya, która spływała z nieba do tej duszy szczerzej, pobożniej, nadawały jakiś dziwny majestat i rozrzewniający wyraz jego twarzy. Patrząc na ten stan syna dziadzio, czasem był do łez wzruszony, czasem zupełnie innych doznawał uczuć: gniewał się, zapalał i zaczynał grozić cereśnią.

XIV.

Bał się prezes pana Starzyckiego, nie dla tego, aby mu imponowała cnota i rozum, aby miał to przekonanie, że krzywda, uczciwemu i niewinnemu człowiekowi zrobiona, czy prędzej, czy później odbiera zasłużoną karę; ale po prostu przez wzgląd na córkę, której determinację znał, której miłość widział, chociaż udawał, że nic nie spostrzega. Postanowił więc ponętą zysku trafić do jego przekonania i posiąść koniecznie i ten kawałek ziemi, który leżał w środku¹⁾ jego obszernej dziedziny i ciągle drażnił jego zdobywcze serce. Chciał naprzód przez Szłomę rozpocząć te negocjacje, ale Szłoma z wielkiem podziwieniem prezesa, odradzał mu zaczepiać pana Starzyckiego i niczego podjąć się nie chciał. Wysłał więc Mortka i przez niego kazał mu ofiarować po siedemdziesiąt i po siedemdziesiąt pięć dukatów za duszę. Ale pan Starzycki odpowiedział, że ziemi, którą ojciec jego ciężką pracą wysłużył, którą on ulepszył, obrobił i upiększył, na której porodziły się i wychowały jego dzieci, za nic i nikomu nie odstąpi. Po niejakiem czasie znowu prezes przez jednego ze swoich oficjalistów jeszcze korzystniejsze ofiarował warunki, ale taką samą odebrał odpowiedź. Wtenczas, nie zważając już na nic, mając, jak mówił spokojne sumienie, wziął się do zwyczajnych środków. Kłął więc go szpilkami drobnych przykrości i pretensyi, ale pan Starzycki znosił

6520 wszystko stale: szkody drobne, bez których nie mogło się obejść, wynagradzał pierwszy, o swoje się nie upominał i nie okazywał najmniejszego śladu niecierpliwości. Za to dziadzio zżymał się, gniewał, unosił i nieraz groził czereśnią.

Dowiedział się o tem prezes i uważając to za słabą stronę tej fortecy, której zdobyć nie mógł i która kapitulować nie chciała, postanowił z tej strony atak przypuścić. Poznawszy dobrze charakter, żywość i słabość starca, stosownie do tego plan swój ułożył.

6530 Z lewej strony ogrodu pana Starzyckiego był ogród warzywny, niegdyś pana Cepowskiego. Obejrzał

¹⁾ środku.

szy pozycyą, prezes przekonał się, że zaraz za płotem była wielka szparagarnia, którą dziadzio sam założył, sam pielęgnował, i z której sam na wiosnę wyrzynał szparagi; że dalej był duży plac, zasadzony najpiękniejszymi truskawkami, z których najpierwsze niósł synowej; że dalej była szkółka szczepów¹⁾ najrzadszych i najstaranniej utrzymana; słowem, że cały ogród był wzorowo urządony, wszędzie czem użytecznem zajęty
 6540 i jak ulubione dziecko, czysty i wypielęgnowany. To było dosyć dla prezesa. Ogród ów przyległy zamienił na oborę i tam kazał trzymać wszystkie folwarczne świnie.

Krew uderzyła do głowy zacnego starca, gdy to spostrzegł. Chwycił za czereśnię, ale powoli, powoli zreflektował się i uspokoił. Całą noc jednak spać nie mógł, raz przez bojaźń o swoją pracę drugi raz przez tę myśl, że to zrobiono umyślnie, na złość, na złość im, którzy nikomu krzywdy nie zrobili. Na drugi dzień
 6550 jednak raniuteńko zapowiedział pastuchom, że jeżeli nie będą pilnować, i którakolwiek świnia wlezie do ogrodu, to najprzód świnie zastrzeli, a im kości połamie. Pogrożka ta doszła do prezesa i powiększyła jego apetyt. Tydzień przeszedł spokojnie. Ale jednego dnia o świcie, posłyszał dziadzio jakieś gruchanie w ogrodzie. Zerwał się, ubrał się coprędzej, chwycił czereśnię i gdy wyszedł, postrzegł z dziesiątek ogromnych świń, z całą progeniturą córek i synków, rozkoszujących się się po szparagach, podrzucających w górę truskawki z korze-
 6560 niami i buszujących w szkółce dziadziowej. Pastuchy spostrzegłszy dziadzia, weszli do ogrodu niby wypędzać. Wtenczas już dziadzio nie był panem siebie, rzucił czereśnię i jednego z pastuchów ugodził w plecy tak silnie, że ten upadł na ziemię. Przypadł do niego starzec, zaczął go bić, szarpać za włosy, i opamiętał się dopiero wtedy, gdy chłop wyrzucił się na wznak, oczy w słup postawił i cały krwią się oblał. Wtenczas dziadzio odskoczył, załamał ręce, wspomniawszy na te przykrości i ambaras, jaki sprawi synowi. Nie zważał już
 6570 na świnie, które nie przestawały ryc jego szparagarni

¹⁾ szczep.

i stojąc tak na miejscu z zakrytą twarzą nad konającym czy zemdlonym człowiekiem, starzec prawie ośmdziesięcioletni zapłakał. Przybiegł syn, zbiegli się domownicy zaczęto oblewać i ratować człowieka, który po długich zachodach, nacieraniu wodą, octem i spirytusem, spojrział nareszcie przytomniej, westchnął i zaczął przychodzić do siebie.

Ale i ze strony prezesa był już tam ekonom, był 6587 Mortko i wielu innych ludzi, przygotowanych widać za świadków. Gdy chłop przyszedł do siebie, rozebrano go i opatrzone znaki. Kiwał głową ekonom, kiwał Mortko, kiwali ludzie. Wyniesiono z wielką ceremonią pastucha, który iść czy nie mógł, czy udawał, że nie może; a pan ekonom wyprawił natychmiast posłańca do prezesa a bryczkę i trzy konie posłał po sprawnika i lekarza powiatowego, dla zrobienia formalnego śledztwa. Łatwo sobie wyobrazić w jakim stanie był zacny starzec, zagrożony kryminalnym procesem. — Najrozmaitsze uczucia nim¹⁾ miotały; a ta myśl, że ściągnął taki kłopot i wrzawę na cichy i spokojny dom syna, że starą żonę, zgryzioną tym wypadkiem, wprowadził w chorobę i zaprowadził do łóżka, że stał się ofiarą zimnej i wyrachowanej złości egoisty bez czucia, przyprowadzała go do rozpacz, rozdzierającej serca obecnych. Szczęściem, że tego samego wieczora przyjechała Anulka i przywiozła starcowi żwawego i śmiejącego się prawnuka. Złagodził się cokolwiek jego ból i sen na kilka godzin pokrzepił jego siły.

6600 Nazajutrz przyjechali sprawnik i lekarz powiatowy i rozpoczęło się śledztwo. Chłop wprawdzie miał się nieźle i żadne niebezpieczeństwo mu nie groziło, ale z miny i mowy tych panów poznał pan Starzycki, że rzecz była naprzód ukartowana, jak to śledztwo poprowadzone być miało. Wtenczas strwożył się mocno i zasmucił głęboko niebezpieczeństwem ojca, którego kochał nad wszystko. Nie namyślając się długo, zdecydował się pan Starzycki pojechać do prezesa, i dla oszczędzenia zgryzot i wstydu starcowi, którego czcił, ugiąć się przed człowiekiem złym, którego nie szacował.

¹⁾ go.

6610 Anulka, dowiedziawszy się o zamiarze ojca, napisała list do panny Kamilli. pełen rozpączy. Opisała jej całe zdarzenie, wystawiła stan drogiego dziadka, odmalowała smutek, boleść, przestrach, jaki padł na cały ich dom, dotąd taki cichy i spokojny: wspomniała o chorobie babki, stąd wynikłej i o jej rozpączy, że może umrzeć, nie pobłogosławiwszy swego Józia; napomknęła jak mogła najdelikatniej o niesprawiedliwości prezesa. o przygotowaniu umyślnem całego tego nieszczęścia, słowem każdy jej wyraz był silny, rozdzierający, mogący poruszyć nawet obojętną osobę. Łatwo sobie wystawić, do jakiego stanu musiał przyprowadzić pannę Kamillę, którą rzecz ta pod tak rozmaitymi względami interesowała.

6620 Anulka tajemnie oddała list ten człowiekowi, jadącemu z ojcem, i poleciła mu, aby koniecznie oddał pannie do rąk. Było to dosyć trudno, ale przypadek pomógł.

Pan Starzycki, przyjechawszy, poszedł prosto do prezesa. Przechodząc przez salę, spotkał pannę Kamillę; 6630 przywitał ją z uszanowaniem, popatrzył przez chwilę z dziwnym jakimś wyrazem przywiązania i litości i poszedł dalej. Zmieszana, rozrzewniona, rozdarła bolesnemi wspomnieniami, nie mogła słowa wymówić. Usiadła biedna, załamała ręce i łzy puściły się jej z oczu. Po kilkunastu minutach przyszedłszy cokolwiek do siebie, zajrzała w okno, a obaczywszy powóz, wyszła żeby choć z człowiekiem pomówić o tych, których tak kochała. Wtenczas furman zlął z kozła, i poznawszy pannę Kamillę, oddał list Anulki. Chwyciła go co prędzej i pobiegła do swego pokoju.

6640 Prezes przyjął pana Starzyckiego z miną pobożną i układną. Przechyliwszy głowę i puszczając wielkie palce w najpowniejszego młynka, zawołał:

— Jezus Marya! ktoby się spodziewał takiego nieszczęścia? Można się rozgniewać i unieść; ja jestem sam prędki; ale żeby człowiek w takim wieku, tak się zapomniał? Biedny chłop umrze, jak mi mówiono.

— Ja sędzę, że panu prezesowi mówiono, że nie umrze — odpowiedział z powagą pan Starzycki.

6650 — Ach! nie; mówiono, mówiono, że umrze.

— Kto to mówił, ten skłamał — rzekł, czerwieniąc się cokolwiek zacny człowiek, oburzony widokiem takiej hipokryzyi.

— Było za co się rozgniewać, to prawda — mówił dalej prezes; — ludzie starzy przywiązują się szczególnie do każdej trawki, którą wypielęgnują. Ja sam bardzo lubię ogród, a szczególnie szparagi; ale żebym się tak uniósł, nigdy! Sumienie przedewszystkiem! Życie człowieka, stworzonego na obraz i podobieństwo
6660 Boże, powinno być dla nas rzeczą świętą i grzeszy, poddaje się całej surowości praw, kto się na nie targą, jeszcze za co? za trawkę! Jezus Marya! czyż to się godzi?

— Panie prezesie! — rzekł z mocą, wyprowadzony z cierpliwości pan Starzycki — ja tu przyszedłem do pana z prośbą o umorzenie tej sprawy, która, jak przez pana przygotowana, skombinowana i wszczęta, tak i przez pana umorzona być może. Tymczasem pan przybrałeś ton kaznodziei i moralizujesz mnie. Nie mam ja
6670 pretensyi do doskonałości, ale gdybyśmy zamienili role i gdybym ja zaczął mówić, miałbym daleko więcej do powiedzenia. O tem pan wiesz dobrze.

Przygryzł wargi prezes, zaczerwienił się, potem zacząwszy prędzej kręcić palcami, zapytał:

— Czy śledztwo już skończone?

— Śledztwo jeszcze nie skończone — odpowiedział pan Starzycki — bo widać, że ci panowie jeszcze nie wiedzą dobrze, jak pan chcesz, aby skończonem było.

— Jezus Marya! — odpowiedział prezes — cóż tu już odemnie zależy? Wszyscy żyjemy pod prawem, prawo nami rządzi a nie my niem. Ja się do tego mieszać nie mogę i tym panom dyktować, o co mają zapytywać, jak mają widzieć rany i stan umierającego. To od nich zależy dać zdanie, czy jest kryminał, czy nie.

— Uniesienie gniewu — odpowiedział pan Starzycki — jest zapewne nagannem, bo skutkiem jego może być zbrodnia, choć mimowolna. Ale kto zwolna wszystko przygotowuje, aby ten gniew wybuchnął, i z zimną krwią
6690 naraża dwóch ludzi, jednego na śmierć lub kalectwo,

a drugiego na zbrodnię, ten nie wiem czem jest i czy mu wolno mówić o kryminałach.

— Nie rozumiem pana — odpowiedział prezes.

— Rozumiesz mnie pan bardzo dobrze, bo ja zawsze mówię, co myślę, a zatem tłómaczę się jasno. Ale prosiłem pana: nie ciągnij mnie pan za język, abym nie powiedział więcej, niż chciałem, bo powtarzam panu, że mam dużo do powiedzenia; a powtóre, że przyszedłem tu nie z kazaniem, które byłoby grochem na ścianę, ale z prośbą.

Zagryzł znowu wargi prezes i jeszcze prędeej kręcając palcami, zapytał: — O cóż idzie?

— Czy chcesz pan, czy nie chcesz umorzyć tę sprawę? Gdybym to ja zrobił, lub mój syn, bądź pan pewnym, żebym się u pana ani pokazał. Znalazłbym sposoby bronięcia się, jak znajdę i teraz, jeśli się pan upierać będziesz. Ale ponieważ tu idzie o starca prawie osmdziesięcioletniego, ponieważ od tego zależy zdrowie a może i życie mojej matki, dla tego przychodzę i proszę pana, i proszę usilnie, abyś tę rzecz kazał skończyć zagodzeniem chłopca.

— Jezus Marya! czybym ja nie rad? Ale jeżeli umrze?... Pan się uśmiechasz... daj Boże! daj Boże, żeby nie umarł. Zapewne względy to ważne: stary ojciec, matka sędziwa! Z jednej strony wstyd, a tam może śmierć. Jezus Marya! czyjeżby się serce nie wzruszyło? a tem bardziej moje. Nie mówię ja, żebym mógł mieć jakiś wpływ na tych panów urzędników; niech mię Bóg uchowa, ludzi takich sprowadzać z drogi; ale mógłbym wpłynąć na mojego chłopca dobrą radą, wreszcie i pogrózką. Bo któż winien, jeżeli nie on, że nie patrzył, jak mu było przykazane? Ale cóż? ci nieszczęśliwi ludzie mówią mi zawsze, że tego rodzaju sprawy będą ciągle, że temu nigdy nie będzie końca, póki cudzy poddani i obcy panowie będą we wsi. Dla tego, jeżeli pan przyjmiesz pewny warunek...

— Jedziesz pan przez Jampol i Ostróg do Czaplinc — rzekł pan Starzycki, uśmiechając się z politowaniem, a potem z twarzą poważną i surową dodał: — że pan tak krętą ścieżką prowadzisz rozmowę, tego panu nie mam bardzo za złe. Ta egzercya może pana

bawić jako dowód rozumu, a jeżeli doprowadza do pożądanego rezultatu, daje panu tę pociechę, żeś rozmawiał z głupim. Ale, że pan tak zdaleka przygotowujesz także wypadki, i niby niechcący kopiesz jamy na drodze ludzi uczciwych, to coś więcej niż zabawka, to występek.

— A więc, pan chcesz żebym mówił wprost — rzekł prezes zupełnie innym tonem i głosem, — Otóż
6740 panu powiem, że mogę umorzyć tę brudną sprawę, ale pod pewną kondycyą; dodaję oraz, że to jest kondycya *sine qua non*...

Tylko co chciał prezes wymówić to, czego się pan Starzycki oddawna domyślał, gdy nagle drzwi się otworzyły i weszła panna Kamilla z zapłakanemi oczami, z surową twarzą i z listem w rękę.

Prezes zbłądł cokolwiek, obaczywszy córkę. Rączki jego czemprędzej i jakby machinalnie złożyły się na brzuchu i palce zaczęły się obracać, Panna Kamilla
6750 spojrzała na pana Starzyckiego, który powstał z wyrazem pełnym czułości i czci, i rzekła drżącym głosem:

— Drogi papo! pan Starzycki przyjechał tu prosić cię, abyś tę nieszczęśliwą sprawę kazał umorzyć. Dowiedziałam się o tem zdarzeniu z tego listu i proszę cię także, kochany papo, niech się to skończy zagodzeniem chłopca.

— Nibyż to chłop nie człowiek — rzekł prezes, wróciwszy znowu do tonu słodkiego i pobożnego — że go można skaleczyć, a potem zagodzić.

— Wpuszczając szkodę do cudzej własności, —
6760 odpowiedziała — i stając na drodze człowieka uczciwego, ale prędkiego, wiedział, na co się naraża i nie zrobił tego zapewne bez obiecanej nagrody. Można tę nagrodę podwoić.

— A jeżeli umrze? — rzekł prezes, przygryzając wargi.

— Nie umrze pewno — odpowiedziała z intencya. — I jak mu kazano ledz i mdleć pod uderzeniami, tak, gdy mu każą wstać z śmiertelnej pościeli, upew-
6770 niam cię, drogi papo że wstanie i pójdzie.

— Jezus Marya! jakim ty tonem mówisz to — rzekł prezes, przechylając głowę.

— Mówię — odpowiedziała — tonem kobiety, której serce pęka od żalu i której czoło pokrywa się wstydem.

— Pięknie to jest, moje dziecię — odpowiedział — litować się nad cudzą biedą, a nawet nad cudzą nieroztropnością, która do niej doprowadza; ale nie widzę, dlaczegoby serce twoje pękać miało, że człowiek 6780 stary zapomniał się i dlaczegobyś się wstydzić miała, że za swój błąd i uniesienie musi pokutować. To dla ciebie sprawa obca... idź sobie.

— O, mój ojcze! — odpowiedziała, przystępując bliżej — jak to źle, jak to źle, że mię zmuszasz powiedzieć ci to, co ci teraz powiem. Sprawa ta nie jest mi obcą. Pokój tych zacnych ludzi obchodzi mnie więcej niż mój własny, bo ich szanuję i kocham, bo to są rodzice tego, którego mi Bóg naznaczył za towarzysza w tem życiu, a którego mi ojcze dać nie chcesz, są- 3790 dząc w grzesznej dumie, że wiesz lepiej niż niebo, co mi do szczęścia potrzebne. Dlatego serce moje pęka. Wstydzę się zaś... — Tu umilkła i zakryła sobie twarz obiema rękami.

— Mów, mów! — rzekł zmieszany prezes, i nadrabiając miną. — Czego się wstydzisz?

— Wstydzę się — rzekła, podnosząc głowę — wszystkich tych czynności, które się robią w mojem imieniu i dla mnie, a których ja nie chcę i nie aprobuję.

6800 — Jezus Marya! — zawołał prezes — czy nie do mnie się to ściąga? i czy nie myślisz mnie sądzić?

— Nie wolno dzieciom sądzić rodziców — odpowiedziała z zapałem — ale grzech i rodzicom stawiać dzieci w takim położeniu, że muszą być ich współnikami, lub sędziami. Milczałam dotąd, mój ojcze!... i potrzeba było takiej bolesnej ostateczności, aby te słowa przedarły się przez moje usta, ale Bóg widzi, ile nocy przepłakałam, ile godzin przepędziłam na kolanach, aby cię niebo natchnęło innymi myślami. Bo nie takie są 6810 twoje czynności, mój ojcze, abym się niemi pysznić mogła. I na cóż to wszystko robisz? czy nie dla zбо-gacenia mnie, jedynej swojej dziedziczki? Ja nie chcę tych grzesznych bogactw. I tak mam nadto, aby być

nieszczęśliwą. Jeżeli umysł twój potrzebuje zajęcia, masz o ścianę marszałka, masz z drugiej strony hrabiego. Z nimi walcz, jeśli cię to bawi. Ale obarczać biednych całą siłą zimnej krwi, rozumu i pieniędzy, korzystać z ich nieuwagi, głupstwa, nieumiarkowania, a nawet i szlachetnego gniewu. to nieuczciwie, mój ojcze
6820 i ja umywam ręce od wszystkich skutków tych machi-
nacyi.

Oparł się prezes o poręcz krzesła i słucał, przy-
mrużywszy oczy i blady jak ściana. Spozrzęła to pan-
na Kamilla, rzuciła się przed nim na kolana, i ręce
jego całując, wołała:

— Ojcze! ja cię kocham. Bóg widzi moje serce.
Uczyńże zadość prośbie córki, która wyrzekła się
szczęścia całego życia, aby ci dowieść, że wolę twą
szanuję.

6830 — Idź precz, niewdzięczna dziewczyno!—krzyknął
prezes, podnosząc się i drząc z¹⁾ gniewu. A potem,
zwracając się do pana Starzyckiego, dodał z gwałto-
wnością! Widzisz pan, do czegoście mnie doprowadzili
i czujesz to pewnie sam, czy macie teraz jakiegolwiek
prawo do mojego względu. Oświadczam więc wam, że
nie doznacie żadnego, że was ścigać będę od dziada do
wnuka, że jeden jest tylko środek²⁾, którym możecie
uniknąć mojej zemsty, bo to już zemsta, tak, to wam
objawiam jasno i wyraźnie. Jeżeli pan dziś, natychmiast
6840 nie podpiszesz tych punktów, które oto są już gotowe,
jeżeli mi nie dasz na piśmie, że się ztąd wybieriecie
daleko i że was nigdy oczy moje nie obaczą, jutro oj-
ciec pana poddanym zostanie pod sąd, jako krymina-
lista.

— Nie rób pan tego — rzekła panna Kamilla
stanowczo. — Ten kawałek ziemi równie jest panu
drogim jak i mnie. Zbywać go nie chcesz, nie możesz
i nie powinienes. Pod tym dachem urodził się ten,
któremu mnie Bóg nazaczył i którego kochać będę do
6850 śmierci. Nikt tam nie powinien mieszkać i nie będzie
mieszkać — dodała z mocą — tylko ci, co mu dali
życie, co go nauczyli być dobrym i uczciwym; co mu

1) od. 2) środek.

dali rozum i szlachetność; co mu przykazali nie korzystać ze słabości kobiety kochającej, której byłaby pewnie uległa, gdyby był tylko pisnął słowo. Ojcze! ja cię jeszcze raz proszę, napisz do tych panów urzędników, aby sobie jechali; oddaj zapomnieniu tę sprawę i zostaw tych szanownych ludzi w pokoju. Pod tym
6860 na cienie m. mej matki, że nie będę żoną pana Józefa Starzyckiego bez twojej woli i pozwolenia.

— A jeśli tego nie zrobię? — krzyknął prezes, drżąc cały i z twarzą purpurową od krwi, która uderzyła do jego głowy.

— Jeśli teraz zaraz nie dasz do rąk pana Starzyckiego listu, którego żądam, tej nocy jeszcze, bosa ucieknę z twego domu; pójdę piechotą na Podole i rzucę się w objęcia tego, który mi stanie za wszystko. Namyśl się, mój ojcze, abyś nie żałował, bo znasz mnie
6870 dobrze. Zrobisz, o co proszę, zostanę; nie zrobisz, pójdę, jak Bóg żywy i wielki. I wtenczas do tej zemsty o której mówiłeś, przyłączysz i swoich własnych wnuków.

To powiedziawszy, wyszła. Pan Starzycki, przystępując do prezesa, który stał bez ruchu, z podniesioną głową, z opuszczonemi rękami, których nawet spleść nie był w stanie, rzekł tonem poważnym i perswadującym:

— Panie prezesie! nie wiedź pan swojej własnej
6880 córki na pokuszenie i nie przyprowadzaj jej do nieposłuszeństwa. Dostyc masz grzechu, żeś ją zmusił powiedzieć ci gorzką prawdę i osądzić tak, jak cię sądzą ludzie, którzy przez ciebie cierpią i jak cię osądzi Bóg, który to wszystko widzi.

Prezes nic nie odpowiedział; drżąc i milcząc, napisał list i oddał go panu Starzyckiemu, który skłonił się i wyszedł. Gdy przechodził przez salon, postrzegł tam pannę Kamillę. Siedziała przy stoliku! głowa jej wsparta była na rękę, twarz okropnie blada, a oczy
6890 zwrócone ku drzwiom ojcowskiego gabinetu. W takiej pozycyi, pełnej rozpacz i w natężonem oczekiwaniu wypadku, od którego zależeć miało jej niezłomne posta-

nowienie, wyglądała widać wyjścia pana Starzyckiego. Gdy postrzegła papier w jego ręku zawołała:

— Masz pan? o dzięki Bogu! — potem przystąpiła bliżej, położyła głowę na jego piersiach i mocno płakać zaczęła. Po chwili, utuliwszy się cokolwiek, dodała: — Jemu nic pan o tem wszystkim nie pisz. Rana jego odnowi się; a nam potrzeba wielkiego męstwa. — Po tych słowach zakryła sobie twarz i poszła 6900 powoli do swego pokoju. Patrzył za nią długo wzruszony do gruntu serca pan Starzycki i po jego męskiej twarzy, na której tylko głęboka myśl się wyrażała, dwie łzy potoczyły się strumieniem.

XV.

Widać, że ten grzech wielki, który prezesowi postawił przed oczy pan Starzycki, dopełnił miary, bo odtąd i sam prezes to uczuł i trwoga jakaś ogarnęła jego serce. Scena ostatnia, którąśmy starali się szczegółowo opisać, o mało, że go o śmierć nie przypawiła, tak silnie krew wzburzona uderzyła mu do głowy. Skończyło się tylko przecież tylko kilkodniową delirya, w której prezes ciągle rzucał się, coś marzył, coś niewyraźnie i bez związku szeptał, dając słyszeć tylko 6910 kiedy niekiedy wyrazy: — Jezus Marya! bosa ucieka, Starzyccyzna, osiemdziesiąt lat, kajdany, itp. — Panna Kamilla, która gorzko sobie wyrzucała ten stan ojca, nie odstępowała go na chwilę, otaczała wszelkimi staraniami dziecka, przejętego śmiertelną trwogą i modliła się w duszy, gdy zaczął marzyć i wymawiał wyrazy, 6920 które sumienie do ust jego posyłało, a których rozum osłabiony i skrępowany gorączką, na dnie serca utrzymać nie mógł. Przyszedł wreszcie prezes do siebie i wrócił powoli do dawnego stanu i dawnych myśli. Ale ufnosć w dawne siły i zręczność utraciłszy, zrobił się smutnym, gniewliwym, rozdrażnionym, tak, że najmniejsza okoliczność, która okazywała, że mu się zaczyna nie udawać, przyprowadzała go do gniewu, rzucała krew do głowy i wprawiała w kilkunastogodzinną gorączkę.

Szczególnie ta myśl, że tak dobra okoliczność „oczysz-
6930 czenia“ Czaplinię wymknęła mu się z rąk, nieraz spać
mu nie dawała; a wiele razy wracał z tej nowej swej
majętności i poglądał na ten dom cichy i spokojny, na
topole, które stały jak pierwej, przy bramie zamkniętej,
na te jasne okna, z których wyglądał pokój, umiarko-
wanie i owa wyższość, jaką daje rozum, sumienie i wia-
ra, wracał upokorzony, zirytowany i każdą taką prze-
jażdżkę odchorował. Cierpiała jego dumą, że nie posta-
wił na swoim, a uważał tę strzechę słomianą, jako
skałę granitową, o którą rozbijają się jego zamysły; wi-
6940 dział z pomiędzy tych drzew wypielegnowanych wychodzą-
cą rękę silną i młodą, która miała zagarnąć wszyst-
ko, co zbierał z takim wysileniem rozumu i chytrności,
z taką wielką ekspensją sił i sumienia. Rozmaite szkody,
coraz większe, utwierdzały go w tej myśli, że mu
się już nic nie uda, że tu kres jego powodzeń. W tym
czasie spłonęła jego gorzelnia, umarł siostrzeniec, któ-
rego miał w zapasie dla postrachu panny Kamilli; po-
tem, gdy dawał dyspozycje przy budowaniu wielkiego
magazynu, spadł człowiek ze stropu, na który zaciągano
6950 belki, o krok od prezesa i nogę złamał. Był to ten sam,
którego nie tak dawno dziadzio wybił. Widok ten prze-
raził prezesa i myśl jakiejś sprawiedliwości wyższej, su-
rowej i nieubłaganej, jak błyskawica, przedarła się bo-
leśnie przez jego głowę. Stał się więc jeszcze posep-
niejszym, bardziej irytującym się i chudł widocznie. Ale
że to był człowiek jak najmniej duchowy, chociaż miał
rozum i przebiegłość, im więcej się w nim odzywała
dusza, a odzywała się trwogą i straszącym głosem, tem
więcej dogadzał swojemu ciału i chwilowem jego ukon-
6960 tentowaniem chciał zatłumić ciągle szeptanie niespokoj-
nego serca. Jadł więc wykwintniej, więcej i częściej,
niż dawniej, spijał najdroższe wina, odziewał się w ko-
sztowne jedwabie i miękkim puchem starał się sen przy-
wołać.

Raz, poniósłszy jakąś znaczną stratę, mocno ziry-
towany siadł do obiadu; stół był zastawiony obficie
i prezes, mimo próśb panny Kamilli, jadł i pił za czte-
rech. Po obiedzie, z pełnym żołądkiem, z pełną głową,
z bijącymi mocno pulsami i drżeniem gwałtownem serca,

6970 poszedł prezes do gabinetu i usiadł w swoim krześle. Głowa jego robiła się coraz gorętszą i w skroniach czuł bicie, jak młotem. Wtedy zjawił się Szloma, któremu kazał przyjść zaraz po obiedzie. Ze zwykłym uśmiechem i elegancyą wszedł żyd, uklonił się i zapytał o zdrowie.

— Jezus Marya! — odpowiedział prezes — albo ty nie widzisz, że się mam najgorzej? Schudłem okropnie, nieszczególny mam apetyt i serce mi ciągle bije.

6980 — Tego nie widać — odpowiedział żyd; — jaśnie wielmożny pan wygląda bardzo pięknie. A co się tyczy schudnięcia, to powiem jaśnie wielmożnemu panu, że to i lepiej. To jest znak zdrowia.

— Łżesz, żydzie! — odpowiedział prezes. Dla starego to nie znak zdrowia; to znak, że się zsuwa, opada, niknie, aż póki nie zaryją go w ziemię. Zwłaszcza, kiedy tak często krew uderza i w skroniach bije, jak młotami.

— Skąd jaśnie wielmożnemu panu takie smutne 6990 myśli przychodzą? — rzekł żyd z uśmiechem.

— Skąd? a skąd pochodzą wszystkie myśli, jeśli, nie stąd i stąd — rzekł smutno prezes, i ukazał na głowę i na serce. — Tu jest to, co pamięta dzień wczorajszy, a tu to, co przeczuwa jutrzejszy i drży przed nim. Ja czuję, że się zsuwam, że wkrótce pójdę z tego świata. Nic mi się już nie udaje: strata za stratą ostrzega, że mi już nie działać należy, ale rozpamiętywać, com zrobił. A gdy wspomnę na to wszystko, to serce strwożone i drżące przesyła krew do głowy, aby 7000 zjadliwe myśli zalała. — To powiedziawszy, wziął się obiema rękami za skronie i mocno je ścisnął.

— Na co jaśnie wielmożnemu panu — rzekł Szloma z uśmiechem jakiegoś wzgardliwego politowania — dopuszczać sobie do głowy takie wyobrażenia? Prawda, poniósł jaśnie wielmożny pan straty znaczne, ale jakże się może obejść bez strat w gospodarstwo, chcę mówić w gospodarstwie i w handlu? A przy takim majątku, jaki jaśnie wielmożny pan ma, to kropla

w morzu. Straty, to rzecz zwyczajna; dlaczego je uważać za jakieś dopuszczenie, lub za karę?

— Dlaczego? dlaczego? — odpowiedział prezes — bo ja widzę palec Boży. Kiedy mi się spaliła gorzelnia, myślałem, że to przypadek; kiedy to i owo wypadło, myślałem, że to przypadek. Ale kiedy mi siostrzeniec nagle umarł, który mnie jeszcze bronił od tych przeklętych Starzyckich; kiedy ten sam chłop, którego nastawiłem, aby złapać i rozdrażnić starca z białą głową i uczciwem sercem, upadł o pół łokcia odemnie i nogę złamał: to już nie był przypadek, nie!
7020 i tybys tak myślał, gdybys miał sumienie; aleś ty szelma, żyd.

— A przecież ja nie chciałem — odpowiedział Szłoma z pewną godnością — podejmować się żadnych intrygi, chcę mówić intryg, przeciwko państwu Starzyckim, i jaśnie wielmożnemu panu radziłem nie podnosić ręki na nich, bo to ludzie zacni i uczciwi i im wyraźnie pan Bóg błogosławi.

— A czemuś ty mi nie radził — rzekł prezes — abym i innych nie gnębił? Choć byli nierozumni i głupi, choć sami leżeli w sidła, jak owce, ale zawsze to ludzie!
7030 Nie byłbym ich kusił, gdybys mi był choć słowo powiedział. Aleś ty mi huncwocie pomagał, boś za to brał pieniądze. A teraz uśmiechasz się, kiedy mnie się głowa rozrywa i śpisz spokojnie, kiedy ja się przewracam na pościeli, jak potępieniec!

— Czyż to moja rzecz — odpowiedział żyd zawsze z uśmiechem — dawać jaśnie wielmożnemu panu lekcye moralności i miłości bliźniego? Mnie się zdaje, że jaśnie wielmożny pan powinienes to był sam doskonałe czuć i lepiej wiedzieć odemnie, że kusić głupiego
7040 nie godzi się, że to wszystko jedno, co pijakowi podawać ciągle wódkę, aby się na śmierć zalał, co przyprowadzić ślepego nad rów i kazać mu iść dalej, zachęcając, że tam już równa droga.

— A dlaczegożeś — krzyknął prezes — nie gadał tak pierwej?

— Jaśnie wielmożny pan — odpowiedział Szloma, kłaniając się — dawał mi od każdego kupna dobry procent.

7050 — O, ty niegodziwy szachraju! — zawołał i podniósł się z pięściami, ale upadł nazad na krzesło i znowu się chwycił za głowę.

Wtenczas przyniesiono list od pani Włodzimierzowej Podziemskiej. Usłyszawszy prezes to nazwisko, ożywił się cokolwiek; usiadł prosto, jak dawniej i usiłując spleść ręce na brzuchu, kazał sobie list przeczytać.

7060 Uwiadomiła go pani Włodzimierzowa krótko i zimno, że znalazłszy kupca na dwie wsi, które się znajdowały w zakładzie u prezesa, sprzedała je i że pieniądze, które mu winna, a które na tych wsiach były oparte, znajdują się złożone w sądzie głównym w Żytomierzu, gdzie transakcyja przyjęta została do akt i gdzie dług swój wraz z procentem będzie mógł odebrać.

7070 Był to cios silny, niespodziewany i uderzył go jak piorunem. Nadzieja zagarnięcia tych wiosek, po wyjściu już blizkiego terminu, była ostatnią pociechą prezesa, ostatniem polem, na które spodziewał się jeszcze wystąpić i odżyć, ostatnią deską, na której jego duma z zalewu niepowodzeń wyratować się miała. Widząc, że ją utracił, jęknął głęboko, oparł się o krzesło i uczuł, że mu się w głowie mieszało i krew gwałtownie na mózg napłynęła.

— Jezus Marya! — zawołał — co się ze mną robi?

— Może jaśnie wielmożnemu panu doktora? — rzekł żyd prędko.

Prezes nic nie odpowiedział, tylko trzymał się za głowę. — To może jaśnie wielmożnemu panu księdza? — dodał Szloma.

7080 — Dobrze, dobrze, posyłaj — odpowiedział prezes, wstrząsnawszy się na te słowa i zwracając na żyda twarz okropnie czerwoną i wytrzeszczone oczy.

Wyszedł Szloma z gabinetu i kazawszy postać po księdza proboszcza do blizkiego miasteczka i po doktora, sam wrócił prędko i udał się do panny Kamili,

dając jej znać, że ojciec mocno chory. Zbladła jak ściana, jakby jakimś przeczuciem uderzona biedna panna i załamawszy ręce, zawołała: — O! tom ja temu winna! Gdy przyszli oboje do gabinetu, zastali je ze 7090 środka¹⁾ na klucz zamknięte. Ale zaledwie kilkanaście sekund upłynęło, usłyszeli wewnątrz pokoju ryk okropny, potem silne stuknięcie, jak gdyby coś ciężkiego upadło.

— W rozpacz zaczęła panna Kamilla szarpać drzwi; żyd wypadł, wołając na cały dom ratunku, a gdy zbiegli się ludzie i wyłamali je, znaleziono prezesa na ziemi, z siną twarzą i bez życia. Widać uderzony był apopleksyą. W rękę miał pióro konwulsyjnie ściśnięte. Chciał zapewne pisać testament, bo na arkuszu, który 7100 leżał na stole były te wyrazy, nadzwyczajnie nieczytelne i krzywo zaczęte: W Imię przenaświęt... potem jakieś znaki zupełnie niewyraźne.

Próżne były usiłowania i ratunek. Odcierano go, oblewano wodą, trzeźwiono; Szloma nawet krew mu puścił scyzorykiem, ale krew pokazała się tylko kroplami i zastygła natychmiast. Wtenczas Szloma zostawił pannę Kamilę na kolanach i w rozpacz przy zwłokach ojca, a sam przyzwawszy jednego z oficylistów za świadka, 7110 pobierał i schował papiery i listy, i co tylko było na wierzchu, zamknął biuro, opatrzył zamki szuflad, szafek i szkatulek, i opieczętowawszy wszystko starannie, oddał klucze owemu oficyaliście, a pieczęć pannie Beldeau, aby ją oddała pannie Kamilli, gdy się cokolwiek uspokoi. Tegoż samego oficyalistę wyprawił znowu do proboszcza z uwiadomieniem, że już nie spowiadać, ale chować przyjdzie; a sam wzięwszy ze sobą starego pisarza, który wiedział, czego potrzeba do przygotowania pogrzebu, dla żałoby panny Kamilli i dworu, ruszył teje nocy do Krzemieńca.

7120 Gdy na trzeci dzień potem paradny orszak żałobny przeciągał przez Czaplince, wyszli przed bramę państwo Starzyccy i dziadzi. Pan Starzycki smutno poglądał na zamknięte między kilku deskami piersi, którym tak ciasno było na obszernej dziedzinie; pani

¹⁾ śrzodka.

Starzycka, patrząc na pannę Kamillę, idącą ze zwieszoną głową, z załamanemi rękami za zwłokami ojca, płakała, a dziadzio zdjął czapkę i modlił się za duszę człowieka, który mu dał chwilę rozpoczy i tylko co nie przywiódł do zbrodni.

7140 W parę dni po pogrzebie, Szloma z polecenia panny Kamilli wyjechał do Starego Konstancynowa, a ztamtąd do Żytomierza. Gdy we dwa tygodnie powrócił i oddał jej wszystkie papiery, których żądała, panna Kamilla, przejrawszy wszystko, rzekła.

— Winnam ci wiele podziękowania, Szloma!

— Czyż pani tego nie widzisz — odpowiedział żyd poważnie — jak mi miło pani służyć?

— Powiedziałam ci kiedyś, że możesz polegać na wdzięczności mojej i nie zawiedziesz się. Czy chcesz u mnie zostać?

7150 — Ponieważ żyda trzeba zapłacić, bo on niczego innego nie wart — odpowiedział z godnością — to, jeżeli się pani w czemkolwiek przysiężył, inszej nagrody nie żądam.

Spojrzała na niego panna Kamilla i nie postrzegła już owego ironicznego uśmiechu na pięknej jego twarzy. Stał wyprostowany, patrzył na nią z zajęciem i oczy jego przymglone nie błyszczały, jak zwykle.

— Twoja Rachela nie prędko jeszcze pójdzie za mąż? — zapytała panna Kamilla.

7160 — Jeszcze nie mam nikogo — odpowiedział — komubym mógł powierzyć to piękne dziecko, które tak kocham.

— Niechże nie idzie — rzekła znowu zasmucona panienska — póki nie wrócę.

— Pani prędko wyjeżdża?

7170 — Jutro — odpowiedziała, westchnawszy — i żądam od ciebie jeszcze jednej usługi. Ten list odeślesz do Trawisk, do jego siostry, a ten list i pakiet odwieziesz mu sam na Podole i oddasz do rąk. Wkładam na ciebie ten obowiązek dlatego, że pakiet zamyka w sobie ważne papiery, i boję się, aby nie przepadł, albo się gdzie nie zawieruszył. Powiedz mu, że zdrowa, że nieszczęście moje znoszę mężnie, że ufam, iż mi Bóg

przebaczy, żem zatrula ostatnie dni życia mego ojca i zgón jego przyspieszyła. — Potem, otarłszy łzy, mówiła po chwili dalej: — Powtórz mu moją prośbę, aby nie rozpieczętował tego pakietu, chyba wtenczas, kiedy się dowie, że ciało moje nie wytrzymało wielkiego żalu, który mnie obarcza, i że Bóg powołał mnie do ojca

7180 wcześniej, niżem myślała. Napisz mi, czy zdrów, ale on sam niech do mnie nie pisze. Co się tyczy ciebie, Szloma, to zostawię moje rozporządzenie temu, komu oddaję rząd mego majątku, póki nie wrócę.

— Więcej mi pani nie ma nic do polecenia? — rzekł żyd prawie rozrzewniony, wzięwszy list i pakiet.

— I owszem, mam — odpowiedziała — i rzecz taką, którą uważam za świętą dla siebie obowiązek. a nawet dla ciebie, Szloma!

7190 — Cóż to, proszę pani? — zapytał, patrząc ciekawie.

— Dzieci powinny nie tylko modlić się za dusze rodziców, ale płacić ich długi, darować ich urazy i nagradzać krzywdy, które zrobili. Mój biedny ojciec nie zupełnie czystą duszę zaniósł przed sąd Boga. Byłabym jeszcze występniejszą córką, niż jestem, gdybym się nie starała nagrodzeniem krzywd, które zrobił, zmniejszyć jego winy i rozbroić surowość sędziego, przed którym

7200 bądźże teraz moim pomocnikiem w dobrem. Jest to twój obowiązek i spełnisz go chętnie.

— Spełnię; tego pani możesz być pewna — odpowiedział żyd, patrząc na nią z podziwieniem. — Cóż mam robić?

— Dowiesz się o położeniu i stanie majątku tej wdowy z Żurawki, którą mój biedny ojciec procesował. Doniesiesz mi także, co się dzieje, gdzie się obracają, wiele i w jakim wieku mają dzieci ci wszyscy biedacy, którzy mieli w Czaplńcach przytułek i kawałek

7210 chleba.

— Pani jesteś szlachetna istota — rzekł żyd ze łzą w oku. — Zrobię wszystko, co pani każesz; to się i moim dzieciom przyda.

To powiedziawszy, rzucił okiem na krucyfiks, który

stał obok panny Kamilli, spuścił oczy, potarł ręką po czole, odwrócił się i poszedł.

Na drugi dzień panna Kamilla z panną Beldeau pojechała do Lwowa, gdzie miała mieszkać przy ciotce; a tegoż samego dnia pan Hipolit Starzycki odebrał pakiet, w którym był klucz od pokojów jej ojca, naznaczenie go przez marszałka i sąd opiekunem i doradcą panny Kamilli, formalna plenipotencya na zupełne i bezwarunkowe zarządzanie jej majątkiem i list następujący:

„Nie mam nikogo na ziemi, kogobym więcej szanowała i czciła. Mam nadzieję, że i w sercu pana jest dla mnie uczucie przywiązania, pobłażliwości i opieki, „jakie słaby i mimowolnie występny wzbudza w duszy „silnej i sumiennej! Nie sądzę więc, abyś mi pan wziął
7230 „za złe, że się rozporządziła bez jego wiedzy i, nie „prosząc nawet pozwolenia, wyrobiła sobie, że pana „znaczono moim opiekunem i doradcą¹⁾. Jako pełnoletnia, mam prawo z poradą pana, rządzić moim majątkiem. I w tem żądam jego pomocy, i posyłam na to „formalną i bezwarunkową plenipotencyę. Słaba i znękana, nie czuję się zdolną do wypełnienia tej powinności. Oto jest klucz od pokojów mego ojca, na biurku przy oknie leżą inne kluczyki, z karteczkami, odpowiadającymi numerom zamków i szuflad. Nie wiem
7240 „dobrze, co jest w jego papierach, bom nie miała serca i cierpliwości wszystkiego przejrzeć. Zdarłam tylko „kilka weksłów ludzi niebogaty, które mi wpadły „w ręce. Widać, że mój ojciec nie miał zamiaru wspominać się o te długi, bo to weksle dość dawne. O! nie „był on tak złym i ja tem występniejszą się czuję. Odeszlij pan zdarte weksle ich właścicielom; niech się „modlą za jego duszę, i dla mnie także niech proszą „o przebaczenie. Ile potrzeba będzie na ozdobę i upomówienie, według dołączonego planu, grobowca
7250 „mego ojca, na nakłady gospodarskie, na zapomożenie „wieśniaków i przyprowadzenie ich do lepszego stanu, „na to pan nie żałuj. Resztę dochodów, oraz całą sumę, złożoną w sądzie głównym przez panią Włodzi-

¹⁾ poradźca.

„mierzową, proszę zachować na użycie, które mi leży
 „na sercu, a które mi może Bóg pozwoli przywieść do
 „skutku. Mnie proszę nic nie posyłać. Wzięłam z sobą
 „dosyć, a czego mi nie dostanie, to mi da ciotka,
 „u której mieszkać będę we Lwowie. Tu zostać nie
 7260 „mogłam. Gorzkie wspomnienia ciężkiej winy przeciwko
 „temu, który mi dał życie, wypędzają mnie z domu.
 „Więcej o nic pana prosić nie mam. Daruj mi tylko,
 „że taki ciężar składam w ręce twoje bez wiedzy i ze-
 „zwolenia. Żegnaj pana z sercem pełnym czci i usza-
 „nowania. Proszę pozdrowić odemnie żonę i matkę,
 „której nie znam, ale którą mam ważne powody ko-
 „chać. Dziadzi ręce całuję. Niech przebaczy memu ojcu
 „i modli się za jego duszę. Tego się spodziewam po
 „szlachetnem sercu starca, którego cała rodzina uwiel-
 7270 „bia. Do Anulki pisałam i pożegnałam ją. Jemu prze-
 „słałam także kilka słów pożegnania. Jeżeli umrę wze-
 „śniej, niżby mój wiek i siły spodziewać się kazały,
 „ostatnia wola moja znajduje się w jego ręku. Win-
 „nam mu wiele, bardzo wiele! i dług mój dla niego
 „jest świętym.“

W pierwszym postskryptom był adres do Lwowa,
 a w drugim co następuje: „Szłomę racz pan zostawić
 „na miejscu. Mam mu wiele do zarzucenia, ale winnam
 „mu także wdzięczność za ważne przysługi. Jest to
 „piękna i wyższa natura, którą okoliczności i złe uży-
 7280 „cie zniżyły. Byłby to człowiek znakomity, gdyby był
 „chrześcijaninem. O tem jestem zupełnie przekonana.“

XVI.

Przechodziły tygodnie i miesiące. Panna Kamila
 mieszkała we Lwowie u ciotki. Zawsze czarno ubrana
 nie robiąc żadnych znajomości, do czego jej dom poboż-
 nej i samotnej staruszki doskonale pomagał, co dzień
 przepędzała parę godzin w kościele; zresztą zajęta była
 pracą, rozmyślaniem i wyszukiwaniem biednych, którzy
 jedni z całego miasta ją znali i oczekiwali jak anioła
 pocieszyciela.

7290 Pan Józef mieszkał zawsze na Podolu. Pracował, uczył się; a gdy go tęsknota ogarnęła, gdy obawa i niepewność przeważały nadzieję, jaką się tajemnie karmił, wtenczas brał rękopis ojca i w nim czerpał siły i pociechę. Na wigilię Bożego Narodzenia przyjechał do rodziców, jako w dzień uroczysty dla całej familii, w który wszyscy, dawnym obyczajem, musieli być obecni. Wtenczas odwiedził Szyszkowce, i z sercem na nowo rozraniem widokiem tego miejsca, powrócił do domu.

7300 Już przy końcu stycznia nagrobek marmurowy, przywieziony z Odessy, stał na cmentarzu parafialnego kościółka. Obrzucały go nagimi dziś gałęziami bzy, dawniej przez kogoś posadzone, wśród¹⁾ których proboszcz naznaczył miejsce zwłokom prezesa i okrążyły go sztachety żelazne, z drzwiczkami na klucz zamykanymi. Jak tylko robota ta była skończona, doniósł o tem pan Starzycki pannie Kamili, zdając jej oraz sprawę z postępów gospodarstwa i stanu majątku. Pracował on wiernie, przyprowadził wszystko do porządku, zajmował się poddanymi, niósł im ulgę i pomoc
7310 i każdej niedzieli dziedziniec jego. był pełen ludzi, z których jedni przychodzili dziękować a drudzy prosić.

Ze swojej strony Szloma także nie zależał pola, i już w połowie lutego panna Kamilla odebrała najdokładniejszą wiadomość o wszystkich dawniejszych dziedzicach Czaplince. Z niej dowiedziała się, że niektórzy pobrali dzierżawy na kontraktach w Dubnie, inni dostali miejsca ekonomów, a panowie Zarzycki i Cepowski miejsca rządców w kluczach możnych pa-
7320 nów, ich zaś synowie przyjęci zostali do służby rządowej; że z tych pan Płachta najgorzej wyszedł, bo nie przestawał żyć komilfo i prawie ostatkiem gonił; że oprócz dwóch córeczek owej wdowy z Żurawki, było wszystkich panienek dorosłych i mniejszych dziecięć, a wszystkich chłopczyków, potrzebujących już szkół i jeszcze małych, szesnastu.

Przy końcu listu Szloma umieścił te słowa:
„Wpełniłem rozkaz Pani z największą, akuratnością.

¹⁾ wśród.

7330 „Domyślając się celów Pani, więcej zająłem się dziećmi, „niż rodzicami i tych spis dokładny z oznaczeniem lat „każdego przyłączam. Niech Pani jeszcze co każe. „Im więcej myślę nad przeszłością, tem więcej pragnę rozkazów Pani. Ja czuję, że nie był stworzony do szachrajstwa i mógłbym być czem innym się „zając

7340 „Pana Józefa widziałem niedawno. Był u rodziców na świętach. Smutny jest, ale zdrow. Mało mówiliśmy o Pani. bo jemu lży przeszkadzają, a on „mężczyzna, wstydzi się płakać przy żydzie. Gdyby „wiedział, coś Pani ze mnie zrobiła, toby tak nie „myślał.“

4350 W miesiąc potem pan Starzycki odebrał od panny Kamilli list, w którym mu dziękuje za wszystko co dla niej robił i robi i prosi o wypełnienie poleceń, które mają ulżyć jej sercu, co jej podadzą nadzieję przebaczenia, co może rozjaśni jej duszę nadzieją szczęścia. Prosi go więc najprzód, aby dwie córeczki wdowy z Żurawki, chorej i skrzywdzonej przez dziedzica, u którego trzymała posesyę, Anulka wzięła do siebie, 7360 póki ona nie wróci i nie zajmie się ich wychowaniem i wyposażeniem sama. Matce zaś, żeby dał jeden z dworców w Czaplifcach i nazaczył jej ordynaryę. Powtóre: aby rodziców panienek, wymienionych w przyłączonym spisie, uwiadomił w jej imieniu i upewnił formalnie, że każda z nich będzie miała po piętnaście tysięcy posagu, które odebrać może zaraz po ślubie. Potrzebie: aby uwiadomił rodziców wszystkich w spisie wymienionych chłopczyków, że począwszy od lat dziesięciu, aż do skończenia edukacji; najprzód w gimnazjum rowieńskim a potem w uniwersytecie kijowskim, oznacza na każdego z nich po tysiąc dwieście złotych rocznie; że to utrzymanie nawet na przypadek jej śmierci, zabezpieczonem dla nich zostanie.

Pan Starzycki wykonał święcie polecenia, tak zgodne z jego sercem i przekonaniem i przesłał jej wiadomość o wszystkim, oraz pakiet listów, w których wszyscy, rodzice i dorosłe już panny wynurzali

- 7370 wdzięczność za takie dobrodziejstwo i przyrzekali modlić się za duszę jej ojca, i prosić Boga, aby jej dał pokój i szczęście. Przeczytawszy to wszystko panna Kamilla, kazała odprawić w ustronnym kościółku mszę żałobną, całą mszę leżała krzyżem i modliła się gorąco, a gdy ją ksiądz błogosławił i wodą święconą pokropił, powstała spokojniejsza i jakby odrodzona. Zdawało się jej, że słońce inaczej świeci, że świat boży inaczej wygląda, że na nim jest jeszcze nadzieja, że radość i szczęście mogą jeszcze mieszkać na ziemi.
- 7380 Odtąd i rumieniec zaczął na twarz jej powracać i dawniejszy uśmiech ozdabiał niekiedy jej śliczne usta. Z wielką pociechą patrzyła na to panna Beldeau, która się serdecznie nudziła, ale przez przywiązanie do panny Kamilli nigdy jej tego poznać nie dała.

- Dobrodziejstwa heroiny naszej prędko się rozgłosiły i miały pożądaný skutek. Pan Remigiusz i pan Paweł Smyczkowscy, dowiedziawszy się o posagu pańien Płachcianek, pogodzili się z sobą i obaj z lewej strony pokręcając węża, na znak zgody i ukotentowania,
- 7390 zajechali przed dom pana Płachty, który nie znalazł dla siebie dogodnej posesyi, i żył tymczasowo w miasteczku, uważając to za rzecz bardziej komilfo. Zastali tam zgromadzoną całą rodzinę, Pan Płachta, jako dyplomata, czytał gazety, pani Płachcina siedziała na kanapie, obok niej obie panny, a naprzeciwko siedział pan Jakób, grał na gitarze i śpiewał: „Te brzóz kilka“. Zaczerwieniły się panienki, obaczywszy panów Smyszkowskich i krzyknęły obie. Krzyk ten przerwał śpiew pana Jakóba w miejscu najpatetyczniejszym, to
- 7400 jest w połowie wyrazu: Lucyna. Wszakże nie gniewał się o to były czapliniecki Orfeusz, bo tegoż samego wieczora nastąpiło oświadczenie, a we trzy tygodnie potem, gdy pan Remigiusz przywiózł z Łucka indult i dyspensę biskupa dla dwóch sióstr, wychodzących za dwóch braci, odbył się ślub solennie i o tyle komilfo, o ile stawało funduszów. Wszakże pani Birucka, która mieszkała o sześć mil od państwa Płachtów, upewniała pod sekretem i ruszając ramionami, że wszystkie koszty na wyprawę i na ślubłożył tajemnie pan Jakób
- 7410 pod pretekstem pożyczki.

Po ślubie pan Remigiusz z żoną i pan Paweł z żoną pojechali do pana Starzyckiego, który im wypłacił natychmiast trzydzieści tysięcy.

Gdy ta wiadomość gruchnęła po okolicy i gdy się przekonano, że to nie prosta obiecanka, ale że nie żartem wypłacają posag gotowizną i natychmiast, rzucano się do pozostałych jeszcze pięciu panienek. z których 7420 panna Birucka starsza wyszła za pana Zarzyckiego młodego, a młodsza panna Birucka została panią Cępowską. Inne znalazły sobie także mężów, a niektóre nawet dobre partye. Niektórzy nawet na dwie małe córeczki państwa Skrętskich i na córeczkę państwa Pożyczkowskich obrócili oczy i postanowili na nie czekać.

Z chłopczyków sześciu zaczęło edukację; dwóch 7430 pana Zarzyckiego, jeden pana Cępowskiego i trzech drobniejszej jeszcze szlachty. Inni czekali dziesiątego roku. Tych sześciu pan Starzycki sam odwiózł do Równego, oporządził i ulokował. Wszystkim zaś młodym mężatkom, którym oddawał posagi, wszystkim dzieciom, na które nadziewał szkolny mundur, wrażał w pamięć, aby niezapominały z czyich rąk odbierają tak wielkie dobrodziejstwo, że szlachetna kobieta, która je świadczy, innej wdzięczności nie wymaga, jak codziennej modlitwy za duszę jej ojca.

Tymczasem mijały tygodnie i miesiące, przeszło 7440 lato i jesień uchodziła. W połowie października, właśnie w rocznicę tego dnia, kiedy panna Kamilla poznała pana Józefa, wychodząc z fary, spostrzegła przed kościołem podróżną kareta. Wsiadł z niej młody człowiek niewielkiego wzrostu, ale czerstwej i przystojnej twarzy. Ozdabiały ją ładne wąsy, gęste włosy wychodziły z pod podróżnej czapeczki, a we wszystkich jego ruchach była jakaś pewność i żywość. Za nim wysiadła młoda, ładna blondynka, z śmiejącem się i uszczęśliwionem licem. Podał jej obie ręce ów młody człowiek i pomagał wysiadać z karety, z której ona z żywością i śmiechem wyskoczyła. Za nimi wysiadł trzeci mąż- 7450 czynna, przyzwoicie ubrany, w czamarce nowej i mi-

litarnie zapiętej, wąs miał rudawy i cokolwiek siwiejący, czapeczke na uchu i we wszystkich jego ruchach znać było dawnego wojskowego. Gdy młoda para, wzięwszy się pod ręce, poszła do kościoła, furman rzekł do owego pana, który wysiadł ostatni:

— Proszę pana, czy mam tu czekać?

— A jużci tu, mosanie, póki państwo nie wyjdą z kościoła.

— A jak nas stąd spędzą? — zapytał furman.

7460

— Ej! pluń na to, mosanie — odpowiedział wojak; będziesz mi się bał Niemca z laską i z rzemieniem. Małós ich widział? Zjadłby ̄mi sto dyabłów który z moich... — mrucał potem do siebie pan Siodłowski, którego zapewne czytelnicy poznali i poszedł do kościoła.

7470

Uderzona znajomą sobie twarzą, chociaż nadzwyczajnie zmienioną, zatrzymała się z boku panna Kamilla, i gdy pan Siodłowski się oddalił, posłała lokaja do ludzi zapytać, czyja to karetta i kto ta pani. Dowiedział się człowiek, że to powóz pana Henryka Podziemskiego, że ta pani to jego żona i że wracają do matki na Wołyń. Serdecznie ucieszyła się to wiadomością panna Kamilla i podziękowała Bogu, że i ten ciężar spadł jej z sumienia.

7480

Pan Henryk wyjeżdżając z domu, wziął z sobą Siodłowskiego na usilne prośby matki i dla jej uspokojenia. Przejechał Lwów i udał się prosto do Wiednia. Tam osiadłszy z wielkiem nieukontentowaniem pana Siodłowskiego, który nie wiedział co robić między Niemcami, zaczął życie twarde, pracowite i oddane wszelkiego rodzaju ćwiczeniom. Miał dwóch nauczycieli: jednego literatury, drugiego historyi; wstawał o godzinie piątej, sypiał na twardym materacu, wyrzucałszy niemieckie piernaty; codzień chodził do zupełnego umęczenia, fechtował się, uczył się strzelać, jeździć konno i w szkole pływania był najzawziętym uczniem. Wspomnienie upokorzeń, których doznał, dodawało mu wytrwałości, a widoczne wzmaganie się sił.

zręczność i śmiałość, których mu stopniowo przybywało, obudziły wrodzoną odwagę i energię, które pierwotna edukacja uderzyła letargiem. Po roku takiej pracy wiedził brzegi Renu, obszedł piechotą Szwajcaryę i wrócił do Galicyi, do krewnych, których miał w stanisławowskim cyrkule. Tam poznał kuzynkę niezbyt bogatą, ale żywą, ładną, której się podobał. Ucieszony tem szczęściem, którego w chwilach rozpaczy nigdy się już nie spodziewał, aby się podobać kobiecie miłej i edukowanej, przystał do niej sercem i duszą i, otrzymawszy pozwolenie matki, ożenił się.

7490 Właśnie teraz wracał do domu, zdrów, śmiały i szczęśliwy, nie wiedząc o tem, że przechodził pod bokiem tej, która pierwsza obudziła w nim to uczucie poniżenia, w jakim się znajdował, i w którym byłby prędko zginął, gdyby jej wzrok pełen życia i siły, nie padł był na niego, jak ożywiający promień słońca na roślinę blizką zwiędnięcia.

7500 I znowu przechodziły tygodnie i miesiące i zima się skończyła. Gdy przyszła wiosna, gdy się wszystko okryło zielonością, gdy ptaki śpiewały miłość, gdy kwiaty zwracały się ku sobie, gdy w powietrzu pełnem woni wszystko powoływało istoty żyjące do szczęścia i radości, panna Kamila poczuła nieogarnioną tęsknotę i zebrawszy się jednego wieczora po nie-sporach, gdy się poradziła z Bogiem nazajutrz wyjechała.

7520 Dziadzio właśnie stał w ganku, w popielatej czapeczce na bakier z toporkiem w ręku, gdy zajęchała karetą i panna Kamilla, w czarnej jeszcze sukni, z niej wyskoczyła, rzuciła się w jego objęcie i zaczęła ręce jego całować. Płakał pocziwy starzec, ścisnął ją i zaniósł prawie na ręku do pokoju. Nie będziemy opisywać przywitania jej z resztą familii, bo to są chwile święte, których nie godzi się profanować słowami. Dodamy tylko, że babunia przez cały czas nie puszczała jej od siebie. Trzymała jej rękę i wpatrywała się w tę twarz czarującą, na której zostały ślady cierpienia, głębszych refleksyi. a czyniac ją poważniejszą, niż była, jeszcze ją piękniejszą robiły.

Nazajutrz pan Starzycki przybył do Szyszkowiec
7530 i, zdawszy jej sprawę ze stanu majątku i interesów, chciał jej zdać cały zarząd, który przez półtora roku sprawował. Ale panna Kamilla uprosiła go, aby to odłożył na potem, że jeszcze jej serce i głowa potrzebują wytchnienia i że nie zdolna niczem się zająć. Tak przeszły dwa tygodnie na odpoczynku, na odwiedzaniu państwa Starzyckich w Czaplifcach i na rozmowach a niekiedy i na szeptach z babunią.

W połowie maja, już po dziesiątej wieczorem, na cmentarzu parafialnego kościółka, stał oparty o kra-
7540 ty grobowca mężczyzna czarno ubrany i patrzył na pływający po niebie księżyc, który co chwila chmury zakrywały. Wtem posłyszał szelest i spostrzegł zbliżającą się osobę w żałobie i z zakrytą twarzą. Przystąpiła do niego spokojnie, podała mu rękę i otworzywszy drzwi, weszła z nim razem. Tam uklękli oboje i modlili się długo. Klony szumiały nad ich głowami, bzy rozkwitające błękitnymi kitami, dotykały ich ramion, a księżyc uwalniając się od chmur, które stopniami uciekały, zawisł nad nimi na czystym i błękitnem niebie.
7550 Po dwóch godzinach klęczenia wyszli. Ona zamknęła kratę, podała mu znowu rękę i poszła. On został jeszcze przez czas niejaki na miejscu i także zwolna się oddalił.

Nazajutrz państwo Starzyccy odebrali bilecik od panny Kamili, że jutro o godzinie jedenastej czeka ich wszystkich u siebie i że prosi na wszystko, aby i babunia nie odmawiała jej tego szczęścia i przyjechała także, że przyśle po nią karete i spokojne konie, żeby jej było wygodnie i bezpiecznie. Babunia uśmiechnęła
7560 się jakoś nieznacznie i przyrzekła, a posłaniec powrócił galopem.

Na drugi dzień o godzinie jedenastej dziadzio, babunia wystrojona i wyswieżona i państwo Starzyccy weszli do pokoju w Szyszkowcach, zastali tylko pannę Beldeau, która ich przyjmowała, oświadczając że panna Kamilla zaraz wyjdzie. Wkrótce zjawiono się kilku oficyalistów, którzy także byli wezwani. Po chwili przybył

7570 i ksiądz przywitał wszystkich nie mówiąc, po co przyjechał; pan Starzycki widząc to chodził niespokojny i tarł ręką czoło, a babunia nieznacznie uśmiechała się. Nareszcie otwarły się drzwi od bocznego pokoju i wyszła panna Kamilla w białej sukni, z mirem na głowie i z woalem. Nie miała na sobie żadnych ozdób, nie miała brylantów, jaśniała tylko poważną i dziwną pięknoscia. Prowadził ją pan Ignacy. Za nią szedł pan Józef ze spuszczonei oczami, którego prowadziła Anulka.

7580 Gdy wszyscy byli zadziwieni tym widokiem i uderzeni wdziękami obojga, podała rękę kochankowi panna Kamilla i uklękła z nim razem przed babką.

— Ty błogosław najpierwsza — rzekła rozrzewniona panienka — on twój.

Pobłogosławiła ich staruszka ze łzami, dziadzio przyłączył swoje błogosławieństwo. Wtenczas panna Kamilla, zwracając się do pana Starzyckiego, który stał zamyślony, rzekła:

7590 — Ojcie! bałam się twoich skrupułów, i dlatego ten sekret przed tobą. Twoja matka wiedziała o wszystkim i pobłogosławiła. Daruj i ty jemu i mnie i pobłogosław. Myśmy dużo cierpieli, długo walczyli i należy się nam cokolwiek szczęścia od ziemi. Proś za nami, mamó!

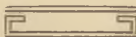
To powiedziawszy, upadli oboje na kolana przed rodzicami. Zwyciężony pan Starzycki, położył ręce na ich głowach i rozrzewnionym głosem rzekł:

7600 — Widać taka była wola Stwórcy. Niech wam da szczęście, boście go warci oboje. — Matka także żegnała ich, płacząc. Otrzymaawszy błogosławieństwo wszystkich, weszli do sali, gdzie był przybrany ołtarz, przy którym stał już proboszcz.

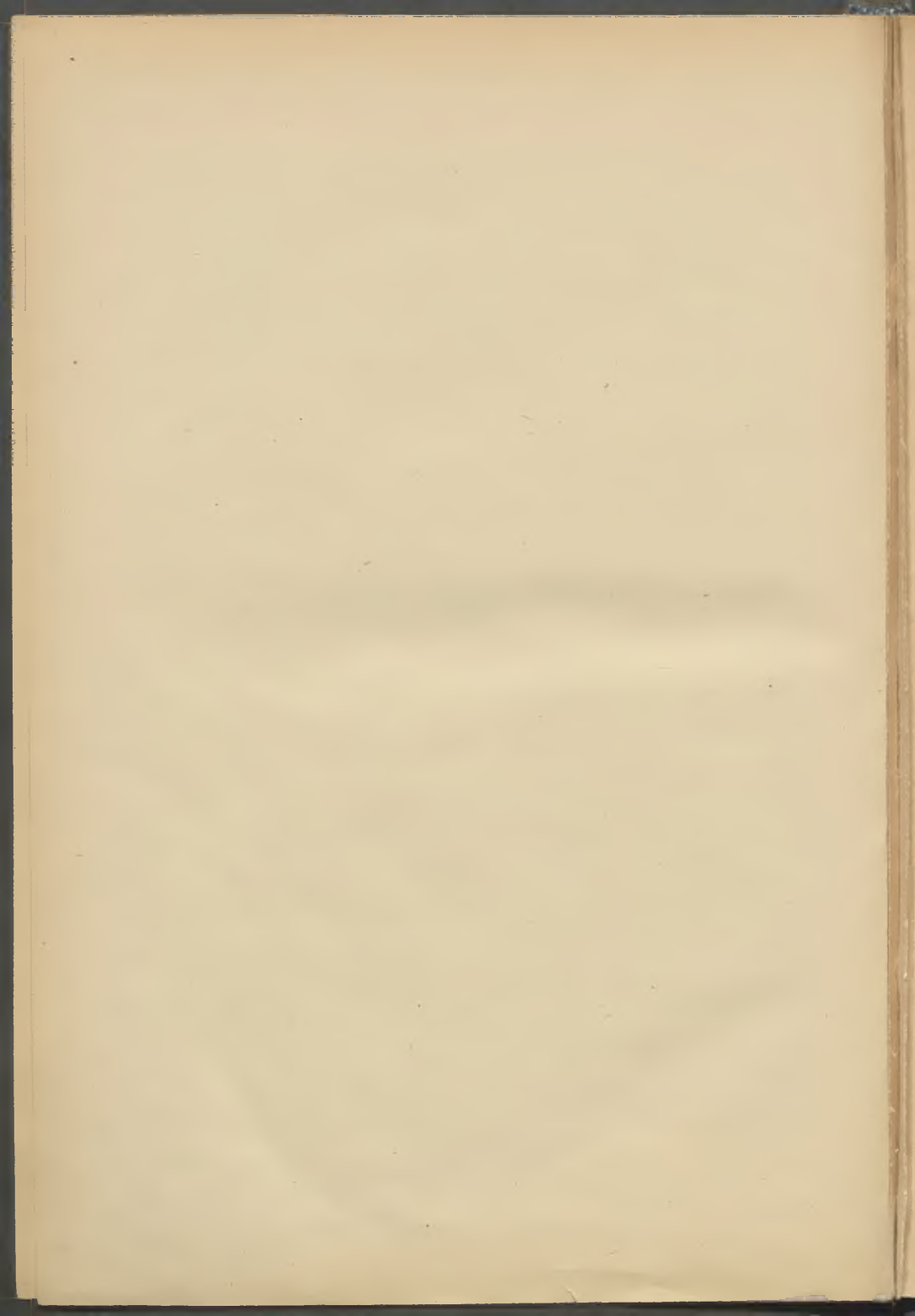
Po skończeniu ceremonii, pani Józefowa, obracając się do męża i podając mu obie ręce: — Józiu mój — rzekła — teraz razem do śmierci tu, a może Bóg da razem i tam.

Objął ją uszczęśliwiony mąż, przycisnął do serca i tak się wszystko skończyło.

Odtąd zgoda, miłość i pokój panują w tym domu. Kwitnie majątek, swawolą¹⁾ prawnuczki, rosną dziatki wyposażonych panienek, uczą się chłopczyki i poddani błogosławią; bo szczęście, wysłużone walką, bo dobrymi 7610 czynnościami uproszone przebaczenie za winy przodka, serca młodych małżonków oczyszczone od próżności, bo umiarkowanie i rozum ojca kieruje ich szlachetnymi popędami a modlitwy dziadzia i babuni ciągle się nad nimi unoszą.



¹⁾ swywola.



Objaśnienia.

Kollokacya jest to osadzenie wierzyciela na kawałkach roli, które odpowiadają jego pretensjom. Kollokacyę poprzedza zwykle *eksydywizya*, na której wydziela się, co się komu należy od dłużnika.

- w. 12. „koleje“ — ślady, wyciśnięte przez koła wozów.
- w. 24. „koń Farysa“, którego opisał Mickiewicz w kasydzie na cześć emira Tadz-ul-Fehra:
„Gdy kopyta utoną w piaszczyste potoki
Z głuchym szumem, jak w nurtach wody stal gorąca...“
- w. 27. „Starokonstantynowskiego powiatu“ — Stary Konstantynów, miasto wołyńskie nad Słuczą. Pod miastem odbyła się pamiętna bitwa w czasie buntu Chmielnickiego (26 lipca 1648), opisana w „Ogniem i mieczem“ Sienkiewicza.
- w. 45. *salopa* — kobiece okrycie.
- w. 56. *drażek* — raczej *drażki* — wóz, kałamaszka, stąd szlachtę biedną zagonową, jeżdżącą wozami, zwano *drażkową*. Były i urzędy drażkowe tj. *niższe*.
- w. 65. „przez kontrast“ — przez przeciwieństwo.
- w. 65. „Belcią nazywała“. Jest to właściwie spieszczenie imienia Izabela, tu urobione z nazwiska *Beldeau*, może dla kontrastu, że Francuzica była brzydka, a po franc. *la belle* — piękna.
- w. 70. „*Ei! quel vilain pays!*“ = Pfuj, co za obrzydliwy kraj!
- w. 79. „Szyszkowce“. Wsi takiej na Wołyniu niema. Nazwa ta jest zapewne reminiscencyą z dzieciństwa autora, gdyż w pow. *brodzkim* jest wieś Szyszkowce.
- w. 82. *desperować* — rozpaczać (łać. *despero*).
- w. 90. „*quel gens, mon Dieu! oh! le maudit pays!*“ = Co za ludzie mój Boże! och, przeklęty kraj!

- w. 107. *ślepy* — nazwa konia, albo rzeczywiście koń ten był ślepy na jedno oko.
- w. 109. *białonóżka* — koń, mający białą sierść na goleniach.
- w. 110. „kredensowa piechota“ — jest to wyraz pogardy furmana dla lokaja, który się na koniach nie rozumie i jeździć nie umie.
- w. 114. *Sztelwaga* — belek przybity w poprzek dyszla; przyczepia się do niego dwa poprzeczne drażki na szleje.
- w. 124. *Czaplińce*, nazwa wymyślona (w Polsce są tylko *Czaplice* i *Czapliniec*).
- w. 127. *eksdywizya* = podział majątku dziedzica między jego wierzyteli. Jak się odbywały takie sądy i podziały, czytamy w piętnym „*Obrazie litewskim*“ Ig. *Chodzki*. S. 1. „Ostatnia sesja eksdywizyi“. S. 89.
- w. 140. „pruskiej metody zaokrąglania“ — naród ten cechuje zaborczość i chciwość, nie liczącą się z wyborem środków.
- w. 188. *najdyczanka*, raczej *najtyczanka* l. *nejtyczanka* (z niemiec), powóz podłużny, z tyłu nieco podniesiony, z wasągiem wyplatany.
- w. 201. *chomąty*, raczej *chomąta* (od *chomąto*) — część uprzęży konińskiej; obłak, wkładany koniowi na szyję. Są krakowskie, angielskie etc.
- w. 202. *pofolgować* = ulżyć (niem. *folgen*)
- w. 212. *kocz* — rodzaj powozu.
- w. 232. konie *lejcowe* i *dyszlowe*. Lejcowe: pierwsza para, dyszlowe: druga, tuż przy wozie.
- w. 233. *nazad* (prowinc.) = napowiót.
- w. 253. „*mon Dieu!*“ = mój Boże!
- w. 256. „*płaszcząc*“ — dziś: *klaszcząc*.
- w. 260. „*kozaczkowi*“. Małych chłopców ubierano z ukraińska i tak nazywano.
- w. 264 „*się zrezygnuje*“ — zgodzi się, wobec braku innego sposobu.
- w. 285: „*certować się*“ — ociągać się, wzdragać się (łac. *certo*).
- w. 294. *waszątek* — wasąg, kosz wyplatany w najtyczance.
- w. 303. *minoderya* — strojenie miuek, mizdrzenie się, wdzięczenie się (fr. *minauderie*).
- w. 317. „a razem“ (prowinc.) — a zarazem.
- w. 318. „*pedanckie*“ (= pedantyczne), *drobiazgowe*, *sztynne*. *Pedant* (włos.) = wychowawca, mistrz ceremonii, potem ten, który kładzie wielką wagę na drobiazgowe formalności, bojaźliwie trzyma się sztywnych form lub poglądów ograniczonych.

- w. 329. *karesować* — pieścić (łac. *carus*).
- w. 427. „był prezes zupełnym Jezuitą. Dla niego cel był wszystkim“. Utało się przekonanie, które, jak widzimy, podziela i autor, że Jezuitci zbyt dbali o dobra doczesne i dążyli do nich nie zawsze odpowiedniami drogami.
- w. 437. „stół jego“ — wikt (metonymia).
- w. 443. *basta* (z włosk.) — dosyć! koniec! kwita! skończone!
- w. 454. *defensywa* — stanowisko odporne (fr. *defensive*).
- w. 487. „kompletnie“ — zupełnie.
- w. 518. *pronuncyacya* — wymawianie, wygłaszanie dźwięków.
- w. 531. *kulce* — kulczyki.
- w. 549. *kilimek* — koc, pleciony z kolorowych sznurków konopnych.
- w. 541. „szleje parciane“. Szleje, część uprzęży końskiej; parciane — plecione ze szpagatu.
- w. 555. *ekwipaż* — wóz (z fr. *equipage* = koń i wóz.)
- w. 560. *szory* — część uprzęży tj. pas idący pod brzuch i ponad grzbiet koński.
- w. 592. „owa czwórka na kościele św. Marka w Wenecyi“. Nad portalem „Chiesa aurea“ (złotej świątyni ś. Marka) stoi czwórka koni z brązu. Każdy z nich waży blisko 2000 cetnarów. Jest to rzeźba starożytna. W r. 1797, kiedy rzplta Wenecka bez walki została zajęta przez Francuzów, kazał Bonaparte konie te zdjąć i zawieźć do Francyi. Dziś są one znowu w Wenecyi.
- w. 609. „spodnie nankinowe“. Nankin, tkanina, mająca nazwę od chińs. miasta Nan-king. Jest to mocna, gęsta tkanina, barwy żółtawej lub czerwonawej, bo taką naturalną barwę ma wełna (*Gossypium religiosum*), rosnąca w Indjach wsch.
- w. 615. *subordynacya* — posłuszeństwo, nie dopuszczające żadnego uporu.
- w. 619. „Szejne-Morejne“. — Morejna, More morene — żyd spanoszący elegant, arystokrata żydowski, (z hebr. *moreh* = nauczyciel, mistrz, *nu* — nasz) *Szejne*, to żargonowe *schön*.
- w. 636. „pierwiastkowo“ — pierwotne.
- w. 637. „w szkołach w Krzemieńcu“. Twórcą gimnazjum wołyńskiego w Krzemieńcu był Tadeusz Czacki (1765—1813), uczony autor dzieła „*O litewskich i polskich prawach*“. Zostawszy w 1803 wizytatorem szkół w gub. wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej, postanowił mieć szkołę, odpowiadającą praktycznym celom, zastosowaną do życia. Zbiere pieniądze drogą składek a H. Koł-

- łatajowi powierza opracowanie szczegółowego planu. W 1805 otworzył liceum. Cztery klasy niższe były podobne do odpowiednich klas w innych szkołach średnich; dwie wyższe były z cechą uniwersytetu tj. były tam 3 wydziały: filologiczny, matematyczny i prawniczy. Kurs w każdym wydziale trwał 2 lata. Później dodano jeszcze „szkołę mechaników“.
- w. 640. „był dwa lata na pierwszym kursie“ — jak powyżej objaśniono.
- w. 642. „od książki do łokcia“ — *metonymia* (znak za rzecz oznaczoną).
- w. 658. *klientela* tj. ci, którzy potrzebują usługi, rady lub pomocy jakiegos zawodowca. Zakres tego pojęcia rozszerzono, bo pierwotnie w Rzymie „*clientes*“ byli to potomkowie podbitych ludów; wyzwolnicy, cudzoziemcy lub pograniczni mieszkańcy. Mieli oni w Rz. swych „patronów“.
- w. 662. „beneficya“, tu — dochód, zysk, prowizya (łac. *beneficium*).
- w. 664. *kontynuować* = dalej prowadzić.
- w. 670. *ziemska policya*. Składali ją *asesorowie*, obierani przez rząd lub obywateli. *Ziemski* — autonomiczny, lecz była to tylko czeza tytułatura, bo autonomia, choć ją w „Statucie organizacyjnym“ po r. 1831 zapewniono, była deptana przez Rosyan na każdym kroku.
- w. 678. „zrobił sobie... reputacyę — wyrobił sobie rozgłos.
- w. 680. *bonifikować* — wynagradzać (łac. *bonifico*).
- w. 708. „lekcye wymowy... na pierwszym kursie“ — zapewne Szłoma był na pierwszym kursie wydziału filologicznego w liceum.
- w. 718. *filut* — frant, oszust, krętacz, éwik (fr. *filon*).
- w. 721. *capstrzyk* — znak na bębnie lub na trąbie na spoczynek nocny (niem. *Zapfenstreich*).
- w. 748. „pan znajdujesz, że...“ — błędna składnia, za: uznajesz, sądzisz, że.
- w. 749. „rezygnując się“ — używane bez „się“ — wyrzekać się czego (łac. *resigno*),
- w. 763. *konfidencyjnalnie* — poufale (łac. *confidenter*).
- w. 779. *Jampolszczyzna*. Jampol miasteczko w pow. krzemienieckim nad Horyniem. Dawniej prywatna własność. (Jest też *Jampol* na Podolu nad Dniestrem).
- w. 782. „tradować“ — nękać procesem, pieniać.
- w. 800. „rewersik“ — rewers, kwit, dany w zamian za pożyczkę.
- w. 825. „*Hic mulier*“ (dosł. *ten* kobiota) = Herod baba. Zaimek ro-

dzaju męskiego, aby zaznaczyć męskie, szorstkie usposobienie kobiety.

- w. 830. *transakcja* — umowa.
- w. 833. „za męską duszę“. Dusza znaczy tu *poddany*, bo przy kupnie dóbr nie tylko płacono za wieś ale i za chłopów.
- w. 849. „ostatniej rewizyi“ tj. spisu ludności (konskrypcyi).
- w. 853. „kontrakty w Dubnie“. Dubno na Wołyniu nad Ikwą Słynne z jarmarków i kontraktów tj. zjazdów w pewnych oznaczonych terminach, dla zawierania umów wszelkiego rodzaju. Zastępowały one poniekąd dzisiejsze banki, giełdy i biura wywiadowcze. Kontrakty bywały też w Kijowie i Mińsku.
- w. 854. „posesyjka“ — mała dzierżawa.
- w. 862. „do akt“ — do urzędu.
- w. 871. „połowica“ — żona.
- w. 880. *szlarka* = koronka niciana, służąca do obramowania jakiejś części bielizny.
- w. 903. „Jak niegdyś Ludwik XIV...“. Karol II. w 1700 r. ułożył testament, w którym monarchię hiszpańską przekazał Filipowi ks. Anjou (wnuk Ludw. XIV.) pod warunkiem, że żadnej części nikomu nie ustąpi i korony hiszp. nie połączy z francuską. Ludwik XIV. wyprawił więc do Hiszpanii wnuka, którego tam powitano z radością, jako Filipa V (1701—1746). Tak „znieściono“ Pireneje między Hiszp. i Francją.
- w. 908. „augurowie rzymscy“. Byli to kapłani (*augures*), którzy tłumaczyli wolę bogów z lotu ptaków i różnych zjawisk natury. W czasach upadku wiary kapłani ci dopuszczali się oszustw, okłamując lud naiwny, bez świadków jednak nie potrzebowali się krepować i wysmiewali zapewne oszukanych.
- w. 923. *Malaga* — hiszpańskie wino słodkie z winnic i wzgórz koło m. Malagi (*montes de Malaga*).
- w. 935. *typy*, typem zowiemy osobnik (lub rzecz), jednoczący w sobie charakterystyczne cechy danego rodzaju czy gatunku.
- w. 936. „rozporządzeniem wewnętrznem“ — urządzeniem, rozkładem.
- w. 973. „obniesione“ — ogrodzone.
- w. 976. „drzew fruktowych“ — owocowych.
- w. 1012. „manszestrową“ — Manchester (wym. mǎnczestr) rodzaj akсамitu, wyrabianego w mieście M. koło Londynu i Liwerpolu.
- w. 1014. „zajęczą czapeczkę“ — z futerka zajęczego.
- w. 1046. *zadysponowany* = zarządzony (łac. *disponere*).
- w. 1084. „kardynalnie uczciwy“ — zupełnie, nadzwyczaj.

- w. 1085. „gorączka“ — krewki.
- w. 1089. *generyczny* — rodzajowy (fr. *generique*).
- w. 1100. *króbkka* — naczynie, zrobione z kory drzewnej.
- w. 1102. *kontradykcyja* — opór, sprzeciwienie się.
- w. 1108. *dośpiaty*, *dośpiąć* (stpols.) — dojrzały — ewać.
- w. 1109 „prymicye“, raczej *nowalie* tj. pierwsze owoce, bo prymicyami nazywamy zwykle pierwszą mszę, odprowadzoną przez świeżo wyświęconego księdza.
- w. 1118. *maryasz* — polska gra w karty.
- w. 1120. „skrzatna w stroju“ zam. porządna. nie zaniedbana.
- w. 1127. *predylekcyja* — zamiłowanie (z łac.).
- w. 1135. „perfekcyi“ — doskonałości (z łac.).
- w. 1170. *czamarka*. suknia męska, zapinana pod szyję, *węgierka* Z perkiego *dżamè*, *czamè* = suknia, przez włos. *acciamarra* = kożuch.
- w. 1173. „personale“ — członkowie
- w. 1171. „karykatury“ (z fr. *caricature*) właściw. obraz satyryczny, tu = człowiek moralnie nędzny, śmieszny.
- w. 1186. „z paciorkami“ = z różańcem.
- w. 1216. „Latyczowski powiat“ — Latyczów m. w gub. podolskiej, z cudownym obrazem M. B. W 1831 w bitwie pod Latyczowem zginął Ignacy Sierakowski
- w. 1219. „rzeczy bierze sery“ — poważnie (z łac.)
- w. 1294. „pasyans“ (z fr. *patience*) gra w karty. Gra tylko jedna osoba, układając karty w przepisane szeregi
- w. 1294. *kabała*, podobna gra, połączona z wróżeniem. Komu się wróży ten musi karty zdjąć (zebrać)
- w. 1407. „zaaprobuje“ — zezwoli na
- w. 1412. „kokieterya“ (fr. *coquet*) — właściwa niektórym kobietom chęć podobania się, zwrócenia na siebie uwagi.
- w. 1418. *pretekst* — pozór, wymówka.
- w. 1431. „totumfackim“. — Jest to barbaryzm (z łac.), a zwano tak po dworach szlacheckich rezydentów, którzy byli wszystkim i wszystkim się zajmowali.
- w. 1433. „komilfo“ — na wyrażenie, że coś jest bez zarzutu, bez błędu wytwornie, szykownie (fr. *comme il faut* dosł. = jak należy).
- w. 1437. „A Madame la Comtesse Płachcina“ = Do pani hrabiny P.
- w. 1438. „monsieur Płachta“ = pan P.
- w. 1430. „imitując“ = naśladować (łac. *imito*).

- w. 1443. „przeciągała... na przedostatniej zgłosce“ tj. nadawała wyrazom akcent polski, bo francuskie mają na ostatniej.
- w. 1444. „partykułów *en i y*“ — raczej *partykuł* tj. przyimków.
- w. 1445. „pasyami“ — namiętnie (fr. *passion*).
- w. 1445. „*En voulez du cafe? monsieur Jakób!*“ = ma to znaczyć: Chce pan kawy, panie Jakóbie?
- w. 1448. „cholewki smalił“ (lub: palił) — stroił koperczaki, umizgał się.
- w. 1452. „Te brzóz kilka“ — do tej znanej pieśni muzykę popularną dorobił niejaki p. *Bystry* z Czerwiszcz. (Al. Przędziecki: Po-dole, Wołyń, Ukraina — Wilno 1841. T. II. 135).
- w. 1458. „*Madmosel Zenobi i Kryspin*“ (*mademoiselle* = panna) tak z francuska po polsku wyrażał się p. Płachta.
- w. 1459. *progenitura* — dzieci.
- w. 1460. „panienki lat dziewiętnastu i ośmnastu“, błędna składnia (dziewiętnastoletnia).
- w. 1466. *attynencye* = przynależności.
- w. 1482. *beret* (lub: *biret*) — czapka hiszpańska bez daszka.
- w. 1493. *fermoar* (*fermuar*) — zameczek, klamerka u naszyjników. pa-ciorków (fr. *fermoir*).
- w. 1499. *reprezentować* — przedstawiać, tu: zastępować.
- w. 150 i. „mahoniowe forniry“. Fornier (*forner, fornir*) po pols. „okleina“, deseczki z kosztowniejszego drzewa do wykładania robót stolarskich. *Mahoń* cenne i szlachetne drzewo (*Swietenia maha-goni*), barwy żółtawej do ciemnoczerwonej, dochodzi do twardości kamienia. Rośnie w Meksyku i Indiach zachodnich.
- w. 1517. „fontaż“ — kokarda, węzeł (fr. *fontagne* od nazwiska damy dworu Ludwika XIV, panny de *Fontages*).
- w. 1517. *halsztuk* = chustka na szyję (niem. *Halstuch*).
- w. 1538. *siermiega* — chłopskie ubranie wierzchnie.
- w. 1550. *korpulentny* — mający dużo ciała, tłusty.
- w. 1550. *Iryda*, *Iris*. starogrecka boginka, uosobienie tęczy, posłanka Hery. Idąc z Olimpu na ziemię znaczyła swą drogę siedmio-barwną tęczą.
- w. 1548. „szalik gazowy“ z cienkiej, przeźroczystej materyi (muślinu).
- w. 1556. „*Eh bien, monsieur!*“ = a więc, panie!
- w. 1570. *nimfy*, starożytne boginki przyrody. Stronią od gwaru, mieszka-ją w górach, lasach, u źródeł, po polach i łąkach. Stąd różnie się nazywały: Oready, Dryady, Najady etc.
- w. 1575-6. „*Zenobi, Kryspin! en venez-vous? ou non? Nous y venons,*

- mamam, tout-de suite* — ma to znaczyć: Zenobio, Kryspino, wychodźcie, czy nie? Idziemy, mamó, natychmiast.
- w. 1591. *facjata* — twarz (łac. *facies*).
- w. 1617. „tyfoń“ — rodzaj muszliny lub batystu.
- w. 1634. *chimerowaty* — kaprysiły, grymasiły.
- w. 1643. *flondrowaty* — tak zwie się rodzina ryb, tu znaczy: nieporządny niedbały, brudny,
- w. 1650. *Scylla i Charybda* — znane z Odyssei. W pobliżu Sycylii miał być straszny wir morski Charybda, który wszystko pochłaniał a tuż obok, w grocie nadmorskiej mieszkał potwór, Scylla. Kto z płynących uciekł przed Charybdą, wpadał na Scyllę.
- w. 1680. *hataburdy* (prowinc.), — ludzie wszczynający kłótnie, awantury.
- w. 1687. *prym*, głos, oddający właściwą melodyę. Towarzyszący głos zwie się wtórem, *akompaniamentem*.
- w. 1702. „z potrzebami“ — z ozdobami (guziki, tasiemki etc.)
- w. 1703. „bakenbardy“ (bokobrody, baki) — faworyty (z nmc.)
- w. 1721. „kompletna“ — zupełna.
- w. 1727. „*les bules*“ — nic nie znaczy, — polski wyraz z rodzajnikiem francuskim i końcówką.
- w. 1747. „kortowe szarawarki“ — spodnie z pewnego rodzaju tkaniny.
- w. 1750. „paliowa“ — koloru słomkowego (fr. *paille*).
- w. 1765. *Orfeusz* — muzyk grecki, grał tak cudnie, że wzruszał zwierzęta, drzewa i kamienie. Po śmierci żony swej, Eurydyki, poszedł do podziemia i muzyką wzruszył władców Tartaru, a ci pozwolili mu wziąć żonę na świat, ale pod warunkiem, że się nie oglądnie za nią. Orfeusz ogłódnił się, a żona znikła.
- w. 1769. „kastorowy“ — bobrowy; rodzaj pilśni aksamitnej na kapelusze.
- w. 1825. „*En voulez-vous chanter quelque chose, monsieur Jakób?*“ == Czy zechce pan zaśpiewać, panie Jakóbie?
- w. . *wirtuoz* — człek biegły w śpiewie lub granii.
- w. 1839. „tremolando“ (włos. *tremolo*) — w muzyce jest to szybkie powtarzanie tego tonu, w śpiewie drżący głos.
- w. 1937. *czarna melancholia* — Melancholia (z greck. — czarny gniew usposobienie) w pols. dodaje się zwykle przymiotnik „czarna“. Jest to chorobliwe zboczenie umysłowe ale lekkie i zazwyczaj nie towarzyszą mu zmiany mózgowie. Objawia się zadumą, smutnemi przecuciami, bolesną pobudliwością duchową, przymiastkami nastrojami.

- w. 1942. „cyganka“, bo, jak poprzednio wspomniano, miała trochę śniadą cerę (ciemną, jak Cyganka).
- w. 2007. „z gracya“ — z wdziękiem.
- w. 2012. *Qu'ordonnez-vous, Mademoiselle?* = Co pani rozkaże?
- w. 2013. „z charkotaniem“ — tj. gardłowym wymawianiem *r* z żydowska. Jest to sposób wymawiania zbliżony do francuskiego (wymawia się, dotykając podniebienia środkiem języka) tj. do t. zw. akcentu paryskiego“.
- w. 2018. *„Je m'ennuie à la mort, Monsieur Szloma. Ce n'est pas étonnant, la saison est tres mauvaise* = Śmiertelnie się nudzę, panie Szloma. — Nic dziwnego, pora jest bardzo brzydka.
- w. 2069. *„a propos“* — można to określić: „właśnie przychodzi mi na myśl“, „nawiażując do tego, o czym się mówi“, gdy w toku rozmowy przypominamy sobie nagle coś podobnego. Np.:
*„No, moi panowie! gdy mowa o wojnie
 Apropos napadu i ja coś opowiem“*
 (W. Pol „Wieczór przy komini“).
- w. 2072. „punkt do ustawienia bateryi“ — tak określa panna Kamilla znaczenie nabycia części p. Pożyczkowskiego.
- w. 2079. „ekspensować“ — lubiąca wydawać.
- w. 2088. „dasze swojej narzeczonej“ — tj. liczba poddanych chłopów.
- w. 2152. „ambicya pańska z dziadowską intratą“ -- pańskie zachcianki przy dziadowskich dochodach.
- w. 2175. *dystygować się* (dystygwować) = wybijać się, odznaczać, wyróżniać (łac. *distinguo*).
- w. 2214. *Żurawka* — istnieje więcej wsi o tej nazwie.
- w. 2295. „sukcesorka“ — spadkobierczyni.
- w. 2290. „pleura“ — zapalenie płuc (dawna nazwa).
- w. 2299. *Kopnówka* — nie istnieje, tylko *Kopnowo* na Pomorzu; *Krzaczki* wieś w pow. Starokonstantynowskim; *Mirskie* — nieznanne.
- w. 2447. „opium, co go truło“. Opium (*Laudanum, Meconium*), alkaloid ciała brunatne, które powstaje przez ścięcie się na powietrzu mleka z niedojrzałych główek maku (*Papaver somniferum*). Działa podniecająco i uspokajająco, usypia. W śnie występują widziadła i halucynacje.
- w. 2444. *patryarchalna rodzina* — odznaczająca się prostotą, powagą.
- w. 2498. „owo nałogowe uszanowanie szlachcica dla wielkiego pana“. — Bo mimo przysłowia „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie“ była w drobnej szlachcie z jednej strony zazdrość, z drugiej czołobitność i bojaźń wobec panów.

- w. 2545. *szeslong* (fr. *chaise longue*) = krzesło do spania.
- w. 2560. *sirpryza* — przyjemność, zabawa.
- w. 2566. *kredytor* — wierzyciel.
- w. 2573. „oblig zakładowy“ jest to zastaw, który dłużnik traci po pewnym terminie, jeśli długu nie zapłaci swemu wierzycielowi.
- w. 2596. „welinowy panicz“ — welin (fr. *velin* ⇒ pergamin do druku, papier dobry) — więc papierowy, bez życia panicz.
- w. 2597. „*intra parenthesim*“ — nawiasem powiedziawszy, że dodam, że wtrącę. że tak powiem.
- w. 2598. *traucymer* — damy dworskie, służba kobieca (z niem.).
- w. 2608. „u Szafnagla“ — widocznie ówczesny bankier w Krzemieńcu.
- w. 2619. „skrypta... ekwipowały“ — prawo ich wygasto.
- w. 2626. „mitra, choćby tylko sterczała na kądzieli“ — mitra jest odznaką rodu książęcego; „na kądzieli“ znaczy: ze strony matki.
- w. 2634. „wziął za dobrą monetę“ — przyjął za prawdę, ale w duchu nie uwierzył.
- w. 2657. „zagłębiona w Balzaku“. Balzac Honorusz (1799—1850) głośny romansopisarz franc. Pisał zrazu pod pseudonimem „H. de St. Albin“, potem pod własnym nazwiskiem realistyczne powieści. Był i dramatopisarzem. Jednym z jego dzieł i bardzo poczytnem było „*Physiologie du mariage*“ z 1830 r.
- w. 2658. „koryfeuszach ówczesnej literatury“ — autorowie przodujący poczytni. Koryfeusz (z grec. Koryfajos) był to w starogreckim teatrze przewodnik chóru, potem w ogóle ktoś, idący na przedzie.
- w. 2663. „*Fizyologię małżeństwa*“ Balzaka j. w.
- w. 2680. „uważała niższym od siebie“ — błędna składnia: uważać kogoś za co.
- w. 2687. „migrenowy głos“ — migrena: ból głowy, a więc chyba głos, jaki mamy, gdy nas boli głowa: staby, jęczący, powolny.
- w. 2703. *apatya* (z grec.) — nieczułość, obojętność.
- w. 2713. *opublikuje* — (roz. się: niewypłacalność) — ogłosi.
- w. 2717-41. *Henri! Henri!* — *Qu'y a-t-il, maman?* — *Sais-tu, Henri que je veux te marier, mon enfant?* — *Eh bien! comme vous voudrez.* — *Une brune piquantè et jolie. Mais elle n'a pas de naissance, mon ami... Vous dites, mamam?* — *Je dis, mon cher, qu'elle est riche. Veux-tu savoir son nom?* — *Oh! cela m'est egal.* = *Charmant gargon!* = Henryku, Henryku! Co takiego, mammo? Wiesz, Henryku, że ja chcę ciebie ożenić,

moje dziecko? — A dobrze! jak mama zechce. — Brunetka mi-
lutka i ładna. Ale ona nie jest z dobrego rodu, mój drogi. —
Co mama mówi? — Mówię, mój kochany, że jest bogata.
Czy chcesz wiedzieć, jak się nazywa? — O, to mi jest oboję-
tne! — Czarujący chłopak!

- w. 2768. „na awantaż“ — (fr. *avantage*) na korzyść.
w. . „cicha kontemplacya“ (fr. *contemplation*) — uwaga, zatopienie
się, zachwył
w. 2795. „zrobią muzykę“ (prowinc.) zagrają.
w. 2820. „*Henri! vous avez l'air-d'un niais*“ = Henryku masz głupią
minę
w. 2904. *hipokryzya* — udawanie.
w. 2994. *migdalik* — pogardliwa nazwa — niedolega.
w. 2995. „sytuacya... wyniesie do 2 milionów — majątek, opatrzenie.
w. 3033. „Zabokrzyce“ — takie nie istnieją, są tylko: Zabokrzeki, Za-
bokrzyecz, Zabokrzyczka.
w. 3085. *adorator* — wielbiciel.
w. 3085. „pretendenta do ręki“ — kandydata, ubiegającego się.
w. 3098. „przez konwersacyę“ — przez rozmowę.
w. 3101. „ładnych obrotów języka“ = ładnych frazesów, gładkich
okreśłów.
w. 3106. *imaginacya* — wyobraźnia.
w. 3134. „Jego imię coś tak brzmi, jak kasztan we francuskim języku“.
Le marron. Maro, przydomek rzymskiej familii (*cognomen*).
Mowa tu o poecie Publiuszu Wergiliuszu Maronie (70—19 a.
Chr), autorze sielanek, innych poematów i epei „Enejdy“.
w. 3140. „oto partytura *Normy*“. — Partytura—przedstawienie wszyst-
kich głosów jakiegoś dzieła muzycznego (tu opery) w ten
sposób, że każdy głos posiada swój odrębny systemat pięcioli-
nijny, wszystkie jednak, takt po takcie leżą jeden nad drugim
i pozwalają przez czytanie lub granie wszystkich razem stwo-
rzyć sobie obraz całkowitego ich brzmienia. Kompozytorem
Normy jest *Wincenty Bellini* (1802—1835). Opery jego od-
znaczały się szczerą uczuciowością i szlachetnym sentymenta-
lizem. Wielką sławę miała właśnie *Norma*, napisana w 1831.
w. 3161. „ze stajni Sławuckiej“. Sławna była stadnina w tem mieście.
w. 3172. *zręczność* — tu umiejętność, znajomość tego, co dziś nazywamy
„sportem“.
w. 3226. „romansie Kocka“ — *Kock Paweł* (1794—1871), romansopisarz

- dramaturg franc. chętnie czytany. Napisał około 50 roman-
sów Najpoczytniejsze: *Georgette, Gustave, Frère Jaques* itd.
- w. 3288. „trzępała“ (prowinc.) — paplała.
- w. 332. „z całą dyplomacją“ — tu z całym sprytem, ostrożnością.
- w. 3321. „za widną“ (prowinc.) = za dnia.
- w. 3375. *derutować*, (fr. *derouter*) = psuć szyki, przeszkadzać.
- w. 3368. „co się zrobiło... synowi“ (prowinc.) — co się stało.
- w. 3405. „tentować szczęścia“ — próbować (łac. *tento*).
- w. 3416. *Żytomierz* w gub. wołyńskiej, za buntu Chmielnickiego zbu-
rzony, potem stolica wojew. kijowskiego, za Rosyi stolica gub.
- w. 3417. *Owruż* — na Wołyniu, za Chmielnickiego spalony, potem od-
budowany.
- w. 3441. „bezdroż“ (y—e) — tu czas, w którym drogi₁ są nie do przebycia
- w. 3486. *reputacya* — mniemanie, rozgłos.
- w. 3499. *Trawiska* — nazwa stworzona przez autora.
- w. 3509. „na połowie drogi“ (prowinc.) — w połowie.
- w. 3506. „z rewizytą“ odwiedziny odwrotne.
- w. 3513. „zarekomendował“ — przedstawił.
- w. 3555. „transakcyja o kupno“ — umowa o kupno.
- w. 3557. *intromisyja* — prawo do wejścia i zajęcia dóbr.
- w. 3560. *Szumsk* — msko w pow. Krzemienieckim, niegdyś było księstwo
Szumskie (XIII w.) Zburzone za buntu Chmielnickiego było po-
tem własnością Radziwiłłów.
- w. 3704. „ulegając insynuacyom“ — wmawianiom.
- w. 3726. „mając obligacyę“ — zobowiązanie.
- w. 3737. „dla kontenansu“ (fr. *contenance*) — panowanie nad sobą,
zimna krew, swoboda.
- w. 3768. „admiruję pana“ — podziwiam (z łac.)
- w. 3773. „Trzeba się piędzą mierzyć“ — piędź, miara jaką tworzy od-
ległość palca dużego od małego przy największem rozpięciu
dłoni. Zwrot — trzeba poprzestawać na małym.
- w. 3906. *muslin* — delikatna, lekka, cienka tkanina, wyrabiana w turec.
mieście *Mosul*. — Są różne gatunki muslinu n. p. *vapeur*,
zephyr etc.
- w. 3911. „wino z etykietami“ — z kartkami nalepionymi na butelkach.
- w. 3912. „fawor“ — łaski.
- w. 3928. „nie pomogły wocyferacye“ — głośne napomnienia, wezwania
prośby, (barbaryzm),
- w. 3941. *tentacyja* — chęć spróbowania.

- w. 3946. „brali ryczałtem“ — na ogólny rachunek (właśc. jedno za drugim bez wyboru).
- w. 3954. „korzystając z dobrej zręczności“ — ze sposobności.
- w. 4001. *osiadłość* — obejście.
- w. 4022. „na walorowym papierze“ — na urzędowym (obowiązującym).
- w. 4037. „maneż“ (fr. manège) — sztuka jazdy konnej lub (tu) szkoła We Francji za Dyktoryatu, z resztek Jakobinów utworzyła się partya polityczna „parti du manège“, „société du manège“ zwana, bo posiedzenia swoje odbywała w maneżu koło Tuileryi.
- w. 4037. „półszorki“ — część uprząży końskiej tj. szeroki pas skórzany idący ponad grzbiet.
- w. 4097. *heroína* — bohaterka (z grec.)
- w. 4129. *pisarz prowentowy* — zapisywał dochody z browaru, gorzelnii etc.
- w. 4033. „weredyk“ — prawdomowny (z łac.)
- w. 4076. *piernaty* — materace
- w. 4264. *ordynans* — polecenie służbowe, rozkaz, służba (fr. *ordonance*).
- w. 4328. *masztalerz* — służący przy koniach,
- w. 4331. „rendez-vous“ = spotkanie, schadzka (fr.).
- w. 4333. „rajtfrak“ — surdut do jazdy konnej, angielskim krojem.
- w. 4334. „w determinowanej pozycji“ — w przepisanej.
- w. 4343. *munsztuk* — część wędzidła, wkładana koniowi do pyska.
- w. 4354. „puzderko“ — pudełko.
- w. 4386. *karyolka* — lekki wózek.
- w. 4428. „biednego Bajarda“. — Pierre Bayard du Terrail (1476—1524 zginał) zwany „Chevalier sans peur et sans reproche“, rycerz bez trwogi i zmyś, odznaczył się cudami waleczności i dużo legend o nim krążyło. Uchodził za ideał rycerza feudalnego: dzielny był, piękny, silny, szlachetny, wielkoduszny, wierny panom i damie swego serca.
- w. 4472. „i tak go zbujał“ — znarowił.
- w. 4480-87. „taj, jak go zakłnął“, „koń dawaj lecieć... strzemiona dawaj bić... ja dawaj gnać...“ prowincjonalizm: *taj* — i, wreszcie, wkońcu; *dawaj* — nuże, jak zacznie.
- w. 4553. „ja biję w asa“ — As, figura w kartach, jeden znaczek. Trafic kulą w asa oznaczało znakomitego strzelca.
- w. 4466. „pachnie Sybirem a przynajmniej fortecą“ — grozi wygnaniem na Sybir lub skazaniem na ciężkie roboty w fortecy.

- w. 4472. *karczma Niesiołowska* — Są miejscowości: Niesiołów, Niesiołowo.
- w. 4586. „na słonki“ — raczej *słonki*. Bekas słonka (*Scolopax rusticola*) z rzędu brodzieców, u nas zjawia się w czasie „ciągu“ jesienno-wiosennego.
- w. 4590. „strzelać, idąc od pierwszej mety do drugiej..“ — jest to ostry warunek w pojedynku. Jak później zobaczymy były 2 mety, szło się od 1 do 2-ej. Pierwsza tak odległa, że przeciwnicy stają od siebie o 30 kroków, potem idą do 2-ej mety, robiąc po 15 kroków i stanawszy o 6 kroków od siebie z tej 2-ej mety strzelają.
- w. 4638. *moralność* właściwa. — dobre obyczaje, niewłaściwie: etyczny. Dzieło moralne, które przedstawia jakiś wypadek, zgodny z dobrymi obyczajami. W 18 i z pocz. 19 w. nazywano tak nawet dzieła treści filozoficznej.
- w. 4638. *wojaże* — podróże, tu: opisy podróży.
- w. 4639. „po Glücksbergu“ — Znany księgarz krzemieniecki z początkiem 19 w.
- w. 4643. „do otrzymania zwycięstwa“ — do *odniesienia*.
- w. 4647. *sekstern* — zeszyt.
- w. 4798. „mości burda“ — burda człowiek niespokojny, warchoł (sł. fr. *bourd* — zabawa. śr. łac. *burdare*).
- w. 4835. „stanać na kobiercu“ — wziąć ślub.
- w. 4845. „pachnie koza“ — aresztem.
- w. 4855. *zreflektować się* — zastanowić się, uspokoić się.
- w. 4858. „krzyżowej sztuki ani belmes“ — staropolski sposób walczenia szablą. *Belmes* = ani w ząb, nic a nic. Zazwyczaj mówi się: ani be, ani me.
- w. 4950. „na sejmikach... adwersarzy pokiereszować“. Dawni Polacy zazwyczaj na sejmikach popisywali się ową „krzyżową sztuką“, gdzie za lada co swych przeciwników (adwersarzy) kaleczono (kiereszowano), czasem nawet bardzo dotkliwie,
- w. 4988. „durzyli“ (prowinc.) zwodzili, mamili, bałamucili (*dur*).
- w. 4925. „Jajko w lot rozbija“ — trafia do jaja rzuconego w górę.
- w. 4931. *reglament* — przepisy wojskowe, regulamin (fr. *reglement*).
- w. 5038. „wyjął pajęczynę“ — pajęczyną zalepiano rany, by nie krwawiła, choć nieraz brud na pajęczynie zakażał ranę.
- w. 5048. „jak mogąc“ (prowinc.) za: jak można.
- w. 5052. „z Odessy“ — Odessa była ogniskiem kultury dla wojewódz-

- two bractawskiego, kijowskiego, nawet podolskiego i wołyńskiego.
- w. 5078. „odrzuciła... Balzaka, Soulie zsunął jej się z kolan — metonymia (autor za dzieło). Soulie Melchior Fryderyk (1800—1847) był adwokatem, urzędnikiem podatkowym, dyrektorem stolarni, bibliotekarzem, stale zaś romansopisarzem i dramaturgiem. Pisał dużo dramatów i melodramatów a sława jego opiera się na dziele „*Mémoires du diable*“ (1837), powieści satyrycznej o życiu towarzyskiem,
- w. 5108. *automat* — przyrząd, wykonujący ruchy za pomocą odpowiedniego mechanizmu. Przenośnie: człowiek bez woli i życia.
- w. 5115. „o kilka mil miałas szkołę“ — mowa tu o liceum Krzemienieckim.
- w. 5118. emulacja — współzawodnictwo.
- w. 5122. „posłać do szkół, póki były“. Liceum bowiem przestało istnieć w 1832 r. akcja zaś w powieści odbywa się w 1838.
- w. 5123. „włóczęgę Francuza“. Było w Polsce dużo takich ludzi wykolejonych włóczęgów, nierzadko lokajów, którzy odgrywali role wychowawców i gubernatorów młodzieży szlacheckiej. Chodziło panom o możność popisania się rodowitym Francuzem. Wystarczy wspomnieć owego „markiza“ Damona z „Przypadków Mikołaja Doświadczyńskiego“ Krasieckiego.
- w. 5272. *safian* — skóra pięknie wyprawiona, miękka, zazwyczaj na czerwono barwiona. Dostarczał jej Wschód.
- w. 5280. „czytał Żyda Lessinga“.—Jest to dramat „*Nathan der Weise*“ napisany w 1779, oparty na jednej z nowel Boccaccia. Autorem jest *Lessing Gotthold Ephraim* (1729—1781), teoretyk literacki i estetyk, jeden z pionierów romantyzmu. Był i dramaturgiem. „*Miss Sara Sampson*“ z 1755 to pierwszy dramat, napisany w nowym duchu, już nie pseudoklasycznym.
- w. 5283. „lawabo“ — naczynie na wodę z kurkiem do mycia rąk (łac. *lavo*). *Ablucye* bowiem, czyli umywanie rąk jest rytualnym obowiązkiem Żyda podczas modlitwy.
- w. 5326. *determinacja* — gotowość na wszelki krok.
- w. 5397. „konfident“ — powiernik, zausznik.
- w. 5424. „nie aprobuję“ — nie pochwalam, nie zezwalam na...
- w. 5428. „pośmiejch“ — pośmiewisko.
- w. 5636. „nie dla takiej szui“ — *Szuj*, rzeczownik zwykle używany zbiorowo — hałastra, zgraja nikczemna.

- w. 5644. *szołdra* — nিকেzemnik, gałgan.
- w. 5814. *hunctwot* — gałgan (Hundes-Pfot).
- w. 5829. *refleksye* — myśli. nasuwające się człowiekowi, gdy spokojnie rozważa.
- w. 5827. *tok* — skład na zboże gdzie zarazem młóci się je.
- w. 5922. *inwitować* — zapraszać.
- w. 5929. *promenada* — przechadzka (fr. promenade).
- w. 5931-35. „*en voyez vous*“... „*Soyez-y tranquille*“ = czy pan widzi... bądź pan spokojny.
- w. 5942. *preludyum* — przygrywka.
- w. 5928. „oktawą wyżej“. Każdy ton powraca jako ósmy z kolei (oktavo), ale wyższy lub niższy.
- w. 5974. „kroił na dyplomate“ — udawał dyplomate, polityka.
- w. 5975. „jak Ajaks między... owce“. Ajaks, syn Telamona, uczestnik wyprawy trojańskiej. Gdy zbroję Achillea dostał Odysseusz, Ajaks z żalu oszalał, rzucił się z mieczem na pasące się owce, wreszcie sam się zabił.
- w. 5979. *fugi*. Fuga = kompozycja dwu lub wielogłosowa, w której ustęp (temat) jednogłosowy, wypowiedziany przez jeden z głosów, w dalszym ciągu powtarzają głosy inne aż do końca. Tu *fugi* — sposoby.
- w. 6025. „na przednówku“ tj. na wiosnę przed nowem zbożem, wogóle przed świeżymi płodami.
- w. 6028. *eksplicacye* — tłumaczenia się, wyjaśnienia.
- w. 6049. *remanenta* — reszta, pozostałości procenta.
- w. 6076. *modyfikacya* — zmiana.
- w. 6077. *konfrontować* -- zestawić woboc siebie dwie osoby lub rzeczy — tu listy dla zbadania ich podobieństwa.
- w. 6106. „senatorowie rzymscy na krzesłach kurulnych, gdy oczekiwali Gallów“. Senat rzymski tworzyli sami starcy poważni, a mieli prawo zasiadać na królewskich krzesłach zwanych „*sellae curules*“. W roku 390 a. Chr. pierwszy raz napadli Gallowie na Rzym po bitwie nad Allią. Zdobyli Rzym, wojsko uciekło. Senat czekał na nich nieustraszony, ale wszyscy zostali wymordowani. Wtedyto dzięki gęsiom i Manliusowi ocalał tylko Kapitol,
- w. 6102. „*Externus timor maximum concordiae vinculum*“. — Strach przed zewnętrznym niebezpieczeństwem jest najlepszym węzłem przyjaźni.

- w. 6109. „stary Liwiusz“. Zdanie powyższe wypowiedział historyk *Tytus Liwiusz*. Napisał on dzieje Rzymu od założenia do śmierci Druzusa tj. do 9. r. a. Chr.
- w. 6123. „kreaturą i agentem“. Kreatura — człowiek, którego się urobiło do swoich celów; agent — pośrednik w interesach.
- w. 6165. „czapliniecki Cycero“ — tj. dobry mowca. *Cycero*, mąż stanu, filozof, mowca rzymski. (Marek Tuliusz C. 105—43 a. Chr.).
- w. 6166. „jego filipiki“. — Cycero wypowiedział 14 mów przeciw Antoniuszowi, posądzających go o dążności samowładcze. Nazwano je „filipikami“, ponieważ były wzorowane na mowach Demostenesa przeciw Filipowi.
- w. 6167. *aplaudować* — przyklaskiwać.
- w. 6188. *po debatach* — po rozprawach, po naradzie.
- w. 6196. „syn Muz“. Muzy, córki Dzeusa i Mnemozyny, boginie sztuk pięknych. Było ich 9. Synami Muz zwano poetów, ponieważ i poezją opiekowały się one.
- w. 6199. *lustr* — blask.
- w. 6209. *ditto* (dytto) — tożsamo, jak wyżej, również (włos. *dito, detto* (wyżej) powiedziany).
- w. 6232. „baki świecić“ — (baka) — nadszkakiwać, pochlebiać, udawać (Ukr. *baky* — oczy).
- w. 6272. *percepta, ekspens* — przychód (zysk), rozchód (wydatek).
- w. 6286. „kuso przyjmować“ — na czczo, bez ugoszczenia.
- w. 6305. „król Salomon spór dwóch matek“. — Do Salomona przysłyły dwie matki z jednym dzieckiem, każda bowiem twierdziła, że dziecko jest jej. Salomon tak sobie poradził, że kazał przynieść miecz, rozciąć dziecko na 2 połowy i połowę dać każdej z nich. Jedna, słysząc to rzekła: „Nie będzie ani mnie, ani tobie“, druga zaś krzyknęła: „Panie, daj jej dziecię żywe, a nie zabijaj go“. Poznał wtedy mądry król prawdziwą matkę i oddał jej dziecko.
- w. 6321. „do Stanowego“. — „Stanowy *prystaw*“, komisarz policyi ziemskiej.
- w. 6349. „Zabawnem się to pokazało“ — wydało się.
- w. 6354. „asanią“ — *Asani-i-e*, skrót z: Wasza Miłość Pani Waćpani — Wasani — *Asani*.
- w. 6370. „niosąc sukurs“ niosąc pomoc.
- w. 6379. *speranda* — rzecz spodziewana, plon spodziewany.
- w. 6384. *tenuta* — dzierżawne (łac. *teneo*).
- w. 6378. *dezercya* — ucieczka, usunięcie się.

- w. 6496. *imponować* — czynić wielkie wrażenie (z łac.)
- w. 6505. *negocjacya* — targi
- w. 6528. *kapitulować* (caput-tollo) — poddać się.
- w. 6569. *ambaras* — kłopot (fr. *embarras*).
- w. 6585. „sprawnik“ — pewna klasa niższych urzędników rosyjskich, policyjnych.
- w. 6685. „czy jest kryminał“ — tj. zbrodnia (*crimen*).
- w. 6727. *Ostróg* — miasto w gub. wołyńskiej u ujścia Willi do Horynia.
- w. 6731. *egzercya* — ćwiczenie (łac. *exercitio*),
- w. 6741. „kondycya, sine qua non“ — warunek, bez którego nic.
- w. 6815. „masz o ścianę marszałka“ — w najbliższym sąsiedztwie.
- w. 6820. *machinacya* — podstępna, cicha, krecja robota.
- w. 6911. *delirya* (raczej *delirium*) — obłąd, majaczenie, bredzenie, szal (łac. *delirium*).
- w. 6929. „dobra okoliczność — sposobność.
- w. 6943. *ekspensa* — tu: nakład.
- w. 6946. „siostrzeniec, którego miał w zapasie“ — bo gdy Henryk Podziemski zawiódł, prezes wynalazł jakiegoś siostrzeńca dla Kamili na męża, byle tylko uniknąć Józefa.
- w. 7024. *intryga* — tajemne działanie jakiejś osoby, aby kogoś w sidła złapać, omotać lub zgubić.
- w. 7059. „w zakładzie“ — w zastawie.
- w. 7098. *apopleksya* (udar, szlak, nagła śmierć) — porażenie władzy ruchu i przytomności w następstwie wylania krwi w mózgu (grec. *apoplexia*)
- w. 7104. „krew pokazała się tylko kroplami i zastygła...“ — znak, że organizm przestał żyć.
- w. 7111. *oficyalista* — urzędnik, pełniący w ogóle obowiązek jakis.
- w. 7222. „formalna plenipotencya“ — prawnie wystawione pełnomocnictwo.
- w. 7275. „postkryptum“ (łac. *post scriptum*) — dopisek w liście.
- w. 7313. „nie zależał pola“ — nie zaniedbał, nielenił się.
- w. 7319. „w kluczach możnych panów“ — kilka obok siebie wsi, należących do jednego właściciela (klucz).
- w. 7351. „naznaczył... ordynaryę“ — pewien dochód.
- w. 7360. *gimnazjum Rowieńskie* — Równo, miasto w gub. Kamienieckiej (podol.), miało dawniej gimnazjum, przeniesione z Klewania po r. 1831.
- w. 7360. *uniwersytet kijowski* — św. Włodzimierza, założony prawie równocześnie ze zwinieniem liceum w Krzemieńcu.

- w. 7403. „z Łucka indult i dyspenza“ — Łuck na Wołyniu, siedziba biskupa. *Indult* zezwolenie, by ślub się odbył prędko po jedno-razowych zapowiedziach, *dyspenza* (fr. dispence, łac. dispensatio) zwolnienie od jakiegoś przepisu, tu pozwolenie dla dwóch sióstr, które wychodziły za dwóch braci. W zwykłych warunkach ślub taki nie jest dozwolony.
- w. 7444. *fara* (grec. parojkia) — kościół parafialny (nmc. Pfarre).
- w. 7451. *militarnie zapięty* — na sposób wojskowy tj. pod szyję i na wszystkie guziki.
- w. 7461. „Niemca z laską i rzemykiem“ — Austryjaska straż bezpieczeństwa nosiła w owym czasie laski trzciniowe.
- w. 7491. „uderzyła letargiem“ — uspiła, pozornie uśmierciła.
- w. 7494. „w stanisławowskim cyrkule“. — Galicya przed nadaniem konstytucji podzielona była na cyrkuły, jak dziś na starostwa.
- w. 7523. „profanować“ — bezcześcić, tu: obniżyć.
- w. 7534. *skrupuły* — (włos. *escrupulo* — waga aptekarska) — rozważanie, wahanie się, wątpliwości.



K. 509/51

45. Goszczyński, *Zamek kaniowski*, opracował Dr. M. Janik.
opracował Tadeusz Pini.
46. Syrokomla: *Wybór pism*, Tom. I. Liryki i drobne gawędy.
47. *Słowo o pułku Igora*, przekład Augustyna Bielowskiego, wstęp i objaśnienia B. Łepkiego.
48. J. Molier. *Szlachcic-mieszczanin*, przekład Fr. Kowańskiego opracował prof. Bolesław Kielski.
49. Korzeniowski: *Mnich*, opracował Dr. Wiktor Hahn.
50. Ujejski. *Maraton ki sargi Jeremiego*, oprac. Dr. M. Janik.
51. Pol. *Mohort*, oprac. prof. Wł. Dropiowski.
52. Libelt: *O miłości Ojczyzny*, oprac. Dr. W. Hahn.
53. *Nowela polska*, Tom. II. opr. prof. Józef Wiśniowski, zawiera (Świętochowski — Konopnicka — Szymański.)
54. Kornel: *Cyd*, oprac. prof. Piątek.
55. Aleks. hr. Fredro: *Pan Jowialski*, oprac. prof. Bol. Kielski
56. Goszczyński: *Król Zamczyska* opr. Dr. prof. Michał Janik.
57. Cicero: *Lelius* przekł. F. Habury, oprac. Dr. Brablec.
58. Zabłocki: *Fircyk w załotach* opr. B. Kašinowski.
59. Sofokles: *Edyp Król* przekł. Kaz. Kaszewskiego, oprac. prof. Dr. S. Brablec.
60. Zieliński. *Kirgiz* opr. prof. Dr. St. Zathej.
61. J. U. Niemcewicz: *Puławy* opr. prof. Józef Kallenbach.
62. Sofokles: *Edyp w Kolonie* przekł. Kaszewskiego opr. prof. Dr. A. Bednarowski.
- 63—64. Słowacki. *Balladyna*, opr. prof. Dr. Wiktor Hahn.
- 5—66 Słowacki. *Kordyan*. opr. prof. Kazimierz Zimmermann.
7. Wasilewski. *Wybór poezji* opr. prof. Dr. Stanisław Zathej.
8. Gaszyński, *Wybór poezji* opr. prof. Stefan Morawiecki.
9. Krasieński. *Przedświt* opr. prof. Franciszek Walczak
- 0/1. *Nowela polska*, Tom III. opr. J. Wiśniowski, zawiera (Sewer — Junosza — Dygasiński.)
- 2 Fredro. *Zemsta*, opr. prof. Bolesław Kielski.
3. M. T. Cicero. *Mowa w sprawie naczelnego dowództwa Cn. Pompejusza*, przetłum. i oprac. prof. J. Sierosławski.
4. Korzeniowski. *Karpaccy górale*, opracował Dr. Wiktor Hahn.
5. Fredro. *Śluby panięskie* oprac. Dr. E. Kucharski.
- 3/7 Korzeniowski: *Kollokacya* oprac. prof. W. Jankowski.

 Dalsze tomiki w druku 

Cena za tomik pojedynczy 60 hal., podwójny K 1—

Epos najznakomitsze poemata epickie wszystkich krajów i narodów w streszczeniach i wyciągach.

om I. Epos babilońskie: Enuma Elis	1'20 — opr. 1'50
II. Epos egipskie: Klechdy, Romanzero, Pentaur	1'20—opr. 1'50
om III. Epos indyjskie 1: Ramayana	2'40 — opr. 2'80
om IV. Epos indyjskie 2: Mahabharata	6— opr. 4—
om V. Epos greckie 1: Uliada	6— opr. 4—

- Anc** Bolesław i Józefa. Z lat nadziei i walki 1861—64. ilustr. 3.—
Baumfeld: Mieczysław Romanowski. Studium 1·20
Björnson. „Nowy System“ w przekładzie Klemensiewiczowej. 1.—
Chmielowski P. Jan Kasprowicz próba charak. z por. tretem poety 1·20
Ciołkosz. Praktyczny przegląd dziejów literatury polskiej. 1.—
Dzieduszycki. Dokąd nam isé wypada? 7.—
Flach Józef Dr. Byron, życie i dzieła 2.—
 — Stanisław Wyspiański, studjum 2.—
Hahn W. Dr. Szkice literackie o Juliuszu Słowackim 2·60
 — O życiu i dziełach Juliusza Słowackiego 7¹/₂ arkusza
 druku z 10-cioną ilustr. w tekście (wyd. popul.) —·60
 — Juliusz Słowacki, Odczyt wygłoszony w Kole literac.
 we Lwowie —·30
Hauptmann Gerhardt „A Pippa tańczy“. Baśń huty szklanej
 w 4 aktach przekład A. Schrödera. 1·50
 — Biedny Henryk. Baśń niemiecka, przek. J. Kasprowicza. 1·80
Hebbel. Marya Magdalena. Dramat w 3 aktach przekład
 Józefa Mirskiego 1.—
Jellenta Cezary. Druid Juliusz Słowacki 4.—
Klewe: Z pamiętnika pchły i inne ucieszne historye, wyd. II. 3.—
 — Perły lwowskie 3.—
 — Wesole Kroniki 3.—
Kociubyński. M. W pętach szatana, Nowele tłumacz. B. Łepki 2·40
Listy do przyjaciół o życiu młodzieży szczególnie akademickiej
 zebrał T. B. 3.—
Dr Maciszewski: Brzeżany, monografia historyczna 3.—
Mann Tomasz. Fiorenza. Tłum. Dr. Maryan Henzel. 1·50
Mężynski. Wspomnienia z powstania styczniowego i sybir-
 skiej katorgi 1863—69. 2.—
Michaelis K. Losy Ulli Fangel. Dzieje młodości i małżeństwa,
 z duńskiego przełożył Edgar Schnell. 1.—
Mickiewicz Adam. „Grażyna“ w trzy ustępy dramatyczne ułożył
 Gustaw Baumfeld. 1.—
Missona K. Dorastająca młodzież a świadomość płciowa. —·40
Pałaski: Kronika rodów szlacheckich, Podola, Wołynia
 i Ukrainy. i lustrowane oprawne w płótno 16.—
 „ w półskórek 18.—
Schnitzler Artur. „Lalki“ (Der Puppenspieler). Studium
 w 1 akcie tłumaczył G. Baumfeld, wyd. ozdob. 1·50
Stodor Adam „Złocista Góra“. Poemat dramatyczny 1.—
Walewska Col. M. (hr. Wielopolska). „Sęp“. dramat w 3
 aktach z ilustracją Z. Aleksandrowicza wyd. ozdob. 2.—
Wilde O. Wachlarz Lady Windermere. sztuka w 4 aktach. Pr. T. T 1.20
 — Mąż idealny. Sztuka w 4. aktach. przekład K. Rakowskiego. 2.—
 — Kobieta bez znaczenia. Sztuka w akt. Pr. B. Beaupré 1·20
Wróblewski K. Zasady piękna w sztuce. Dzieło bogato illustro-
 wane, obejm. architekturę, rzeźbę i malarstwo z szczegó-
 lnym uwzględnieniem sztuki polskiej 5.—
Zangwil I. Marzyciele Ghetha i inne nowele. Przek. Maryi
 Kreczowskiej z przedmową Wilhelma Feldmana 3.—

